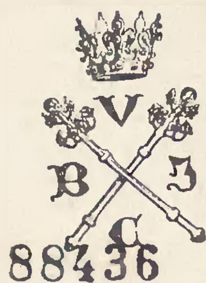
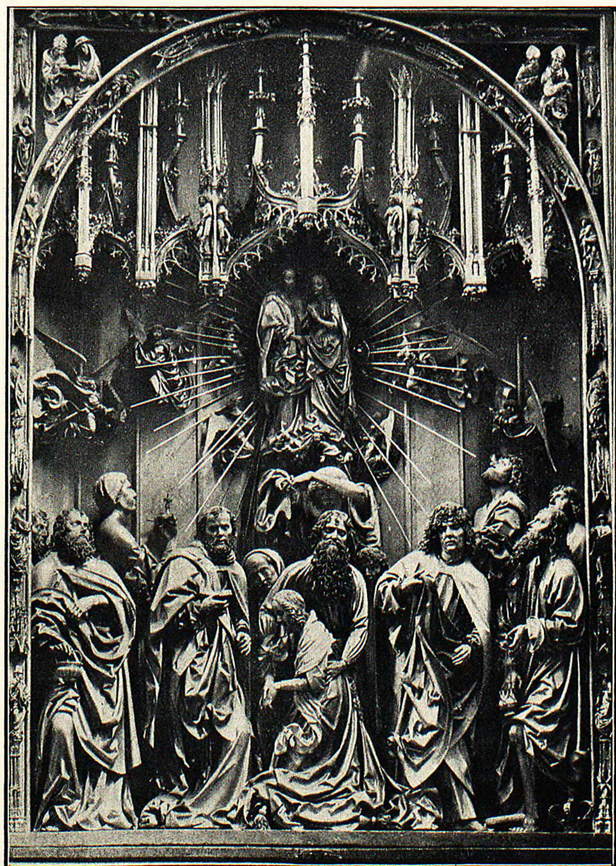



V
B
C
88436

HISTORYA
ŻÓŁTEJ CIŻEMKI.



Środkowa grupa ołtarza Maryackiego.
Dzieło Wita Stwosza.

(H. Ż. Ciż.)

HISTORYA
ŻÓŁTEJ CIŻEMKI.

POWIASTKA
Z CZASÓW PANOWANIA KAZIMIERZA JAGIELLOŃCZYKA.

NAPISAŁA

ANTONINA DOMAŃSKA.



POZNAŃ.
NAKŁADEM I CZCIONKAMI
DRUKARNI I KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA.
1913.


V
B
J
G
BIBLIOTHECA
UNIV. JAGELL.
CRACOVIENSIS

1489—1867.

Cenny klejnot starego Krakowa, chluba Polski, arcydzieło mistrza Wita Stwosza i pomnik jego chwały — wielki ołtarz w kościele Panny Maryi, fundowany przez bogate mieszczaństwo krakowskie w r. 1489, chylił się ku upadkowi.

Blizko cztery wieki rzeźba ta przewspaniała zajmowała najcelniejsze miejsce w świątyni, blizko cztery wieki opierała się niszczącemu wpływowi czasu, wreszcie uległa.

Oto co powiada sprawozdanie dozoru kościoła Panny Maryi z r. 1867:

...... „od chwili, gdy się przekonano o groźnym stanie ołtarza, zajęto się bezzwłocznie szukaniem środków uratowania go, dobrze obmyśloną restauracyą. Imiona Piotra Michałowskiego i Karola Kremera, wiążą się z tą myślą. Oni pierwsi badali stan i przedstawiali środki. A choć nie doczekali szczęśliwej chwili rozpoczęcia pracy, za pobudzanie i nawoływanie do niej, cześć ich pamięci!“

Komitet restauracyi W. ołtarza składał się prócz stałych członków dozoru kościelnego,

z następujących mężów: prof. Czyrniański, pr. Dunajewski, W. Eliasz, P. Filippi, X. Grzybowski, prof. Kuczyński, prof. J. Kremer. H. Kieszkowski, M. Kukalski, J. ks. Lubomirski, prof. Lepkowski, P. Popiel, F. Paszkowski, F. Pokutyński, E. Stehlik, H. Seredyński, X. Wilczek.

Przytaczam dalej słowa sprawozdania: ...... „przystąpiono do zupełnego rozebrania ołtarza, do wyjęcia wszelkich rzeźb i ornamentyki, kawałek za kawałkiem. Wtedyto ruszyła się przez wieki nagromadzona ilość kurzu, znalazły się ważne odłamki, znalazł się osnuty pajęczyną trzewik średniowiecznego robotnika, zgubiony przed 400 laty“.......

* *
*

Wielki ołtarz odnowiony i zabezpieczony gruntownie przed zniszczeniem na dalsze setki lat, służy znów bożej chwale, zachwyca oczy i serca patrzących, głosi sławę nieśmiertelną mistrza Wita Stwosza.

?

Znaleziono za ołtarzem trzewik — żółtą ciżemkę...... Skąd się tam wzięła? Do kogo mogła należeć? Czy był rzemieślnikiem

człowiek, co używał safianowanego obuwia? Czy umyślnie rzucił trzewik za ołtarz? Ale dlaczego? Czy dorosły mężczyzna mógł mieć tak małą stopę? A może to był chłopiec? Może to było dziecko?

Odkąd przeczytałam zagadkowy ustęp sprawozdania i oglądałam żółtą ciżemkę, niepokoiły mię te myśli, szukałam na nie odpowiedzi......

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

W domu i w puszczy.

„Już nigdy nie będę". — Co przeżył i kogo znał organista Walanty. — Dokąd można zajechać na drewnianej jaszczurce. — Zabłąkany w puszczy. — Pieśń wieczorna wilka.

— O mój tatusiu, mój złocisty... nie bijcie! Jeszce mi ten ostatni raz darujcie! Juz nigdy, a nigdy, a nigdy nie będę!

— Codzień obiecujesz, codzień bicie bierzesz, końca temu niema — krzyknął z gniewem ojciec, trzymając chłopca za kołnierz u koszuli, a oglądając się za rzemykiem.

— Ady mu przecie wybacz, kiej tak święcie przyrzeka; — wstawiła się matka, odsuwając garnek z jagłami od ognia. — Takiś zawzięty na ono dziecko, a Bogiem i prawdą, niema o co. Mały jest, to się i bawi; cóż ci wadzi, że se ta kozikiem w deszczułeczce dłubie? Sprzykrzy mu się, rzuci, ano za tydzień będzie nowa zabawka.

— A ile razy do kości palce pozacinał, i nie rzucił noża? Skórę prać rzetelnie, to może usłucha. Gdzie postronek?

— Puść go! Mówię ci po dobroci; obiadować pora. Wawrzuś, przysuń tatusiowi ławę.

— Zawdy musi być babskie na wierzchu — mruknął Wojciech.

Usiedli wszyscy troje za stołem i jedli w milczeniu. Pokrzepiwszy się, gospodarz zwrócił się znowu do synka, i mówił już spokojnie:

— Pamiętajże se, coś sam powiedział: „ostatni raz". Chłoposko dziewiąci lat sięga, a bydlątku nie da rady. Wygoń wszystkie trzy na pastwisko, a dawaj pozór, coby ci znów która nie uciekła. Mam co lepszego do roboty, jak za krowami po boru biegać. No, idź.

Wawrzek wyskoczył z chałupy uszczęśliwiony, że dzięki matusi ominęła go kara; i pełen jaknajlepszych postanowień pomaszerował z krowami na łąkę. Wojciechowa pomyła statki i zasiadła przed warsztatem tkackim, z którego już spory kawał szarego płótna aż do ziemi zwisał. Największą jej dumą było, że jak Poręba Porębą, żadna gospodyni tyle lnu nie siała, tyle nici nie przędła, tyle płótna nie tkała, co ona. Wzięła się więc ochoczo do roboty, ino raz na jakiś czas pociągając za sznurek od podłużnego kosza zawieszonego na hakach u powały. W tym koszu spało jej najmłodsze dziecko, trzymiesięczna Kondusia. Siedmioletnia Marysia uciekała raz

wraz do „babusi“, a rodzice niebardzo jej tego bronili, bo matka Wojciecha zgrzybiała staruszka potrzebowała i posługi i rozweselenia, a Marysię okrutnie lubiła.

Wojciech nasadził na głowę białą sukienną czapę, poprawił rzemyki u postołów, przystanął chwilę we drzwiach, jakby się namyślając, wreszcie zawrócił w prawo i poszedł ku wsi.

— Jušci tak najlepiej — mówił do siebie półgłosem — do samego proboszcza nie pójdę, gdziebym ta śmiał zaprzątać głowę jego wielebności tym nicponiem. Walantego się poradzę, abo i Pietra. Organista, kościelny, uczone osoby, na każdej książce znają czytać, prędzej umiarkują niż ja, coby za leki skuteczne były na Wawrzkową chorobę. Ale gdzie onych szukać? Walantowa Herod-baba, stary ucieka z domu kiej ino może; pewnikiem zemknął do Pietra i miód se oba pociągają.

Słusznie się Wojciech domyślał: organista i kościelny siedzieli w sadzie na darniowej ławie pod rozłożystą jabłonią, kamionka z miodem i cynowe kubki przed nimi.

— Niech będzie pochwalony... witajcie kumotrowie! — rzekł kmieć, podchodząc ku nim.

— Na wieki wieków — odparli razem, a gospodarz dodał: — Siadajcie wedle nas Wojciechu; Jaguś... jeszcze jeden kubek! Jakże tam u was, wszystko zdrowo?

— Dziękować Panu Jezusowi, krzepimy się jako tako — odpowiedział gość i usiadł na zydlu przyniesionym przez córkę gospodarza. Mówić o interesie zaraz po przywitaniu. uważanem jest na wsi za wielką nieprzyzwoitość i brak wychowania; tak samo pojmowano grzeczność i przed wiekami. Dlategoteż Wojciech ani wspomniał z czem przychodzi, owszem, przeprosił przyjaciół, że im przerwał rozmowę.

— A o czemże pogwarka? — spytał Piotra.

— Spominamy se stare dzieje — odparł kościelny — raczej Walanty opowiada, a ja słucham. Człowiek to niemal na pamięć umie, a nigdy mu się nie znudzi, zwłaszcza od naocznego świadka słyszeć.

— O czemże takiem?

— Sprawiedliwie gadają Piotr; rozmawialiśmy o bitwie pod Warną*).

— O moiściewy ... nie przerywajcież sobie; toć i ja straszniebym rad usłyszał, jak to było. Na wsi ludzie niewiela wiedzą o świecie; prawdę rzec, a nie zełgać, nawet nie ciekawi; a już co nasza Poręba, to prawie jak za murem. Puszcza niezmierzona od zachodu słońca i od północy, rzeka nas opływa w półkole, w ciężkiej robocie rok za rokiem przemija. człek się rodzi, żyje i umiera, nieświadomy

*) Szczegóły historyczne o bitwie pod Warną, wzięte z kroniki Bielskiego.

niczego. Jeszcze łaska boska, jeżeli zna imię najmiłościwszego króla. Ach gadajcie, gadajcie... serce mi z ciekawości młotami bije.

— Juści trudno, żebyście co z onego czasu zapamiętali — rzekł organista — ani was może na świecie jeszcze nie było.

— A ileż ta temu będzie? — spytał Wojciech.

— Czekajcie, zaraz wyrachujemy. Miłościwy król Władysław dwadzieścia lat miał, gdy zginął w onej strasznej bitwie. Za wielką chlubę i cześć sobie poczytuję, że w jednych obaśmy leciech byli; dlategoteż łacniej mi to wyliczyć. Tedy dziś mamy... dziś mamy... rok Pański... Pieter?

— Tysiąc czterechsetny siedemdziesiąty dziewiąty

— Juści, prawiuteńko się zgadza, bo mi się na pięćdziesiąty szósty obróciło. Zatem, jak raz trzydzieści pięć lat temu będzie w dniu dziesiątym listopada.

— Prawdę gadacie, że mnie na świecie nie było, bo mi się skończy w żytnie żniwa trzydzieści cztery roki. Ale co ta o mnie, powiadajcież od początku. Pietrowi ta wszystko jedność, kiej zna jak było, a ja nie.

— A więc posłuchajcie: Jak się miłościwy Pan gotował na oną wyprawę, wszystkie narody i wszyscy monarchowie radowali się, że mieczem polskiego króla moc turecka zostanie

na proch zgnieciona. Węgierskie wojsko pod dowództwem, jakże mu to było... aha... Huniad, wojewoda siedmiogrodzki. Więc Węgrzy, Siedmiogrodziany, i nasi, a nad wszystkimi hetmanem nasz młody król Władysław. Ale się miłościwy pan gryzł niesłychanie, że tak niewiele miał wojska; ino dwadzieścia tysięcy. A o Turkach gadano, że się ich zebrało tysiąców sto, tedy pięć razy tyle, co naszych.

Walenty łyknął miodu i prawił dalej:

— Mnie wzięto między ciury, do posług, alem się wyprosił u jednego starszego i pozwolił mi, jak przyjdzie do bitwy, iść z łucznikami.

— A umieliście się z kuszą obchodzić?

— Byli już tacy, co nauczyli — odparł organista; — a nauczyli niezgorzej, bo w kilku potrzebach człek posłał pohańców do piekła dyabłu na pociechę z pół kopy, jeśli nie więcej. Idzie tedy chmara ludu, wszystko zbrojne, wyćwiczone, a takie łakome krwi tureckiej, niczem wina. Po drodze zamki bez wiela kłopotu zdobywają nasi, gdzieniektóre ze strachu same się poddają, a my ino naprzód, a naprzód. Trzeciego dnia października miesiąca, przeprawiliśmy się przez Dunaj. Aż tu przyjeżdża z 4000 wojska Dragula, wojewoda wołoski. Odradzał on strasznie naszemu miłościwemu panu tę turecką wyprawę; aż płakał pono. Wreszcie syna własnego z onymi czte-

rema tysiącami przy królu zostawił, a sam do dom powrócił. Młodym wtedy był, niczemu nie rozumiejący, ani mnie o to głowa nie bolała, kędy nas wiodą, szedłem jak baran za inszymi, za łaskę to sobie mając, że mnie, chudzinę, biednego ciurę, choć czasem między żołnierstwo wetkną. Pod jednym zameczkiem tom się tak siepał, tak dokazował, aż mnie rotmistrz zauważył i w nagrodę przeznaczył do posług miłościwego pana.

— O Jezu... toście go mogli z bliska oglądać?

— No jakże? Ma się wiedzieć, żem się temu cudnemu obliczu do syta napatrzył... Ilekroć spomnę o tem wszystkiem, to go jak żywego przed sobą widzę.

— O mój Walenty, powiadajcież, jaki był?

— Rosły był; gdy stał w polu z inszymi hetmany w naradzie, to z daleka powiewały białe pióra na jego hełmie, pół głowy ponad tamtymi. Śniadego był ciała i czarnych włosów, twarzy pociągłej, a oczy... niczemu nie przyrównane — królewskie. Zanim usta przemówiły słowo, rozkazywały oczy. Gdy na cię spojrzał, ogień i mróz cię przelatował. A w insze razy znowu, gdy te gwiazdy łaskawie ku tobie zwrócił, to jakby głos jakiś wołał wielki: na kolana! Ilem ja razy chciał przypaść do nóg umiłowanego króla i stopy jego całować... inom nie śmiał. Przed namiotem

jak pies leżeć i snu pańskiego strzedz, to był zaszczyt najpiękniejszy i niejeden mi tego szczęścia zazdrościł.

Zamilkł i przymknął oczy, szukając w duszy smutnych wspomnień wątku.

— Ano tedy, szliśmy, a szli, niczem burza, co po drodze drzewa łomie i z korzeniami wyrywa. Ażeśmy stanęli pod Warną.

— Twierdza jaka, czy stolica królewska?

— Miasto niewielkie nad morzem... jakiemsi czarnem. Dopierośmy się tam dowiedzieli, jakie niezliczone chmary pogaństwa zgromadził sułtan Amurat przeciw nam. Zaraz po wschodzie słońca zaczęto ustawiać chorągwie według rozporządzenia królewskiego. Ja stałem przed drzwiami namiotu, nasłuchując, kiedy w dłonie klaśnie, co znaczyło, że posługi mu potrza. Na dany znak wszedłem, zatrzymałem się u proga i pokłoniłem się do ziemi. „Podawaj zbroję“ — rzekł mi krótko. Upiąłem na nim wszystko sprawnie; (jużbym dziś chyba nie zdolił, takie te sprzączki i haczyki misterne były) podaję hełm, wziął go ode mnie, aliści wyślizga mu się z rąk*), toczy się z brzękiem po ziemi. Ciary mnie przeszły, a król przeżegnał się trzy razy. Wychodzimy na pole, giermek podprowadza konia, a ten dęba

*) Ten szczegół i wszystkie następne, wzięte z kroniki Bielskiego.

staje, głową kręci, zadem rzuca, trzech go musiało trzymać, zanim dał wsiąść na siebie. Znowu mi coś serce ścisnęło jakby żelazną obręczą.

— I że też to miłościwy pan tych przestróg z nieba nie usłuchał!

— Taki był. Widno po dziadku Olgierdzie upor odziedziczył; tamten, powiadają ludzie, srodze był twardej woli. Myślicie, że na tem koniec? Wróżka cyganka z kądsi przedarła się do obozu i na świętości zaklinała króla, coby w pole nie wyruszał. On zaś wytłomaczył to sobie, jako oną wieszczkę Turkowie posłali, by serce we wojsku osłabić. Może mu ta niebardzo wesoło na duszy było, ale się ino rozśmiał i babę precz napędzić kazał. Ruszają tedy z obozu, chorąży z proporcem królewskim na przedzie; wiatr się zrywa niemały. Skręcił chorągiew około drzewca, zaczem ją rozwinął z nagła i w trzy kawały poszarpał.

— Znak od Boga — westchnął kościelny.

— Rycerze najznamienitsi którzy to widzieli, nuż błagać miłościwego pana, coby swej drogocennej osoby nie narażał, a życia dla dobra ojczyzny szanował. Zmarszczył brwi gniewny srodze i umilkli wszyscy. — Rozpoczęła się wielka bitwa, okropna rzeź. Turcy ustawili swe wojska w półkole, na podobieństwo księżyca, bo ten od nich wielkiej

czci doznawa. Pomnijcie, żem był w tłumie, w ścisku, i czasu potykania się z Turki jednegom ino pilnował, a to, coby moje strzały nie chybiały celu. Tego zgiełku, wrzasku, jęków, łomotu kopii uderzających o pancerze, tententu i rżenia koni, tego zamięszania straszliwego, na które wspomnieć niepodobna, bo się w głowie zawraca i wszelkie myślenie ustaje, tego wam nie wypowiem, a choćbym nawet zdolił, gadać o tem nie chcę.

— A król miłościwy? — rzekł Wojciech, i zająknął się.

— Królam ja ani widział wśród tego ludzkiego mrowiska. Gdy się tysiące na tysiące, niczem psi wściekli rzucają, wtedy nie pyta nikt, gdzie mu stać wyznaczono, starszyzny już cale nie słucha, upamiętanie traci, czerwone łuny latają mu przed oczyma; o własną skórę, o życie mu chodzi, nie o co inszego. Tak było i ze mną. Czterech, czy piąci obskoczyło mnie kosookich Tatarzynów z krzywemi szablami. Boska Opatrzność sprawiła, żem się mógł plecyma o jakiś wóz obozowy oprzeć; miecz umartemu rycerzowi poprzódzi jeszcze z rąk wyrwałem, i w strachu niezmiernym — bom śmierć niechybną nad sobą widział, jąłem rąbać na prawo i na lewo i przed się, ciężki oręż oburąc ściskając. A takem walił na oślep, żem ino za każdym razem czuł, jako mi się miecz na czemciś przez okamgnienie zatrzy-

muje... Aż tu nagle, pociemniało mi w oczach, nogi drętwieją, runąłem jak kłoda na one pogańskie cielska, którem zesiekł Panu Chrystusowi na chwałę, a sobie na duszne zbawienie.

— Jezusie Maryjo... ranili was?

— W tem właśnie największe miłosierdzie boskie okazało się nademną, że ino ze znużenia i z głodu, przytomność mię na chwilę odbierzała, bom niemal od wschodu słońca uczciwie pracował, a nie było czasu kęsa chleba przełknąć. Dziś, jak se wszystko do pamięci przywołuję, nic inszego w tem przydarzeniu nie widzę, ino cudowną opiekę mego świętego patrona. Bo żem ja, dwudziestoletni wyrostek, pierwszy raz w życiu miecz okrutny do rąk chyciwszy, pięcioma Tatarom dał rady, to chyba nie ziemska, ino niebieska moc sprawiła. A bez to, iżem leżał na kupie trupów krwią ociekający, to mnie już insze psubraty nie tykały i wypocząłem se godnie. — Tylem wam opowiedział, ile oczy widziały, i czem się ręce trudniły. Co więcej, to potem dopiero zasłyszałem od ludzi. Ale właśnie to insze, leży na sercu, niczem głaz na grobie.

— O mój Walenty, rzeknijcież aby dwa słowa!

— Co mam rzec? Chocia rycerze błagali i zaklinali króla, aby zważał na swą świętą osobę, on nie pytał na przestrogi, ino się rwał do boju niczem w tany. Gdzie największa

ciżba, gdzie ino buńczuk starszego agi powiewał (po naszemu pułkownika), tam pan miłościwy sadził z koniem, drogę sobie trupami ścieląc. Turkowie pomiarkowali co się święci, więc też który ino hełm o białych piórach zoczył i konia cisawego, gdy nie zdolił w bok umknąć, rzucał się twarzą do ziemi. A król Władysław, jakby się śmierci w służbę zaprzedał, krwawe żniwo czynił, sam jedną strzałą nie draśnięty. Żadne ufce tureckie oprzeć mu się nie mogły, pierzchało wszystko w popłochu. Najwaleczniejsi z pomiędzy wojska Amuratowego byli Janczarowie, tych należało pobić i rozproszyć. Król wydał rozkaz rotom, by szły za nim, ale Huniad wojewoda za ręce go chytał, siłę nieprzyjaciela przed oczy mu stawiał, śmierć niezawodną przepowiadając. Zasię mu król odrzekł: „Wolej zginąć, niż się cofać". I skoczył naprzód, nie zważając, jako niemal sam ostał, bo Huniady precz uciekł ze swymi. Wpadł tedy król między one janczary, baszę azyatyckiego, który tam się był skrył, usiekł, i parł koniem w nieprzeliczoną gąszcz pohańców, pewny, że wojsko tuż za nim. Tymczasem janczarowie ochłonęli co nieco, a widząc, jak się król niebacznie zapędził, obskoczyli go dokoła, konia pod nim ubili, poczem rzuciwszy się nań jak wilcy, ucięli mu głowę. Tę wsadzić kazał basza na wysokie drzewce, i z tryumfem do namiotu sułtana

ją zaniesiono. Garstka naszych, co była przy królu, zginęła walecznie, broniąc pana. Polegli dwaj bracia Tarnowscy, dwaj Zawiszowie i inne rycerze. — Taki był koniec bitwy pod Warną.

— Oj, dziękuję wam też, dziękuję, mój Walanty; niech wam Pan Jezus dobrem zdrowiem zapłaci, żeście nieumiejącego oświecili. A jakże z wami potem było?

— Ano, ślubowałem świętemu patronowi za jego łaskę i cudowne od psich synów ocalenie, że Panu Bogu w duchownym stanie do śmierci już służył będę. Ale widno nie na księdza mnie Pan Jezus stworzył, bom się w Krakowie do szkoły parafialnej u Panny Maryi dostawszy, ino czytania i pisania dokumentnie nauczył. Zasię łacina szła jak z kamienia. Ani wymówić, ani wyrozumieć — jednem słowem niedało się i tyla. Gryzło mnie sumienie bez przestanku, i strach serce uciskał, że obietnicy świętemu Walantemu danej i ślubu nie dotrzymuję, zaco na tamtym świecie jako wiarołomca, wiecznie gorzeć będę. Aż nie mogąc wytrwać dłużej w takowej turbacyi, zwierzyłem się jego miłości bakałarzowi. Ten się aż za głowę chycił, mniemając wraz ze mną, że bez nijakiego wątpienia Pan Jezus mnie grzesznika piekłem skarze. Ale na wielkie moje szczęście, natchnął go stróż anioł dobrą myślą. „Idź no Waluś — powiada

— na przełaj bez rynek na Żydowską ulicę. Wiesz kędy?" „Za matoła mnie wasza miłość trzymacie — gadam — po śpiączku trafię; dy dziesięć miesięcy minęło, jakem tu zaszedł; do Krakowam drogi nie zmylił, a Żydowskiej ulicy bym nie znał. Kościółek św. Anny drewniany na góreczce tam stoi, a tuż śmiecisko straszne... czy o tę ulicę waszej miłości chodzi?" — „Śmieciskoś zauważył, mądrało, a Collegium majus wiesz gdzie?" „Jakie Kolegium?" — gadam ja. — „Ot żeś matoł — gada on — Akademia przez króla Jagiełłę fundowana, a przez królowę Jadwigę wyposażona". „Juści, gdzie Akademia, to wiem; ale jakosi inaczej mówiliście" gadam ja. — „Sprawiedliwie cię piekło czeka — gada on — dwóch słów łacińskich nie spamiętasz, a święte kapłaństwo Bogu najwyższemu ślubujesz. Idźże tedy do onego gmachu Akademii, a o profesora, przewielebnego księdza Jana z Kęt pytaj.

— Jakto? — zakrzyknął Wojciech, przerywając mowę organiście — o tym Janie z Kęt powiadacie, co go cały naród świętym głosi? którego grób cudami słynie?

— A juści; jego błogosławioną osobę miałem łaskę od Boga własnemi oczyma oglądać, jego dobrotliwej mowy słuchać.

— A cóżeście za szczęśliwiec taki! I pana miłościwego znał, królewskiej osobie posługował, w bitwie pod Warną Tatarów siekł,

i jeszcze wielkiego świętego w żywem ciele oglądał!

— Ano słuchajcie co się dalej działo. Więc mnie uczy bakałarz, jako mam przewielebnemu profesorowi niziutko się pokłonić, całą przygodę pod Warną i ono ślubowanie, uczciwie, przez wykrętów opowiedzieć, i o radę prosić. „Coć roskaże — gada — tak uczynisz; mąż to świątobliwy, a wielkiej mądrości, pewnikiem zdoli rozwiązać ten węzeł, i twoje sumienie uspokoić“.

— Ady popłuczcie se gardło Walanty — rzekł Piotr, nalewając kubki po brzegi — Wasze zdrowie!

— I wasze! — Trącili wszyscy trzej kubkami, a organista kończył swe opowiadanie:

— Wszystko się tak stało, jako mi ów zapowiedział. O moiściewy... słusznie on święty po śmierci niebieskie pałace zamieszkuje, gdy za żywota w komóreczce ciasnej, a ciemnej, niczem więzień przebywał. Wchodzę do onego Collegium Majus, o profesora Jana z Kęt pytam; wskazują mi drzwi w sieni na dole; izdebki malutkie, jedna do modlenia, a druga mieszkalna. Próbuję, ino na klamkę zawarte, niema nikogo. Siedział w sali na górze, w księgach mądrości zaczytany. Janitor, co znaczy odźwierny, zaprowadził mnie, i przez pytania wpuścił; miał bowiem surowo nakazane każdego potrzebnego, abo proszą-

cego, przed jego przewielebność prowadzić. — Tedy wszedłem, i Pana Jezusa pochwaliwszy, cicho u proga stanąłem. Przywołał mnie k'sobie, wysłuchał łaskawie i pomyślawszy nienajdłużej, srogie utrapienie moje cale załagodził.

— W jakim sposobie? — spytał Wojciech ciekawie.

— Ano, podsunął mi księgę rozwartą, i kilka wierszy głośno przeczytać rozkazał; zaczem dał pióro, papier i czarkę z inkaustem i całą modlitwę Pańską musiałem z pamięci napisać. Pochwalił, że niedarmo do szkoły chodzę, potem zasię tak rzecze: „Nie twojać to wina, że do łacińskiego języka głowy nie masz; trudna to nauka i pierwszemu lepszemu nieprzystępna. Ze zasię do sakramentu kapłaństwa droga ino przez łacińskie wrota, znak przeto z nieba jest widomy, że cię Pan Jezus sam ze ślubu zwalnia. Jeżeli ano chcesz mimo wszystko za ocalenie życia Mu odsługować, masz wiele inszych k'temu sposobów".

Nie będę się rozwodził, jako dalej ze mną gadał, trzydzieści pięć lat mija, to i z pamięci wyleciało niejedno. Dość, że mnie zaprowadził do sławnego na cały Kraków muzykusa, co w katedralnym kościele przy świętem nabożeństwie na chórze grywał, i kazał mię uczyć na organach. Sam płacił onego nauczyciela.

— O retyści... z deszczu pod rynnę! — zawołał Wojciech.

— Zabawka to, w przyrównaniu z łaciną; — odparł organista. — Po prawdzie rzekłszy, blizko trzy lata zeszło, zanimem się ze wszystkimi pedałami i kluczami zapoznał, nuty czytać nauczył, a i palce, twarde jak patyki, koślawo stukały po klawiszach. Ale dziękować Bogu, już ta bieda przemineła od świętej pamięci, a dwudziesty osmy rok w Porębie organistą jestem. Ino w jednej rzeczy zmylił świątobliwy profesor.

— Cóż takiego?

— Trza było ślubowanie choć w połowie spełnić, i w bezżennym stanie do śmierci pozostać... Ha, darmo, wymigał się człek od piekła, niechże znosi czyściec. Macie ta jeszcze kapkę miodu kumoter? Na zdrowie wam!

— I wam!

— I wam!

Wojciech odchrząknął, poskrobał się po głowie i westchnął.

— Wola boska; niema kącika, gdzieby nie było krzyżyka ...

— Chyba do was się ta przypowiastka nie stosuje? Macie kobietę zdrową, pracowitą, spokojną; dobytek piękny, dzieci.

— Ot właśnie ...

— Cóż takiego?

— Utrapienie z brzdącem . . .

— Wawrzuś?

— A ino.

— Stało mu się co? — spytał Piotr.

— Stać, to mu się po prawdzie nic nie stało . . . ino jak Walanty do Jana z Kęt, tak ja do was obu przychodzę rady szukać.

— Hoho, mnie ta nie wzywajcie, chyba o Kondusię będzie chodziło, — odezwał się ze śmiechem organista; — ona moja chrześnica, do Wawrzka mi nic.

— Ee... wiadomo że co dwie głowy, to nie jedna. Słuchajcież oba i powiedzcie co się wam zda.

— Słuchajmy pilnie. Wasze zdrowie kumie!

— Ano tedy, żeby prawdę rzec, a nie zełgać, wielką mam troskę, bo mi cosi chłopaka urzekło.

— Ale hale... nie może to być; któżby taki na ten przykład?

— Przecie na dziesięć mil wkoło ani jednej czarownicy nie uświadczy; — powoli, z namysłem cedził Piotr. — Ostatnią wójt na Zaborówku tak rok pławić dawał, a potem ją gdziesi kajsi starościńscy do grodu na sąd powieźli. Od tego czasu nie słychać nic.

— Ino wam się zwiduje, czy co? Jakież oznaki macie na owo urzeczenie? — zapytał Walenty.

— Ktoby mu się ino raz przyjrzał, zmiarkowałby, że nieczysta sprawa.

— Powiadajcież.

— Ano, niespokojność niezmierna w rękach; ino się zerwie rano, pacierz puści na pytel, aż wstyd słuchać; jeszcze se nie pośniadał, już bylejaką trzaskę, abo sęczek do ręki i rzeza kozikiem...

— Na wióry stróże? A cóż mu po tem?

— Gdybyć na wióry, powiedziałbym głupie dziecko, bawi się. Ale w tem właśnie widzę najpewniejszy znak urzeczenia, że jakiesi osóbki, ptaszki, pieski wyrabia, i tak się zapamięta w onej głupocie, że o bożym świecie nic wie. O jadło nie prosi, gadać do niego, nie słyszy; dopiero jak zwalę pięścią w kark, to się nieco ocknie i pojrzy na mnie tak, jakby mnie pierwszy raz w życiu widział.

— Ej... cobyście się trapili po próżnicy, — rzekł machnąwszy lekceważąco ręką Walenty; — a niechże się dzieciak bawi, co wam to wadzi?

— A żebyście wiedzieli, że wadzi, nawet bardzo; dzień w dzień jakowaś szkoda, albo kłopot z jego przyczyny. Cud boski, jak wszystkie krowy przyżenie na wieczór do domu. Ot i dziś, idę do lasu zajrzeć na moje barci, patrzę, ten niedojda siedzi na górce pod brzozami, wiecie, tam, wedle Maciejowego jęczmienia. Dłubie kozikiem biały klocek, aż

drzewo zgrzypi. Podszedłem do niego tuż, zaglądam, krówka jak żywa. Ślepie, rogi, uszy, ogon krzynę w bok odrzucony, że się to niby przed muchami ogania. Powiadam wam, ażem zgłupiał. Ale zato Krasa i Gwiazdula hań, hań, aże nad rzeką, a Wiśniochę dyabli wzięli. Pół dnia zbiegałem po lesie, zanimem ją odszukał.

— Wytrzepać skórę, to na drugi raz będzie uważał, taka moja rada — rzekł Piotr.

— Przecie znam ojcowskie prawo, bicia mu nie żałuję. Tyle go ino ominie, co matka mnie czasem przytrzyma za rękę. Wszystko nadarmo: ja swoje, on swoje.

— Ano, nieposłuszeństwo w tem widzę i niedbałość; nijakich czarów nie uznawam. — Objawił swe zapatrywanie Walenty.

— Odebrać kozik, najlepsze lekarstwo; — dodał Piotr. A nie przybierajcie se byle czego do głowy kumotrze; małe to jeszcze, przyjdą lata, przyjdzie rozum.

— Sprawiedliwie gadacie, Bóg wam zapłać. Jednakowo, kiej pomyślę, że za osiem lat chowania, pociechy nijakiej, ani wysługi z dziecka nie mam... Ot, pójdę do domu, albo lepiej na łąkę; kto go ta wie, co znowu zbroił. Niech będzie pochwałony; a zajrzycie ta kiedy do nas.

— Na wieki wieków. Przyjdziemy oba, a jakże.

Podczas gdy ojciec skarżył się na niedolę, że z ośmioletniego chłopaka nie ma pomocy, stary ów zbrodniarz z sercem pełnem skruchy, prowadził tatusiowe krówki na pastwisko. Widno szczerze postanowił się poprawić, bo w ręku tylko pręt trzymał do poganiania upartej Wiśniochy, a biedny ukochany kozik wsunął w zanadrze. Gdy go używać zabroniono, a patrzeć nań pokusą jest do złego, błogo przynajmniej mieć go tuż przy sobie.

— Wawrzek... cóżeś taki nadęty jak sowa? Boli cię na wnątsu, cy moze tatuś kijasem ołatali?

Płowa główina wysunęła się przez dziurę w płocie, za nią zgrzebna koszulka przepasana krajką, dwie brudne opalone rączki, i takież nogi do krwi skąsane od komarów; krótko mówiąc, jedyny serdeczny przyjaciel Wawrzusia — Mikołajów Jasiek.

— Mas se wiedzieć ślepoorodzie brzyćki, ze na mnie kija nie potrza. Raz w kieło cas tatuś mnie zerzną zemykiem i dość. Dziś mi się należało bicie w porządku, ino... nie było cem. Matusia myślą, ze ja nie wiem, co oni zemyk za piec wrazili, chi, chi, chi. Chodź ze mną na paświsko, będziemy sie tulać z górki. No, prędzej.

— Nie mogę. Pośli na kiermas, kazali siedzieć w chałupie, Hanki pilnować, coby nie wyleciała z kołyski.

— Aha, az tutaj słychać, jak krzycy! Dadzą ci matusia piastowanie, jak wrócą...

— O rany!...

Skręcił się Jasiek w śrubę, przecisnął przez kolące chrusty, już tylko nogi widać... już tylko jedna pięta... już niema nic.

Gwiazdula naprzód, Krasa i Wiśniocha za nią, Wawrzek na ostatku, w pięknym ładzie i bez przygód, zaszli wszyscy czworo na tatusiową łąkę. Chłopiec podpędził krowy bardziej ku lasowi, żeby je księdzowe żytko nie kusiło, a sam rzucił się jak długi na ziemię i wsparty na łokciach wodził oczyma po łanach kwitnącego żyta, po krzywych wierzbach wzdłuż rzeki.

— Mikołajów chałupa jakosi jedną stroną do ziemi przysiadła; — myślał, poglądając na zrzadka rozsiane sadyby, otoczone gęstwiną owocowych drzew. — Musi bardzo stara, bo carna i mechem porośnięta... Nasa, to ci dopiro piekna; jakie to bierwiona grube, hoho, jeden w jeden ze starych modrzewiowych pni. Tatuś sami jeździli do boru, sami ścinali, sami budowali, ino im Błazej ze Zaborówka pomagał. Godali tatuś, ze ona jeszcze będzie stała, jak nase prawnuki pomrą. Co to za jedne te prawnuki?... A niech se ta mrą, choćby i dziś; nic mi po nich... A jak u nas ciepluśko w zimie! Śniegu nawieje z nieba tyla, co ino stsechy stercą z pod onych białości. Z rana

łopatami drogę cynią, zeby się drzwi dały otwierać. Potem, wedle okien odgzebią, bo śniezysko błony pozasłania, i w izbie carna noc. Potem matusia rozpalą ogień, obiad warzą, a my se siedzimy dookoła, gzejemy sie. Ino ten dym straśnie w ocy gryzie, az nawet samemu tatusiowi łzy lecą. Jak się weźmie słać po izbie, to go w kazdym kącie pełno, ino bez dach nie chce iść. Boi się, coby nie zmarzł. A pod wiecór, to nie ino matusia, ale tatuś krokiem za drzwi nie idą, choć wrota mocne i parkan wysoki. „Głodnemu wilku głupi ino dowierza", gadają tatuś. Ciekawość, duzo tez ta wsi na całym świecie? Chyba nie wiela. Pusca ino i pusca. Tatuś mnie brali ze sobą, jak jeździli do barci miód podbierać. Tak mi się psyksyły one dzewa i dzewa, pod samo niebo. I znowu jeszce więkse, jeszce grubse, jeszce gęściejse. Pewnikiem za puscą to już jest koniec świata i piekło; nawedem raz słysał, jak coś straśnie wyło. Ani chybi dyabły se robiły smak na chrześcijańskie duse. Kunie to ci tak chrapały ze strachu... Jakze? Dyabłów by się nie bały? Tatuś batem zacięli, ale niepotsebno, bo ze swojej woli gnały jak ten wicher, omal wozu nie potsaskały o kamieniska i kozenie. A jak my psed chałupe zajechali; to tatuś ino jedno słowo burkneli do matki; nie zmiarkowałem jakie, ale mnie w te pędy kazali klęknąć przed krzyzykiem i cały paciez

zmówić. Oni myślą, ze ja nie zgadł, co to było? Dyabły nas goniły i chciały porwać do piekła. Ale się tatuś gozyj bali, niz ja. Cięgiem ino krzyceli: „Jezusie Maryjo... ratujcie nas!“ A nad kuniami to przez końca święte krzyze znacyli. Wszystko to dobze, ino co mnie tak w łokieć gniecie? No... widzicie ludzie... kozenisko jakiesi! Ehe, juści, cudak nie kozenisko. Sprawiedliwie wygląda jak jascurecka. O... pyszcek, ino ślipki naznacyć, tu znowu łapki jakraz gdzie się nalezy; wydłubać ksynę i gotowe. Ogon ci ta długocki... psytnie się kapkę i będzie.

Wyciągnął! z zanadrza kozik i obejrzał się.

— Zbiją tatuś... A zacoby mieli bić? Dy krowy w poządku, to mi wolno robić, co chcę.

I dalejże skrobać, dłubać, wygładzać, zaokrąglać, zaostrzać; brwi zmarszczył, koniec języka wystawił z ust i poruszał nim prędzej, lub wolniej, w miarę jak mu się robota lepiej, lub gorzej wiodła. Nie w głowie mu Gwiazdula, ni Krasa, co gorsza, nie w głowie mu tatuś.

Skończył. Ujął drewienko w dwa palce, wyciągnął rękę, żeby się zdaleka przyjrzeć, i przekrzywiwszy główkę, patrzał na swe dzieło z uśmiechem zadowolenia.

— Oj ty, ty... jakbym cie na ziemi do słońca połozył, toby się twoje siostry i bratowie zbiegli do cie. Inoby się dziwowali coś

taka niemrawa, chi, chi, chi... Jezu! A krowy gdzie? Rety... ludzie... o matko... tarasą tez to plebańskie zyto, tarasą!

Zerwał się jak oparzony, ale i w tej minucie rozpaczy i grozy, nie zapomniał o rzeczach najważniejszych; jaszczurkę i kozik wsunął za pazuchę.

— O Jezusińku... jakze ja sobie z niemi dam rady! Oj spierą mnie tatuś spierą... chyba mnie na śmierć ubiją! O rany... Kuba, Szcepon, Bartek z kijmi... juz po mnie!

Nie pytając wiele, co się z krowami stanie, potoczył się z górki jak kula, prosto do rzeki.

— Niech mnie ta gonią... Pan Jezus miłosierny... moze w tej stronie brodu nie znają, a ja znam. Rzyka głęboka, będą się bali.

Chlupnął bez namysłu, woda go z głową przykryła, ale w oka mgnieniu, o parę stóp w prawo, wynurzyła się jasna czupryna, a krok dalej, już tylko po kolana. Posuwał się zwolna, macając nogą ostrożnie, żeby na dziurę nie natrafić.

Parobcy księdza proboszcza, zajęci wypędzaniem bydła ze szkody, nie spostrzegli w pierwszej chwili, gdzie się pastuszek podział. Karbowy Kuba wydawał rozkazy.

— Ty, Bartek, odprowadzisz gadzinę*)

---

*) W krakowskiem lud nazywa gadziną zwierzęta domowe i drób.

do naszej stajni; jego wielebność przeznaczy sam, ile dni odrobku przy żniwie ściągnąć z Wojciecha; a smykowi to już ja skórę wyłoję wedle pamiątki.

— Ihi, jušci; — szyderczo się rozśmiał Szczepan, skryty przeciwnik, zazdrosny o władzę Kuby; — jušci mu ta pilno czekać onej pamiątki; widzicie, jak pieknie przebrodził rzekę, o! już na drugi brzeg się spina!

— Tysiąc pieronów! Goń... łapaj... No, lećże... co stoisz?

— Nie pójdę; brodu nie znam... pływać nie umiem...

— To gnaj krowy niedojdo. Bartek, chodź, a raźno!

Pobiegli czwałem. Kubę dwa razy woda z nóg zwaliła, musiał mu Bartek podać rękę, i zbawiwszy dobry kwadrans ledwie się na drugi brzeg wygramolili. Karbowy rzucił okiem po piasku nadbrzeżnym, ślady bosych nóżek biegły w kierunku lasu. Rzucili się obaj w tę stronę, zamajaczyła im szara koszulka... Wawrzek dopadł pierwszych krzaków, stracili go z oczu.

— O matko... już krzycą... wołają na mnie! Co takiego?... Kuba wrzescy, co mnie na śmierć zatłuką! Ino mnie złapcie pirwy!

Gibki, drobny, a sprężysty, odbijał się nóżkami od ziemi, dawał susy jak piłka, coraz dalej, coraz głębiej w las... Głosy goniących

parobków słabo już tylko słychać było, prawdopodobnie zgubili ślad. Ale i dziecko traciło siły. Upadł pod gęstą leszczyną i dyszał głośno.

— Ojej . . . kłóje mnie w środku . . . choćby mnie ta i naleźli nie ruse sie . . . w bokach boli . . . matusiu!

Dokoła cisza, spokój, ani ptaszków nie słychać; czasem coś smyrgnie po gałęzi z drzewa na drzewo; to wiewiórki się gonią. Wawrzuś pojęczał trochę, polamentował, ale z każdą chwilą robiło mu się lżej; bicie serca i kłócie w piersiach ustało, obrócił się na boczek, jak w nocy na sianie przy matusi, i usnął twardo. Zbudziły go skośne promienie zachodzącego słońca, przedzierające się dołem pomiędzy pnie drzew. Roje komarów drżały w świetlanych smugach . . . Jeden promyk zaświecił mu w same oczy, ocknął się i usiadł.

— A to dopiro! Cóż ja w lesie robie? Aha, aha, prawda . . . ale i tak mnie nie dogonili! Chi, chi, chi . . . Juści, śmiej sie głupi, ze cie nikt nie kupi. Tatuś cekają tam na mnie ze rzemieniem. Ino głowe bezedrzwi wraze, okropa świata co sie bedzie działo. Ano darmo, jęcenie jęceniem, a bicie biciem. Trza iść, bo noc zapadnie. — Wstał, przeciągnął się i popatrzył na wszystkie strony. — Aha, z tamtej gęstwiny tum dopadł, trza się tą samą drogą wracać.

Uszedł ze sto kroków i przystanął.

— Gnałem prosto od rzyki, to teraz pójdę ku rzyce, z górki na dół.

Zbiegł prędko, ale zamiast spodziewanego końca lasu i widoku na rzekę, znalazł się w gęstych zaroślach, ludzką nogą z dawna nie tkniętych.

— Nie, musiałem trochę zmylić, zawrócę ku słońcu, bo jakraz świeci do wody kiej zachodzi.

Ku słońcu, od słońca, z górki, pod górkę, błąkał się biedny dzieciak aż do zmierzchu. By zagłuszyć wzrastający niepokój, zaczął pogwizdywać pastusze piosenki... wreszcie zrozumiał, że nie trafi, wpół oddechu zerwało się gwizdanie, rozpłakał się gorzko. Stał bezradny, zmęczony, głodny, puszcza przed nim, puszcza za nim... Coraz ciemniej się robi... jakieś wielkie ptaki przelatują cichem skrzydłem... tam za krzakiem ktoś wzdycha... Suche liście chrzęszczą... coś idzie! Wawrzuś dech wstrzymuje, przytulił się do grubego buku, ani drgnie. Coś idzie, idzie, sapi, przeszło bokiem, cisza.

— O rety ... pewnikiem była dzika świnia, bo chrumcało. O... znowu cosi! Matko Boska nie daj mnie!

Wdrapał się na gruby konar pochyło zwisający, siadł na nim okrakiem i patrzy. Nibyto ciemno w puszczy, ale pełnia księżyca, to bodaj

gdzieniegdzie mdłe światełko między liście zagląda.

Wawrzuś drgnął.

— Śmignę wyzej, bo się boję... o Jezu znowu idzie! Jak tez to mrucy, mrucy...

Między krze i konary przeciska się wielki brunatny niedźwiedź; zły czegoś bardzo, bo co chwila przystawa, pazurami ziemię drapie i głośno mruczy.

— Moze głodny... a moze to matka, cosi jej dzieci zezarło?... Łaska boska, juz nic nie słychać. Oho, nie zlezę ja z tego drzewa, ani myślenia... zostanę tu na noc.

Usadowił się wygodnie na dwóch gałęziach tuż przy sobie rosnących, plecami się o pień oparł, przymknął oczy, i spokojny, że mu niedźwiedź nic nie zrobi, usnał prawie natychmiast.

Zbudziły go przeraźliwe jakieś niby szczekania.

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego amen. — Zmówił cały pacierz; wrzaski nietylko nie ustawały, ale słychać je było coraz bliżej... Z głębi puszczy wyszedł wilk z najeżonymi kudłami, usiadł na mchu pyskiem do księżyca, i zaczął wyć...

— O Przenajświętso Matko... to wtedy wilcy byli? A ja myślał, ze dyabli!...

ROZDZIAŁ DRUGI.

Dziwny pielgrzym.

U pszczół na obiedzie. — Rozpacz Wawrzusia. — Za głosem dzwonów. — Kąpiel w lesie. — Widziadło. — Co Wawrzuś wypatrzył pod kościelnem oknem. — „Chwytaj! Łapaj!“ Oczy pielgrzyma.

Wawrzuś obudził się przeziębły i bardzo głodny. Pojrzał z wysokości na wszystkie strony, cicho. Dziki, niedźwiedzie, wilki, wróciły pewno do legowisk, dopiero w nocy rozpoczną na nowo swe polowania i wędrówki.

Z gałęzi na gałąź pomykając, zsuwając się po pniu, dotarł do najniższego konara, i zeskoczył na ziemię. Patrzy znowu, nasłuchuje, nic.

— Juz tez ta dziś nie będę się kręcił w kółko jak głupi, — myślał nauczony wczorajszem doświadczeniem — ino se pójdę prosto i prosto, ani raz się nie zawrócę. Do jakiego przecie końca dolezę, ludzi moze napotkam, to mnie do tatusia odprowadzą. Dy tatusia wszyscy znają. Ino teraz szukać trza jadła jakiego; skręca mnie cosi na wnątsu, jak wióry . . . a mgli . . .

Zerwał parę listków kwaśnego ziółka, zwanego zajęczą kapustą, zeżuł i połknął.

— Dobre to psegryźć po kluskach, jak się psyksy darmo łezeć na pastwisku; ale na głodno ... Tsa iść, stanie mi jeść nie da.

I poszedł, gdzie oczy poniosą, nie zbaczając ani na prawo, ani na lewo, ciągle prosto, jak sobie to postanowił. Głód bardzo doskwierał, godziny mijały, a gdzie spojrzy, ino mchy, paprocie, jałowce, a górą stare grube pniska... aż strach ogarnia, co to dalej będzie. Nogi takie ciężkie, spać się chce, czy co takiego?

— Choć do słonecka pójde się ogrzać; jakasi polana ... drzew tam niema; połoze sie na trawie, pośpie, moze mi zelzy.

Widok zielonej dolinki o kilkanaście kroków, słońcem oblanej, dodał mu otuchy. Podbiegł w tę stronę.

— Raju... cerwona trawa! Nie... to jagody!

Rzucił się drżący zgłodu na ziemię, jadł, jadł, i odejść się nie mógł.

— Jaśka by tu puścić, ten ci przepada za poziomkami! Alezem sie naładował setnie; jaze mi w ocach pojaśniało.

Wyjął z zanadrza drewnianą jaszczurkę, przypatrzył jej się z lubością, westchnął i pokiwał głową.

— Widzis głupia, wsyćko twoja wina; bez ciebie ja tak na pustyni pokutuję! Wylegas sie pieknie jak królowa, a ja mizeracek tyle

pędy muse rypać, Pan Jezus jeden wie, kaj zajdę. No, idź spać, pora na mnie.

I wędrował dalej. Za wiele jednak ufał poziomkom; ani dwie godziny nie minęło, znowu głód. Zebyż choć nadzieja wyjścia z tego przeklętego lasu! Drzewa olbrzymie konarami u góry się plączą, w zielone sklepienie wiążą; chłód, mrok, nieba nie widać, słońca nie widać, ponura, głucha cisza... Kukanie kukułki słabo dolatuje; widno wszystkie ptaki pouciekały z tej ciemni do słońca.

— Cosi pachnie... — pociągnął głęboko nosem; — jušci, miodem wonieje, woskiem... barć tu gdzieś musi być bliziutko. Trza patrzeć, gdzie wypróchniałe drzewa. — Podniósł głowę i śledził pilnie. — Zeby ino nie za wysoko. Oho... pscoły się uwijają... mojeściewy ślicne, pokazcie mi drogę!... Jest! Oj skoda, ze mnie tatuś nie widzą, boby mnie pochwalili. Wszystko człowiek ma na zawołanie: i kozik, i hubkę i krzesiwko; a zawdy ino gadają, żem niemrawiec.

Skrzesał ognia, rozjarzył kawałek hubki, wsadził w szczelinę wypróchniałego drzewa, tuż przy otworze barci, a sam czemprędzej uskoczył w bok, bo rozwścieczone pszczoły mogły się nań rojem rzucić i na śmierć zakłóć. Schowany za rosochatym wiązem, czekał cierpliwie, czasem jedno oko wysuwając. Gorzki, gryzący dym z tlejącej hubki rozsnuł się bia-

ławym obłoczkiem dokoła barci, aż i przedostał się szparami do wnętrza. Z głośnym brzękiem wyleciało kilkaset pszczół na powietrze; zatrzymały się przez parę sekund w miejscu, jakby naradzając się co robić wobec tak strasznej klęski, i zbite w kłąb, pomknęły ku górze.

Niejeden dorosły nawet człowiek, ale nieświadomy rzeczy, korzystałby z pomyślnej chwili i śmiało szedł miodu wygarnąć z opuszczonej barci. Wawrzek tyle razy napatrzył się robocie ojca, że i sam zachował się jak stary, doświadczony pasiecznik. Wiedział, że na straży ukochanego ula i bogatej spiżarni, zostaje zawsze kilkadziesiąt najwytrwalszych pszczół, i te, albo giną uduszone dymem, albo opuszczają barć o wiele później od swych poprzedniczek. Stał więc ciągle za drzewami i czekał. A hubka nie przestawała się dymić.

— No, moze ta juz macie dość? Mnie samego w nosie kręci, to chyba uciekły, abo pomarły. (W mniemaniu ludu pszczoła za to, że dostarcza wosku na światło do kościoła, ma wyższość nad innymi zwierzętami, że nie zdycha jak one, tylko umiera jak człowiek.)

Wawrzuś wysunął się z kryjówki, powolutku się zbliżał do upragnionego celu, a ciągle rzucał oczyma na wszystkie strony, czy się gdzie jeszcze jaki niedobitek nie pokaże. Wspiął się na suchy konar i zajrzał do wnętrza barci.

— To ci komora pełna! Hej hej... pewnikiem niepamiętne łata się tu mają, a nikt o nich nie wie. Nawet mi nie zal, ze takim bogackom ubiorę krzynę.

Śpiesznie zastrugał ułamaną gałązkę w kształt łopatki, liść łopuchowy położył na lewej dłoni, podważył grubą warstwę z pod samego wierzchu, i wyciągnął śliczny biały plaster, złotym gęstym miodem kapiący.

— Teraz w dyrdki ucickaj, bo cię jesce dogonią! — ze śmiechem sam siebie straszył, i przygasiwszy hubkę, pobiegł pędem kilkadziesiąt kroków dalej. Usiadł pod dębem i zajadał chciwie, wyssany wosk popluwając.

— Dalibyście chleba matusiu... nijako tak samo słodkie łykać — szepnął pół żartem; ale na wspomnienie matusi, takiej bardzo dobrej, co to i umyła, i uczesała, upieściła, do sytości jeść dała, a przed każdą biedą osłoniła, zgorzkniał mu w ustach miódł słodziutki, a oczy łzami zaszły.

— Biedny ja biedny, taki samiuteńki, ani mnie nie znać w tem strasnem puscysku!... Nicem chrobacek. Jak mnie wilcy zagryzą, abo niedźwiedź udusi, to ani ptaszecek nie poleci do Poręby dać znać, co juz nima Wawrzusia. Oj, Boze, Boze... ady się ulitujcie nademną święci janiołowie i wyprowadźcie mnie na jaką dobrą drogę!

Wylizał liść miodem posmarowany, rączki wytarł mchem i ziemią do sucha, i znowu prosto przed siebie. Słońce się ma ku zachodowi, ale w odwiecznym boru jednakowy mrok o zaraniu, w południe i pod wieczór. Wawrzuś bardzo już zmęczony; długą drogą zmęczony, i płaczem, i tęsknotą za matusią. Ogarnęło go jakieś odrętwienie, idzie jak we śnie, a tylko niekiedy dreszcz go przebiega . . . ta puszcza nie ma końca, będzie tak szedł, szedł, aż umrze.

— O Matko Boska z matusinego obrazka... weź mnie biedne dziecko do nieba! Juz nikaj nie pójdę, połozę sie tutok, niech sie dzieje, co chce. Ino paciez jesce zmówie psede śmiercią. Ojce nas, któryś jest w niebie, święć sie imie Twoje, psydź królestwo . . . .

Zerwał się na równe nogi.

— Słysycie ludzie . . . dzwony! Dzwony... dzwony . . . Rety! Kościół kajsi niedaleko! Matko najświętso . . . nie bede juz umierał, nie! Lecę ku dzwonom! Jakasi wieś niedaleko . . . o Panie Jezusie . . . o moja złota matusiu!

Wesoły, zdrowy, silny, wypoczęty, rzucił się pędem strzały w stronę, skąd głos dzwonów dolatywał. Wsi wprawdzie tak odrazu nie znalazł, ale drzewa zaczęły się coraz bardziej przerzedzać, światło zamierającego dnia wpadało między krzaki, chłopiec biegł, biegł, aż dotarł do jakiegoś wąwozu na skraju lasu.

Górą ślady kół i kopyt końskich, szły w kierunku wsi widniejącej zdaleka; patrzy na dół rzeczułka, raczej strumień, płynie sobie warciutko. Dno białym żwirem wysłane, a co kamień większy wystercza, to go woda bije i pianą obryzguje.

Wawrzuś ześlizgnął się po skrzypach i macierzankach na sam dół, zdjął koszulę i wskoczył do wody. Pluskał się, zanurzał i wypływał, pił chciwie, kładł się jak długi na płytkiem, to znów szukał głębszego miejsca i próbował pływać; wybiegał na brzeg poto tylko, by wracać i pluskać się na nowo. Kąpiel orzeźwiła go do reszty i wygnała z głowy wszystkie czarne myśli.

— Śmiechu warte, jaki ja był głupi... cegozem się bał? Cóz mi się stało? Zjadło mnie co? A moze to nawet nie była pusca, tylko taki sobie zwycajny las? Chyba juz wylezę z tej wody, bo jak się ściemni, to znowu się gdzie zabłąkam.

Podniósł oczy ku zachodowi, zobaczyć co się dzieje ze słońcem i nagle przysiadł po szyję w wodzie, nie śmiejąc się ruszyć, ani odetchnąć.

— O Jezu... cosi znowu idzie... pomyślał kurcząc się, że mu tylko nos i oczy ponad wodę wystawały.

Brzegiem wąwozu, oświetlony czerwonym blaskiem, zachodzącego słońca, szedł powoli

człowiek jakiś. Wzrostu był więcej niż średniego, Wawrzusiowi jednak patrzącemu z dołu, wydał się na tem tle ognistem strasznym olbrzymem. Kapelusz miał czarny z szerokiemi kresami, białemi muszelkami w miejsce taśmy otoczony; płaszcz ciemny, niemal ziemi sięgający, z kończatą pelerynką i kapturem, przewiązany w pasie trzy razy dokoła grubym szarym powrozem. Na lewem ramieniu, trochę ku przodowi, duża muszla biała. Podpierał się kijem zakrzywionym.

— Co tez to za jedno? — łamał sobie głowę przerażony chłopak. — Wielgośne, jaze okropa, na głowie grzyb, cy co takiego... carno zamatulone, śniade na gębie jak cygan... broda strasecna, pewnikiem upior, abo dusa pokutująca. Juści nie kto insy. O raju... złazi do wody... joj... zeby mnie tez nie uwidziało!

Wawrzuś podpełznął cichuteńko za wielki głaz na środku rzeczki, i patrzył, co upior będzie robił. Czarny człowiek zeszedł na sam brzeg, wyjął z zanadrza mały cynowy kubek, nabrał wody ze strumienia i pił. Kilkakrotnie napełniał naczynie, musiał być bardzo spragniony. Potem przyklęknął, zdjął kapelusz, odgarnął długie włosy, pochylił się i mył sobie twarz i ręce.

— O retyści... ady on nie ma ucha... obmierzle wygląda!

Kalectwo i czynności tak niezgodne z powagą istoty nadziemskiej, jak picie i umywanie, uspokoiły trochę Wawrzusia; nie wychylał się jednak ze swej kryjówki i nie dawał znaku życia, bo ten dziwnie odziany, ponury człowiek przejmował go strachem i wstrętem.

Wypocząwszy nad rzeką, pielgrzym wydrapał się na górę i poszedł leśną drogą ku blizkiej wsi, czy miasteczku, dopiero wtedy odważył się dzieciak wyleźć z wody. Naciągnął koszulinę na mokre ciało, owiązał się krajką, jaszczureczkę, kozik i krzesiwo zasunął aż ku plecom, żeby się te skarby Broń Boże nie pogubiły, i puścił się w tę samą stronę co straszny człowiek, ociągając się i zwalniając kroku.

— Niech se ta idzie naprzód, a ja za nim; abo mi to pilno? Moze to carownik? Jesceby mnie w psa zaklął, abo w kunia, do roboty naganiał a katował. Nie głupim.

Ściemniało się coraz bardziej, na Anioł Pański dawno przedzwoniono, a Wawrzuś jeszcze siedział nad przykopą, żeby się nie zejść z czarownikiem. Aż i gwiazdy wysypały się na niebo.

— Pójde juz — rzekł, zdobywając się na odwagę. — Zapukam do jakich drzwi, ulituje się kto, pozywi i przenocuje.

Ale zadługo się wahał i czekał; właśnie gdy mijał pierwsze domki miasteczka, dało się

słyszeć przeciągłe buczenie rogu i głos nocnego stróża: „Świaaaatło gasić! Świaaatło gasić!“ Ze względu na niebezpieczeństwo pożaru, istniał surowy przepis po miastach i miasteczkach, że w godzinę po zachodzie słońca w lecie, a w cztery lub pięć w zimie, (w miarę ubywania dnia,) stróże nocni trąbili po ulicach i nakazywali gaszenie ognia w piecach i światła w izbach. Równocześnie zamykano drzwi domów i bramy zajazdów. Biedne dziecko znalazło się więc znowu w bardzo przykrem położeniu. Księżyc nie wszedł jeszcze, uliczki wązkie, ciemne, szło biedactwo bez celu, aby się gdzie ino do muru przytulić i przespać. Zbliżył się do jakiegoś domostwa, z szerokim okapem dachu opartym na drewnianych słupkach.

— O, tutok będzie spanie pańskie, lepse niz wcoraj na drzewie. — Ledwie przysiadł na przyzbie, dało się słyszeć z za płota straszne ujadanie psa, ktoś uchylił okienka i gruby gniewny głos odezwał się:

— Cóż tam za truteń łazi po nocy i uczciwym ludziom spać przeszkadza!

— To ja, Wawrzuś Wojciechów... — zapiszczało dziecko.

— A nie pójdziesz ty do domu, nicponiu szkaradny! Ledwie to od ziemi odrosło, już się włóczy jak złodziej. Idź mi zaraz do domu!

— Kiej nie trafię!

— A wyjść na ulicę umiałeś? Wynoś mi się... bo psa spuszczę z łańcucha!

Okienko zamknęło się, pies tak zajadle szczekał, aż chrypł z wściekłości; gotów jeszcze płot przesadzić.

— Wynosić się, to się wynosić; pójdę kaj indziej... ino ze te nogi straśnie bolą.

Powlókł się dalej. Dochodzi do rogu ulicy...

— Cie wy cie wy... cóz za placosko wielgośne! Naco takie? Z cterech końców ulice, domy dokoła, ani w Porębie tak nie mają. A co tez to wozów, kuniów, ludzi... powyprzęgali, na ziemi se posłali słomę i śpią. Pójdę między nich, legnę cichuśko, ady im nie ubędzie. O matko... zbój z siekierą okropecną! W drugiej ręce takie coś... psykłada do gęby, trąbi...

— Gaaasić ogień! — krzyknął stróż, dojrzawszy światło migające jeszcze gdzieniegdzie w okienkach. Podszedł do bram i stukał w nie halabardą.

— Aha, to pewno sam dziedzic; parobków zwołuje, cy co? Poprose onego, moze mi da chleba ociupine; tak się jeść chce... aha, a jak mnie zwali siekierą? Tsa uciekać... — pobiegł w przeciwną stronę rynku. A to ci stodoła dopiro! Naco taka? W imie Ojca i Syna... wieza! Dy to kościół! Panie

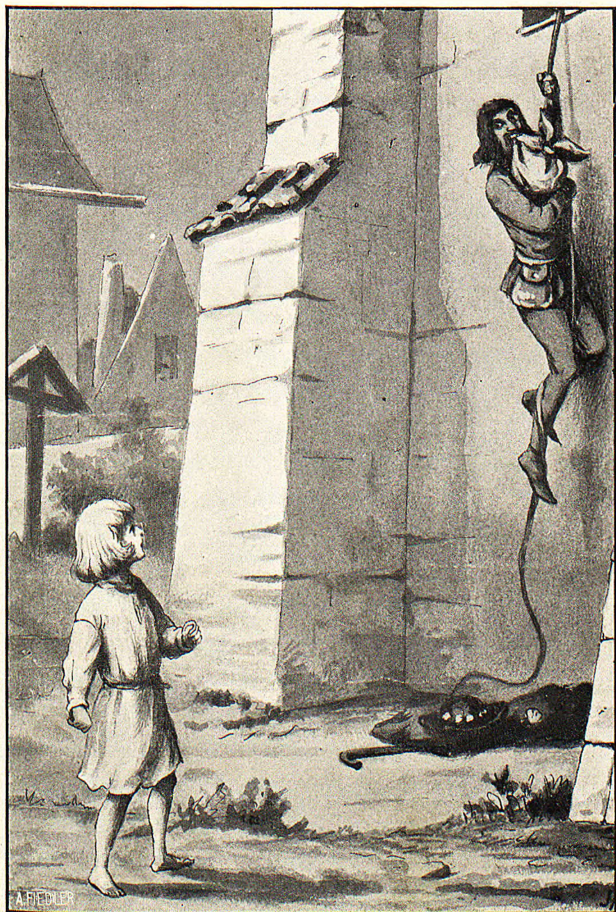
Jezusie przenajświętsy... psecie mnie Ty, od swego domu nie odgonis? Najbidniejsemu zebrakowi wolno, to i ja chrobacek prześpię się na schodach. Nie, tak na samym wierzchu nie tsa, mozeby się dziedzic gniewali; schowam się za psymurek; tu mi się tez to bedzie spało, spało...

Wlazł do kąta przy jednej z pięciu szkarp podpierających prezbiteryum i położył się.

— Ojoj... cyjesi tu łachy lezą... tsa usunąć, cobym bez sen nie potarasił. O ludzie! — krzyknął, i czemprędzej usta sobie ręką zatulił. — Płasc... kapelus... z muselkami, kijasek... takem sie onego zatraceńca bał, a tu mas, bedziemy razem nocowali! Ino gdzie polazł? Pójde se legnąć po tamtej stronie kościoła.

Odszedł trzy kroki i szukał, gdzieby się najbezpieczniej skryć przed czarownikiem. Księżyc wypłynął już z poza nizkich domków na niebo, i rzucał jasne światło; coś zgrzypnęło: jedno z okien kościelnych otwarło się powolutku, a po grubym sznurze uczepionym u klamry żelaznej, spuszczał się człowiek. Rękami trzymał się powroza, a w zębach ściskał nieduży tobołek zawinięty w szmatę.

Wawrzuś stał jak skamieniały i patrzał... ale i tamten spostrzegł go równocześnie. Stłumiony krzyk wydarł mu się z piersi, zęby puściły zdobycz, tłomoczek upadł na ziemię,



»Rękami trzymał się powroza, a w zębach ściskał
niedużych tobołek« (str. 48).

(H. ż. Ciż.)

a ze szmaty licho związanej w pośpiechu, wysypały się złote naczynia kościelne i promienista monstrancya.

Złodziej zeskoczył z wysokości kilku stóp, i twarz wykrzywioną złością okrutną zwrócił ku dziecku.

— O mój Jezu... to on... to ten sam!

— Widziałeś? — krzyknął czarny człowiek, patrząc w prawo i w lewo, czy się kto nie zbliża? — Widziałeś? To dobrze; już na tym świecie nic więcej nie zobaczysz.

Rzucił się ku niemu z wyciągniętemi szponami, aż tu nogą zaczepił o swój płaszcz tylko co przez Wawrzusia wysunięty z kąta, i runął jak długi na ziemię. Chłopiec odsadził się w dwóch susach jak spłoszony źróbek i biegł, ziemi prawie nie tykając, z wrzaskiem przeraźliwym:

— Zadusi mnie! Zadusi mnie!

Złodziej widząc, że go nie dopędzi, a słusznie bojąc się ludzi, pozbierał czemprędzej złote naczynia, związał w węzełek i pomknął poza kościół w najbliższą uliczkę.

Na pisk Wawrzusia, rozdzierający ciszę nocną, zbiegło się dwóch stróżów nocnych i kilkadziesiąt ludzi spoczywających w rynku przy wozach z towarami przygotowanymi na jutrzejszy jarmark.

— Czego się drzesz licho przejęte? —

huknął na niego stary Mikołaj, waląc o ziemię halabardą.

— Cni ci się za prętem? Widzicie go! — dorzucił drugi stróż. — Tyle rejwachu po nocy; zerznąć skórę, jak się patrzy i tyla.

— Cichojcież — przerwała jakaś kobieta z tłumu — chłopak już duży, nie krzyczałby, jakby nie miał o co. Trzęsie się ano jak listeczek. Cóż ci to, synku? Powiedz, nie bój się.

— Zło-zło-o-dziej mnie go-nił . . . ch-chciał udusić!

— Gdzie złodziej? Jaki znowu złodziej? — burknął Mikołaj obrażony, że pod jego czujną halabardą, śmiał ktoś przypuszczać możliwość podobnego bezeceństwa.

— Gdzie złodziej? — powtórzyli zaciekawieni ludzie, skupiając się około dziecka.

— Wyłaził oknem z kościoła, złotości się rozsypały, a jak mnie uwidział, skoczył z rękami na mnie i gadał, co mnie udusi.

— Ot, plecie bajtała trzy po trzy.

— A co wam szkodzi zajrzeć do fary? Niech pokaże co widział i gdzie.

— Racya, dobrze gada niewiasta; chodźmy.

I posunęli hurmem ku kościołowi, Wawrzek prowadził.

— Jezus, Marya . . . był złodziej!

— Okno otwarte!

— Sznur wisi aż do ziemi!

— Nie skłamało dziecko! — krzyczeli ludzie, jedno przez drugie. Dokoła Wawrzusia huczało jak w ulu: w domostwach otwierały się okna, wychylały się z nich pytające głowy kobiece; mężczyźni wybiegali przed domy, tłum zwiększał się z każdą chwilą. Jedni biegli zawiadomić proboszcza i burmistrza o świętokradztwie, inni z krzykiem rozsypali się po miasteczku, ktoś uderzył w dzwon na trwogę, Wawrzuś stał ciągle otoczony gromadą ciekawych. Stróż Mikołaj potrząsnął go za ramię.

— Gadajno dziecko, przyjrzałeś się też onemu dobrze? Poznałbyś go?

— Jeszceby nie? Juzem go dziś widział w lesie nad rzeką; a teraz, miesiąc mu świecił prosto w twarz, od razum poznał, że ten sam.

— Jakże wygląda?

— Ano, duzy, ciemny na gębie, broda carna...

— Wybornie! — przerwał któryś z ludzi — a jak był odziany?

— Nicem cudak, abo carownik — odpowiedział Wawrzuś. Opońca z kapturem, kapelusz z muselkami.

— Pielgrzym! Pielgrzym! — zawołało kilkoro naraz.

— A jakże, był tu taki przed wieczorem!

— I ja go widziałem!

— I ja!

— I ja!

Wszyscy obecni zaczęli sobie opowiadać, gdzie który spotkał pielgrzyma; byli tacy, co rozmawiali z nim nawet. Inni widzieli, jak wchodził do kościoła.

— Aha... — zawołała jakaś dziewczyna — schował się pewnikiem do kąta, i dał się zamknąć.

— Słusznie. Ino krótkie miał odzienie, wyraźnie widziałem.

— Nic dziwnego, szeroki płaszcz zawadzałby mu przy wyłażeniu oknem.

— Aha, aha, jesce cosik! — zakrzyknął nagle Wawrzuś.

— No, co?

— Ucha nie miał... lewego.

— Co? Ucha nie miał? To ci dopiero!

— Ano, po takim znaku odrazu poznać.

Z drugiej strony rynku spieszno szedł burmistrz, zanim sześciu ceklerzy, czyli straż policyjna. Do ceklerzy przyłączyli się stróże nocni i prawie cała męska ludność miasteczka. Podzielono ich na trzy oddziały, i domyślając się, że zbrodniarz najprędzej będzie uciekał ku lasowi, bo tam w nieprzebytych gąszczach skryć się łatwo, a pościg prawie niemożliwy, rozkazał pan burmistrz zabiedz mu z trzech stron i przeciąć drogę do lasu.

Wyruszyli z latarniami i z pochodniami, bo jak na złość księżyc przysłoniły chmury.

— Rozstąpcie się ludzie! — zawołał ktoś w tłumie — ksiądz idzie!

Proboszcz z gołą głową biegł na przełaj ku kościołowi; stary zakrystyan z latarnią w ręku, nie mogąc mu nadążyć, przystawał w tyle zadyszany.

— Usuńcie się odedrzwi!

Ksiądz wyjął klucz z kieszeni i drżącą ręką ciężki zamek otworzył. Pilno mu było sprawdzić co najważniejsze, czy świętokradca nie tknął i nierozsypał komunikantów. Burmistrz pospieszył za nim. Pokazało się, że cyboryum było nienaruszone; proboszcz odetchnął spokojniej. Skarbczyk zaryglowany grubą żelazną sztabą i zamknięty na dwie kłódki, znaleziono także w całości, złodziej zabrał tylko to, co było na wierzchu w zakrystyi: dwa kielichy przygotowane do mszy św. na jutrzejszy odpust, relikwiarz złoty i takąż monstrancyę. Szukając po szufladach, wywlókł aparata kościelne i rozrzucił je po podłodze. Szkoda była znaczna, ale w skarbcu znajdowały się klejnoty i złote naczynia, dziesięćkroć większej wartości. Jeszcze nie posprzątali z podłogi wszystkich kap i ornatów, gdy uszu ich doleciały wściekłe wrzaski. Wybiegli z kościoła.

Tłum kilkaset głów liczący, prowadził pojmanego złoczyńcę. Gdyby nie ceklerze i stróże nocni, którzy go wzięli między siebie, poszarpanoby go żywcem na sztuki. Łagodna, raczej

ospała ludność miasteczka, popadłszy w szał, zdolna była do najsroższego okrucieństwa.

— Pasy drzeć z łotra! — wołano.

— Oczy wyłupić!

— Ręce odrąbać świętokradcy!

— Na gałęź!

— Żywcem spalić!

Z wysokości schodów kościelnych proboszcz krzyknął gromkim głosem:

— Spokój! Milczeć!

Najbliżsi usłyszeli rozkaz, posłali go wstecz, strażnicy ze swej strony uciszali rozhukaną zgraję, szumiało jeszcze i wrzało kilka minut, wreszcie zmęczyli się i umilkli. Burmistrz stanąwszy obok proboszcza, zawołał:

— Dość tych hałasów! Zbrodniarzaście pojmali, a sami sprawujecie się jak zbóje. O cóż krzyczycie? Wszak stoi skrępowany przed wami; jutro odwiezie go straż do grodu, sędziowie wydadzą wyrok sprawiedliwy, topór go nie minie, to pewna. Tedy nie szukajcie na nim pomsty, a zachowajcie spokój.

Tłum oprzytomniał i usłuchał. Nieznajomy, którego mimo pęt na rękach trzymali za ramiona dwaj ceklerze, skorzystał z chwili ciszy i usiłując pokłonić się burmistrzowi, rzekł tonem zupełnie spokojnym:

— Zezwólcie, miłościwy burmistrzu, abym — niewinny człowiek, rzeknął słowo w swej obronie.

Groźne okrzyki zaczęły się wyrywać z tłumu.

— Uciszcie się; niech mówi — nakazał burmistrz.

— Szedłem ulicą miasta — mówił nieznajomy — szedłem powoli, zmęczony długą drogą; nie w myśli mi było uciekać, ni kryć się; szukałem noclegu, a wszystkie domostwa były pozamykane. Tedy chciałem zapytać pierwszego lepszego przechodnia, gdzie plebania, i księdza proboszcza prosić o kąt i wiązkę słomy, a jutro rano byłbym poszedł dalej, bo do Krakowa zdążam. Aliści, pogrążonego w myślach, napadli ze srogimi okrzykami zbrojni ludzie, skrępowali do krwi i wloką niczem mordercę, gdy nawet nie odgaduję, o co mnie oskarżają.

— Oho, wilk w baraniej skórze! — krzyknął stary jakiś mieszczanin.

— Po drodze — mówił dalej pojmany — wyrozumiałem coś niecoś, domyślam się, że popełniono tu kradzież. Żali jednę nitkę cudzą mam na sobie? Ubogi jestem, głodny, bezdomny, ale uczciwy. Rozkażcie, panie, aby mnie puszczono wolno.

Jeszcze domawiał ostatnich słów, gdy z ulicy najbliższej rogatek wybiegło dwóch wyrostków z radosnymi okrzykami:

— Znaleźliśmy święte sprzęty, wielebny panie!

— Jest wszystko! Porzucił bezecnik pod płotem!

— A co? A co? Jeszcze teraz będziesz świętego udawał? — krzyknęło mu któreś nad samem uchem.

— Czyli zaprzeczam, że była kradzież? — odparł ruszając ramionami. — Złodziej uciekł, a niewinnego dręczycie.

— O ludzie . . . gdzież macie upamiętanie! — krzyknęła ta sama kobieta, która najpierwsza wypytywała Wawrzusia. — Ady zawołajcie dziecko, to nam powie, zali tego widział w kościelnem oknie, abo inszego.

— A prawda . . . święte słowa!

— Dawajcie chłopaka!

— Niema go!

— Pewno do domu poszedł!

— Nie, skrył się za przymurek. Chodź tu, chodź, czego się boisz? Zbój związany.

Przyprowadzono Wawrzusia przed oblicze pana burmistrza, ten go ujął za rączkę, i rozkazał przywieść bliżej pojmanego. Jeden z ceklerzy oświecał go latarnią.

— Przypatrz się dobrze; znasz tego człowieka?

— Nie znam go.

— Widzi wasza wielmożność . . . dziecko chyba nie kłamie! — tryumfująco zawołał obcy.

— Więc nie jego widziałeś spuszczającego się oknem z kościoła?

— Juści, ze jego.

— Czemuż tedy gadasz, że go nie znasz?

— Bo prawda. Wim ja, kto to taki? Dziś w lesie pirsy raz w zyciu go widziałem. To jakoz mam świadcyć, co go znam?

— Zaspanego, głupiego brzdąca, robicie moim oskarżycielem — z goryczą rzekł pojmany. — Zaiste, bezpieczno podróżnemu przechodzić przez to sławne miasto.

— Powiedz prawdę, możeś niedobrze widział, może ci się ino zdaje? Może to był ktoś podobny, a nie ten sam? — badał burmistrz Wawrzusia.

— Cóż mi się ma zdawać? Sami se obaccie, cy ma oba usy. Złodziej nie miał lewego.

Stary Mikołaj odgarnął ręką długie włosy nieznajomego.

. . . .

Gdy straż odprowadzała świętokradzcę do tymczasowego więzienia w podziemiach ratusza, zbrodzień odwrócił głowę i długie spojrzenie, straszny wzrok wilka schwytanego w samotrzask, utkwił w twarzy Wawrzusia. Górna warga drgnęła, błysnęły zęby...

— Do widzenia, małućki... — rzekł półgłosem.

Wawrzuś nagłym ruchem podniósł łokieć ponad głowę i przerażoną twarz wtulił we fałdy rękawa. Gdy znowu spojrzał na świat, pielgrzyma przed nim już nie było. Zakrywał go

tłum odprowadzający więźnia do lochu pod ratuszem.

Długo jeszcze na rynku roiło się jak w mrowisku; rozbudzeni ludzie żywo rozprawiali o zbrodni i zbrodniarzu.

— Naści, możeś ty nie wieczerzał; — odezwała się do Wawrzusia ta sama kobiecina, wtykając mu w garść skibkę chleba ze serem. Dzieciak nie podziękował nawet, rzucił się zgłodniały na jadło. Z podwiniętemi pod siebie nogami usiadł na garstce rozrzuconej słomy i zmiatał, aż mu się uszy trzęsły. Gdy zaspokoił pierwszy głód, oczy zaczęły mu się kleić, i zasnął sam nie wiedząc kiedy.

Spał długo, ale niespokojnie; zwidywały mu się straszliwe oczy świętokradzcy, to znów chciał przez sen uciekać przed nim, nogi wrastały mu w ziemię, a pielgrzym doganiając go, już, już sięgał mu karku.

Z krzykiem zerwał się na równe nogi i nieprzytomnym wzrokiem potoczył dokoła. Cały rynek pełen ludzi, pogrążony był w ciszy, wszystko spało, choć świtał już blady brzask.

Nagle, od ratusza doleciało zrazu kilka, potem cały chór zmięszanych głosów. Nad wszystkimi górował bas Mikołaja. W miarę jak się ludzie przy wozach budzili, gwar i zamęt wzmagał się i zbliżał. Coś się stało... Ale co?

Wawrzuś nie pojmował. Wytrzeszczył zaspane oczy, otworzył szeroko usta, słuchał...

— Ij... głupie gadanie... — mówił ktoś lekceważąco, — przecie drzwi na sztabę zasuwane.

— Jakto gadanie? Wszak sam stróż Mikołaj...

— Śniło się Mikołajowi.

— Krata w oknie przepiłowana! — krzyknął dobiegając ktoś trzeci.

— Skądże znowu? Krata gruba.

— Musi piłeczkę zacną miał przy sobie, to i przerznął.

— Ale że to Mikołaj zdolił spać tak twardo...

— Stary człek; zresztą, komuby przez myśl przeszło...

— I tak prędko? — zdziwiła się jakaś kobieta.

— Ano miał ze trzy godziny czasu.

— Posłali za nim ceklerzy?

— Ciekawość gdzie? W puszczę? Kamień w wodę.

— Rety... jak się burmistrz dowie!

— Ee... płakać nie będzie. Szkody w świętych naczyniach niema, dy Mikołajowi głowy nie zetnie.

— Ale psi syn sprawny!

— Wiadomo, z dyabłem w zmowie.

— Słyszycie ludzie? Złodziej uciekł w no-

cy oknem! zwiastował nowinę kościelny, wlokąc się ślamazarnie na plebanię.

— Ejże? Naprawdę? — ze śmiechem przyjęto jego słowa. — Ale co gorsza, że króla Popiela myszy zjadły!

— Cha, cha, cha, cha!

Wawrzuś patrzył, słuchał... w głowie mu się zawracało... serce dzwoniło na trwogę, a w uszach brzmiały dwa straszne słowa: „Do widzenia malućki".

ROZDZIAŁ TRZECI.

U wiłów.

Królewna i dyabły. — Brzuchomówca. — Pan Prot funduje piwo. — Margosia na linie. — Wawrzuś do góry nogami. — Koza Beksa i bat Grzegorza. — Czemu „zbyrkała" płachta u wozu.

Wawrzuś otworzył oczy. — A ja gdzie? — zapytał głośno. W pierwszej chwili jakoś nic a nic nie pamiętał. Że mu jednak wcale nie chodziło o dociekanie prawdy, leżał sobie wyciągnięty na słomie, worek z owsem pod głową i przypatrywał się. A było bardzo dużo ciekawych rzeczy do widzenia: najpierw, jako porządny gospodarski syn, zauważył trzy doskonale utrzymane konie, chrupiące obrok tuż obok niego, a na ziemi leżała śliczna biała koza, o długiej krętej wełnie. Dalej w rynku, gdzie wczoraj w nocy widział mnóstwo powyprzęganych wozów, dziś zobaczył dwa szeregi straganów, a o ile mógł dostrzedz ze swego kącika, cudne cuda rozłożone były na tych straganach. Tuż niedaleko garncarz miał swoje wyroby, dalej

koszyków moc niezliczona, obok koszykarza szewc ustawił i rozwiesił kilkadziesiąt par butów, ciżem i ciżemek w różnych kolorach.

— O raju... a to ci zółte, jak słoma w słońcu! — westchnął Wawrzuś, wpatrując się z zachwytem w parę trzewiczków zawieszonych rzemykami na drążku i chyboczących się w prawo i w lewo. — Zeby tak matusia tu byli. poprosiłbym... oni tacy dobrzy... kupiliby mi te cizemki. Jakie to nosy długie mają, cuję, ze prawiutko byłyby na moją nogę.

Ziewnął głośno, przewrócił się na prawy bok i przymknął oczy. Po tylu przygodach należał mu się jeszcze wypoczynek.

— Jego miłość już się zbudził? — zaświergotał mu nad głową jakiś cienki głosik.

Popatrzył w górę. Przy olbrzymim wozie, trzy razy przynajmniej większym od innych, grubą płócienną budą krytym, stała śliczna dziewczyna. Wianuszek z jaskrawych kwiatków miała na ciemnych włosach, koszulkę bieluśką z krótkimi rękawami, gorsecik zielony jak sama trawa, czemś błyszczącem suto wyszywany, i taką samą strojną króciutką spodniczkę. Na nogach ciżemki żółte.

— Oj, oj... nie będę się rusać, niech mi się tak śni jak najdłuzej... ślicności królówna!

Dziewczyna wplatała srebrny galonik do warkocza i śmiała się w głos.

— A to ci śpioch dopiero! Ludzie od niepamięci świata już pośniadali, a ten chrapi i chrapi... Nie głodnyś?

— Wolno gadać do jasnej królówny?

— Idź-że, głuptaku... takam ja królówna, jako ty królewic. Margośka mi jest i tyla. Matka... ociec! — zawołała, przytykając usta do szpary w budzie — bo ten mały już wstał.

— Przyprowadź go, niech co zje — odezwał się ktoś z głębi wozu.

— No, wstawaj i chódź, bo potem nie będzie czasu myśleć o tobie.

Uchyliła trochę zwisającej płóciennej płachty, weszła po schodkach do wnętrza wozu i pociągnęła chłopca za sobą. Dobrze, że go trzymała za rękę, bo się tak żachnął gwałtownie, że byłby spadł ze schodów na wznak i potłukł się porządnie. O ile Margosia na pewne była królewną, choć się nie chciała przyznać, to znowu te dwie postacie, które ujrzał w tym dziwnym wozie, co był domem, czy w tym domu, co był wozem, musiały przyjść na ziemię prościuteńko z piekła.

W głowie mu się mąciło...

Jedno grube a krótkie, odziane po cudacku, prawy rękaw czerwony, lewy żółty; prawa nogawica sina, lewa biała w czarne koła. Sam kubrak pasiaty jakiś, jakby węże po nim łazi-

ły ... ale to wszystko jeszcze nic, naprzeciw ohydnej gęby! Ani ściana nie taka biała, jak twarz owego grubasa ... po niej plamy, jakby kto palec we krwi umaczał i pacnął tu i owdzie; włosy ... albo to włosy? Rude kłaki obmierzłe. To drugie znowu, co stoi w kącie, czarne jak smoła; gęba i włosy i całe odzienie. A królewna wcale nie ucieka, tylko się śmieje i gada z nimi po cichu.

— O matko święta ... dziękujęz ci! Jakasi zwycajna kobieta stoi przy piecu i z garnka na miseckę strawy ulewa. Ukroiła chleba, odwraca się ... ady ja ją wcora w nocy widziałem!

— Cóż malućki parobeczku, — przemówiła kobieta do Wawrzusia — dobrze ci się spało? Zbój się nie przyśnił?

Odważył się jeden krok postąpić.

— O moiściewy ... — szepnął — ulitujcie się nade mną biednym, wyprowadźcie mnie stąd zaraz! Juz ani jeść nie chcę, bylem na one dyabły nie patsał.

Choć starał się mówić jak najciszej, Margosia stojąca tuż, usłyszała ostatnie słowa, i rozchichotała się, aż na ławie przysiadła.

— Nie bójże się, nie bój, chi, chi, chi ... słyszeliście tatusiu, co on gada? Myśli, żeście wy dyabeł i Froncek też ... chichichi ... bo mnie kolki chycą!



»Pogładził się po żołądku, mlaskając językiem« (str. 69).

(H. ż. Ciż.)

A starsza kobieta pogłaskała dziecko, podprowadziła je do piecyka, i rzekła głosem łagodnym:

— Jedz, synku, z Panem Jezusem, a niczego się nie bój; ci dwaj w kącie, to ludzie tacy, jako i my; ino sztuki będą pokazować na rynku po sumie, to się musieli przebrać i gęby se usmarowali, Jak się potem umyją, to zobaczysz, że wcale nie straszni.

— Śtuki? Na co śtuki?

— Takiś duży wyrósł i o wiłach nie słyszałeś? — spytał go długi czarny dyablik.

— Jako zycie nie słysałem; ani w Porębie takich nie było.

— Widzisz, jak to dobrze, żeś się do nas dostał, zaraz się czegoś ciekawego dowiedziałeś — dodał starszy.

— Ee... co mi ta o to, nicegom nie ciekawy, ino kaj Poręba. Tyle ludzi na jarmarku, nie ten, to insy odwiezie mnie do tatusia.

— A jakże, słusznie; ino co masz po ludziach chodzić, nie mogłeś lepiej trafić jak do nas, my właśnie zaraz jutro jedziemy do Poręby.

— Zaraz jutro? Aj dobze, dobze! Juz trzeci dzień się błąkam, sam bym nijak nie trafił.

— A widzisz? Ale zato, musisz krzynę odsłużyć.

— Juści, ze odsłuzę, bylem ino zdolił.

— Łatwa służba, nie bój się. Przystroję cię bogato, bo takiego brudasa wstydziłbym się ludziom pokazać, i będziesz się kręcił wedle nas, jakobyś i ty sztuki pokazował. Potem pójdziecie z Margośką między naród z miseczkami, a ludzie wam będą rzucać denary*).

— Na co denary?

— Na to, abyśmy jutro głodem nie przymierali i konie popaśli. Zjadłeś? Idźże na plac do studni, i umyj się. Margoś, naciągnij mu wody.

Stary pochylił się do ucha dziewczyny i szepnął:

— A dawaj pozór, coby ci nie umknął.

Mało jeszcze ludzi było przy straganach, wszyscy prawie mieszkańcy miasteczka znajdowali się na nabożeństwie w kościele. Margosia z Wawrzkiem przemknęła pomiędzy wozami, przypilnowała go, żeby się dobrze wyszorował, i czemprędzej wróciła do budy, nie chcąc się przed czasem ludziom pokazywać. Ojciec z Fronckiem także korzystali z małego ruchu na rynku; w miejscu wyznaczonem wczoraj przez pisarza miejskiego, rozciągnęli wielki kobierzec, z kilku połatanych kilimków pozszywany, w pośrodku ustawili stół na kobylicach, pod stołem rozmaite przybory gimna-

---

*) Najmniejszą monetą za Kazimierza Jagiellończyka był denar, którego 18 sztuk szło na grosz czeski.

styczne i inne potrzebne sprzęty. Matka przywdziała czerwoną chustkę na głowę i świeży fartuch, i ledwie pierwszych kilkoro ludzi wyszło z kościoła, dały się słyszeć od strony wozu linoskoczków przeraźliwe jakieś tony, bicie w bęben i odgłos dzwoneczków. Froncek to, stojąc na stole, dął co siły w piszczałkę, matka waliła w bęben, a Wawrzuś cały w atłasach i złocistych blaszkach, potrząsał z największym zapałem grzechotkę, obwieszoną dwudziestoma dzwonkami.

Kościół opróżnił się już po sumie, a na rynku zaroiło się od ciekawych i kupujących. Tu biegły dzieci po pierniki, od roku z utęsknieniem oczekiwane, tam parobczak wybierał dla swej dziewuchy pierścionek z oczkiem, starsze kobiety przymierzały krasne chustki, dziewczęta wiązały na szyję paciorki; inne, bogatsze, obstąpiły stragan krawiecki i targowały gorsety lub zapaski, w powietrzu unosiła się woń przysmażanych kiszek, kiełbas i flaków; gwar, śmiechy, kłótnie przy targu, a wśród tego wszystkiego kocia muzyka linoskoczków, rżenie koni i naszczekiwanie psów.

— Ludzie, ludzie... chodźcie patrzeć... wiły będą sztuki pokazować! — zachęcali się młodzi między sobą. Żartowali i drwili jedni z drugich, a jakoś nikt nie chciał przybliżyć się pierwszy do szkaradnie pomalowanych pajaców.

— Chodź-że Jagna, chodź! — zachęcał siostrę kuchcik pana burmistrza — to wszystko ino udanie; jeden posmarował gębę na czarno, drugi na biało, bo taki zwyczaj u nich; ale się bać nie trza, nikomu nic nie zrobią.

— To ino takie błazny głupie, — pouczał swych towarzyszy starszy czeladnik ciesielski. Czasami warto widzieć, jak dokazują. Tak rok, w Mogile byli, ale nie ci sami; zresztą kto ich ta pozna, wiły przejęte.

— A jak nas urzekną — spytała Marysia organiścianka, zasłaniając oczy rożkiem zapaski.

— No, no, byleś ino ty kogo nie urzekła... — rozśmiał się Stach, jeden z ceklerzy, starający się o względy Marysi.

— A ja wam powiadam, że to są czarowniki... — zawyrokowała przyciszonym głosem faryniarka Wajdzina, nabierając drewnianą warząchwią gorących flaków dla jego miłości pana Prota, majstra bednarskiego.

— Ile? Cztery denary? Garnuś flaków na dwa razy do gęby, i zaraz cztery denary? Słyszane rzeczy? Ani tego żywot nie poczuje.

— Kiedyście bednarz, to se każcie obręczami żywot ściągnąć. coby poczuł. Niech mnie one wiły sądzą, nie boję się; półkwarcie flaków za cztery denary, jeszcze i z przyczynkiem! Idźcie do Gawlikowej, radabym uźreć, ile wam da za osiem!

Jegomość pan Prot zamilkł pokonany, wyskrobał miseczkę co do ździebełka, otarł wąsy i poszedł patrzeć na kuglarzy. Przykład osoby tak poważnej i poważanej, podziałał zachęcająco na innych: pojedyńczo i gromadkami zaczęli się ludzie schodzić, wreszcie, tłocząc się głowa przy głowie, stanęli tuż przy scenie, czyli przed rozesłanym kilimem.

— Sławetni mistrze wszelakich cechów, szanowna czeladzi rzemieślnicza... urodziwa młodzieży płci obojga... wasze miłoście panowie gospodni z małżonkami! Gregorius Hipopotamus magister sztuk wyzwolonych i karkołomnych, wita was!

Tak rozpoczął przedstawienie stary Grzegorz, głowa rodu linoskoczków. Właściwie nie był on jeszcze starym, tylko ze względu na syna, sam się tak przezwał.

— Zezwólcie wasze miłoście, że dla nabrania sił do pracy, muszę się nieco pokrzepić... nie śniadałem jeszcze.

To mówiąc, wyciągnął z za pasa długi nóż ostro zakończony i przechylając w tył głowę, wsadził go sobie do gardła aż po rękojeść.

Szept grozy przeleciał wśród widzów, a magister Gregorius wyjął z ust kordelas, ukłonił się z wdziękiem na trzy strony, pogładził się po żołądku, mlaskając językiem i podał nóż pierwszemu parobkowi z brzegu do obej-

rzenia, że jest prawdziwie stalowy i mocno wyostrzony.

— Może kto sprobuje... proszę bardzo... nie? Ha, to ja jeszcze raz łyknę sobie tego kordyału za zdrowie przezacnego zgromadzenia.

— I powtórzył sztukę po raz drugi.

— Teraz, gdy się czuję dziwnie wzmocnionym i rzeźkim, jakby mi dwadzieścia lat ubyło, rad będę okazać sławetnemu zgromadzeniu skuteczność pożywnego śniadania. Hej, Froncek! Przynieś no tu antałek piwa z pod wiechy... słyszysz?

Czarny dyablik poskoczył do najbliższej szynkowni, wrócił dźwigając z wielkim wysiłkiem sporą dębową beczułkę i postawił ją przed ojcem na stole.

— Zanim się wezmę do pracy, miło mi przedstawić waszym miłościom dziecinę płci męskiej, cudownie od urodzenia uzdolnioną. Oto jest Franciscus bipes nero! Gdy miał dzień życia, już się zapijał... mlekiem; skończywszy pięć lat chodził niezgorzej, a w dziesięciu gadał jak stary. Co najwięcej podziwu godne, że tak hojnie obdarzony od natury, wychował się zdrowo i żyje do dnia dzisiejszego. Froncek... pokłoń się państwu, a pięknie!

Chłopak odbił się nogą od ziemi, obrócił się w powietrzu jak fryga, magnął z dziesięć

koziołków, poczem wymaszerował na rękach do budy.

Grzegorz ujął baryłkę dwoma palcami za brzeg ponad dnem wystający i kilka razy wywinął nią młyńca.

— Hoho! — zawołała jakaś kobieta z tłumu — antałek próżny, niewielka sztuka.

— Ja sam widziałem, że karczmarz próżny dawał! — ze śmiechem krzyknął ktoś drugi.

— Za łaską waszych miłościów — z obrażoną miną rzekł kuglarz — i próżnym antałkiem migać w kółko trzymając go w dwóch palcach, nie tak łatwo, jak się zdaje; a dopieroż pełnym. Kto mi zaprzecza, jakoby w baryłce piwa nie było?

Majster Prot opierając się na słowach owego co w i d z i a ł, że antał próżny, podniósł rękę.

— O zakład!

— Zgoda!

— Kto przegra, ten wiadro piwa zapłaci; ja, albo wy.

— Dobrze!

— Dawajcie dzbany i szklenice!

— Przyniesiono; Grzegorz odszpuntował i nalawszy do dzbanów, uprzejmie częstował zgromadzenie. Wszyscy pili ze smakiem i śmiali się z pana Prota.

— A... bo czego tamten krzyczał głupstwa, jak nie był swego pewny? I podział się gdzieś, abo cicho siedzi, bo go wstyd.

— Cale mi nie wstyd, stoję przy was.

— Gdzie? Kto?

Majster Prot obejrzał się ze złością, chcąc pomścić wyśmiewiska ludzkie i koszt poniesiony, ale tuż przy nim stało dwoje małych dzieci, trochę dalej Stach z Marysią zagadani i o bożym świecie nie wiedzący, a z tyłu Damian Jemioła z małżonką, kumotrowie, a przyjaciele majstra Prota.

— Ciekawość gdzie stoi, kiej nikogo nie widzę.

— Wlazłem do waszej kieszeni! — odezwało się coś, przyciszonym głosem.

— Czary! Dyabli!

— Dyabelskie psikusy!... — zaczęto wołać ze strachem: niejedenby rad uciekał, ale w ciżbie trudno się było wycofać.

Aż tu nagle pan pisarz, stojący również w pierwszym rzędzie, uderzył się ręką w czoło i parsknął śmiechem.

— Juści... zaraz czary! Brzuchomówca i tyle! Owa baba, co gadała i ten drugi, i to co w kieszeń wlazło, wszystko on sam gadał.

Magister Gregorius popatrzał na publiczność z dumą i zadowoleniem i złożył nowy ukłon na trzy strony.

Śmiechu i oklasków było co niemiara. Przywołano Froncka, fikał, brykał jak opętany, toczył się po kobiercu zwinięty w kłąb, ani dopatrzeć gdzie głowa, a gdzie nogi; potem Wawrzek podawał mu różnokolorowe piłki, a on ich dziesięć wyrzucał w powietrze, łapał zręcznie i znowu rzucał, żadna z dziesięciu nie spadła ani razu na ziemię.

Na zakończenie uwiązano linę do rynny na piąterku zajazdu „pod złotą gęsią", przeciągnięto skośnie do rynny na takiej samej wysokości po drugiej stronie placu, i naturalnie magister Gregorius uprzedził sławetne zgromadzenie, że córka jego Margarita, dziewka wdzięczna ku wejrzeniu, a cnotliwa, przejdzie po linie z jednego końca na drugi, poczem wróci napowrót cofając się.

Hucznymi oklaskami przyjęto tę zapowiedź, a on dodał poważnie:

— Raczą wasze miłoście nie dziwować się głośno, ani biciem rąk okazować swej uciechy, dopókąd się ta arcyniebezpieczna sztuka nie skończy; tu chodzi o życie.

Głos kuglarza drżał trwogą o ukochane dziecko... pobielana twarz wyglądała brzydko i śmiesznie.

Froncek wyprowadził Margosię na kobierzec, ukłoniła się publiczności szczerząc białe ząbki, poczem pobiegli oboje „pod złotą gęś". Dziewczyna ukazała się w otwartem oknie,

stanęła na wyprężonej linie z drążkiem w rękach dla utrzymania równowagi i powoli, sztywna, jakby drewniana, nie patrząc w dół, ale prosto przed siebie, zrobiła parę kroków. Małe nóżki stawiała zręcznie i ostrożnie...

Wawrzuś nie rozumiał wcale co miały znaczyć przygotowania z liną; dopiero gdy zobaczył królewnę, stąpającą po sznurze jakieś dwadzieścia stóp nad ziemią, wrzasnął, jakby go nożem krajano, i puścił się pędem ku zajazdowi, nie wiedział po co, zapewne ratować ją od śmierci. Jakaś twarda ręka chwyciła go za kołnierz, a jeszcze twardszy głos szepnął mu w ucho:

— Stój i milcz, raku przejęty! Jak się będziesz darł, przestraszysz dziewczynę, spadnie i zabije się. Ani mi piśnij, bo cię w szmaty potargam!

Dziecko zatkało buzię rękoma i stało jak martwe z oczami w Margosię utkwionemi, śledząc każde jej poruszenie. Ojciec grał na piszczałce jakiś marsz dziki, ale bardzo rytmiczny, matka uderzała w bęben, dziewczyna szła po linie jak lunatyczka, stawiając nóżki do taktu, bo w ten sposób łatwiej utrzymywała równowagę. Gdy już stanęła w przeciwnem oknie, usiadła na futrynie i odpoczywała. Była bardzo blada.

Po chwilce, stanęła znów na linie, ale odwrócona do niej plecami i rozpoczęła powrót,

cofając się krok za krokiem. Serca patrzących biły na wyścigi z tamburinem matki i piszczałką ojca.

Jeszcze dwa kroki... jeszcze jeden... już wszystko dobrze!

Teraz dopiero zahuczał rynek oklaskami i krzykiem tłumu, aż mury domów echem odpowiadały. Wawrzuś przykucnął na ziemi i wstrzymywany tak długo strach o królewnę wyrzucał z siebie głośnem szlochaniem.

— No, wstawaj... masz tu szmatę, otrzyj se ślipie — burknął półgłosem Grzegorz. — Nie mówiłem ci, że będziesz zbierał denary z Margośką? No, rusze-że się!

Trzeba się było uwijać, zanim publiczność ochłonie z zapału. Margosia cała w pląsach, z uśmiechem, wzięła ze stołu przygotowane już na ten cel talerzyki, jeden dała Wawrzkowi i kazała mu iść za sobą. Widzowie znaleźli się wcale przyzwoicie, mało kto umknął cichaczem, nie rzuciwszy denara. Dziewczyna śpiewała przytem wesołe ludowe piosenki, to znów przerywała sobie w pół wiersza, by pożartować z jednym, drugim; ładna jej twarzyczka i dowcipne słówka, zjednały jej przychylność wszystkich. Na talerzyku rosła górka miedziaków, gdzieniegdzie przeświecały srebrne pieniążki. Wawrzuś nadstawiał swoją miseczkę, ale nikt na niego nie zważał; dopiero

jakaś litościwa mieszczka użaliła się zaczerwienionych oczu dziecka, i rzuciła mu trojaka.

— A czego to płaczesz, mały?

— To mój braciszek, dopraszam się waszej łaski — prędko odpowiedziała Małgosia; pewnikiem co przeskrobał i tatuś mu dali za kark; ale to u nas chleb powszedni, widzicie, już się śmieje.

Istotnie, myśl, że miałby być braciszkiem królewny wydała się chłopcu tak zabawną, że roztworzył buzię i pokazał wszystkie zęby.

— Sławetne państwo, dorzućcie i dziecku jakich parę miedziaków; dostanie karę, jak z niczem wróci.

Sprzątnięto kuglarskie przybory, deski i kobylice schowano do wozu; Grzegorz i Froncek umyli się, przebrali w suknie codzienne i wyszli pogapić się na jarmark. Poważny otyły człek w szaraczkowym żupanie, wyglądał raczej na handlarza nierogacizny, niż na wiłę-pajaca. A z Froncka taki był urodziwy parobeczek, aż coś dziewczętom oczy ku niemu ciągnęło; ani gadania, żeby to był ten sam, co kozły magał i czarnego dyabła udawał. On też umyślnie tak się smolił i szpecił, żeby go później nie poznawano.

— Dobrze matka zrobiła, że dziecko przyprowadziła wczoraj spać przy naszym wozie — rzekł stary do syna — tyś już za duży, koza

cię nie udźwignie, a takie małe, ino przyuczyć, będzie fikało aż hej.

— Matka nie zgodzą się; — odpowiedział syn — dy mówili dziś rano, że trzeba dziecko odprowadzić na plebanię, to go proboszcz odeśle do domu.

— Juści, proboszcz tyle wie, co i my, gdzież go odeśle? Pogadam z matką na wyrozumienie. Abo to chłopcu krzywda u nas będzie? Poje se po uszy, a zechce, to i wyżej uszu, nie narobi się, ino tyle, co naukę odprawi z godzinę co dzień.

— Aha, i co baty brać będzie — rozśmiał się Froncek.

— Bez bata nic; — rzekł ojciec sentencyonalnie; — i tyś brał bicie, do krwi nieraz.

— Oj, brałem, brałem!

— No i co? Kości masz całe, wyrosłeś jak chabina, sztuki pięknie pokazujesz, krzywda ci?

— Żadna dziewucha wiły za męża nie zechce.

— Głupiś... a matka mnie zechciała? Zresztą, co tu gadać, poźryj ino, czy aby jedna przejdzie, coby się nie ośmiała do ciebie. Każde rzemiosło dobre, byle chleb dało. Tedy wyjedziemy ztąd dziś na noc, jutro popas w Księżej Wólce, a pojutrze przedstawienie w Miechowie, bo tam właśnie przypada kiermasz. Trze-

ba chłopca przez jutro poduczyć, coby choć na rękach pobiegał. Dasz rady

— Jak będzie chętny, czemu nie; chodzić na rękach cale nie sztuka.

— Pogadaj z nim mądre słowo; postrasz go inną, to usłucha.

Jak stary Grzegorz zarządził, tak uczyniono: przed samą nocą wyjechali z miasteczka, matka z trojgiem młodych w budzie, ojciec na koźle, biała koza na postronku za wozem. Wczesnym rankiem dotarli do ślicznej polanki w lesie; Grzegorz wyprzągł konie, rozpalono ognisko, Margosia przyniosła wody z rzeczki, matka gotowała śniadanie, a Froncek zakrzątnął się około Wawrzusia i pierwszej lekcyi gimnastyki. Malec wręcz odpowiedział, że nie będzie chodzić na rękach, boby się ludzie w Porębie z niego wyśmiewali, gdyby odmiennie chodził, niż inni.

— Ja ci też nie kazuję od rana do nocy do góry nogami uganiać, ino cię muszę nauczyć; tatuś tak przykazali.

— Na co

— Co ci ta o to; kazali i dość. No, szkoda czasu.

Wziął go wpół za krajkę jedną ręką, obie nóżki w drugą i zaczęła się lekcya.

— Nie chcę... nie będę... cego mnie męcys! — wrzeszczał Wawrzuś.

Aż tu Grzegorz przyskoczył z batem.

— A w skórę chcesz? Darmozjadzie jeden! — I zaciął go po gołych nóżkach, aż czerwone pręgi wystąpiły. — Masz robić, co ci każą, a nie, to baty.

I Wawrzuś robił, co mu kazano, byle nie brać batów. Zgrabniutki, drobny, lekki, tego samego rana zgłębił tajemnicze prawidła równowagi, aż się Grzegorz zdumiał, jakie dziecko pojętne. Biegał na rękach tak swobodnie, jak niejeden i na nogach lepiej nie potrafi. Przy obiedzie dostał pochwałę i kilka słów zachęty do dalszej pracy.

— Kiej ja wolę do Poręby. Gadaliście, co mnie zawieziecie do tatusia.

— Jakie też to głupie dziecko, to strach; — odparł Grzegorz, niosąc łyżkę do ust — nie widzisz to, że prościuteńko do Poręby jedziemy?

Rozśmiali się wszyscy jakimś niemiłym śmiechem, tylko Grzegorzowa ruszyła ramionami niechętnie.

— Prościuteńko? — powtórzył Wawrzuś klaszcząc w rączki. — A daleko jesce?

— Ha, będzie ze trzy staje — odpowiedział Froncek poważnie, a stary dorzucił:

— E... chyba ze cztery. I znowu parsknęli śmiechem.

— A w którą stronę?

— O tam, gdzie te brzózki, zakręca się gościniec i już Poręba jak na dłoni.

Po obiedzie Grzegorz legł odpocząć, Froncek z Margosią poszli szukać grzybów, a Wawrzuś bawił się z kozą, z którą od pierwszej chwili poznania zawarł serdeczną przyjaźń. Słowa Froncka, że za brzózkami już widać Porębę, brzmiały mu wciąż w uszach; coś go gnało w tę stronę...

— To i cego będę cekał, moze długo jesce będą popasać — myślał — a kiedy to tak blisko, to chyba trafię. — Podszedł do Grzegorzowej i pocałował ją w rękę.

— A czego chcesz, synku?

— Przysedłem was pozegnać, idę do domu. Bóg zapłać za wsytko.

— Co też ty gadasz, dziecko? Co ci się zwiduje? Nie trafisz.

— Gadali, że blisko; już mi ta nie brońcie, musę iść.

Rzucił się jednym skokiem i gnał jak szalony ku brzózkom; bała się krzyczeć, żeby męża nie zbudzić, biegnąć nie miała siły...

— Ha, wola boska, niech dziecko umyka — pomyślała — trafi na dobrych ludzi, może go lepszy los czeka, niż biedowanie z nami.

Nieszczęściem dla Wawrzusia, droga zakręcająca się za brzózkami nietylko że nie prowadziła do Poręby, ale co gorsza, była drogą do Miechowa, gdzie właśnie zdążali kuglarze.

Z początku leciał jak na skrzydłach, a ciągle wypatrywał oczy, gdzie ta Poręba, co miała

być widna jak na dłoni. Wiele drogi nie uszedł, już musiał zwolnić kroku, a po godzinie siadł pod dziką gruszą przy drodze, odpocząć chwileczkę. Słońce przypiekało, nogi trochę bolały, wyciągnął się w cieniu i usnął.

Zbudził go ból piekący jak ogień... zerwał się na równe nogi... Stary Grzegorz stał nad nim czerwony ze złości i prał batem gęsto, a ostro.

— Będziesz uciekać? Będziesz? będziesz? będziesz?

— Ja nie uciekał, ino sedł do domu, do tatusia!

— Masz za tatusia! Masz za Porębę! masz!

Za każdem słowem padał powiązany w węzły powrózek na zgrzebną koszulinę, dziecko zwijało się, kurczyło, drgało...

— O Jezu... nie będę... nigdy nie będę! — zakrzyczał rozdzierającym głosem.

— Pamiętaj sobie! Jeszcze jeden raz sprobujesz, to cię tak wytłukę, że krwią spłyniesz, łotrowskie nasienie! No, zbieraj nogi, do budy!

Od następnego rana rozpoczął Wawrzuś służbę u linoskoczków, ciężkie terminowanie. Musiał chodzić na rękach, magać kozły na odległość i w miejscu, skakać przez drążek wysoko nastawiony, a gdy już nabrał wielkiej wprawy w tem wszystkiem, Margosia uczyła go chodzić na linie, rozciągniętej tuż ponad

ziemią. Rozpinano ją codzień o pół stopy wyżej, a nauczycielka tłomaczyła bardzo łagodnie, głaskała i całowała, gdy się dobrze udało, a nigdy nie biła. Zrozumiał, że nie trzeba patrzeć na dół, bo się w głowie zawraca, zrozumiał, że stawiając lewą nogę trzeba się przechylać odrobinę w lewo i nawzajem. Ale bardzo często jeszcze spadał z liny, więc o popisywaniu się tą sztuką nie mogło być mowy. Za to biała koza miała się z pyszna. Przed trzema laty, gdy Froncek był mało co większy od Wawrzusia, a koza ledwie wychodziła z dzieciństwa, wytresowano ją do pewnych ćwiczeń. Kózka myślała, że to figle, i chętnie dokazywała z Fronckiem. Ale dawno już swych sztuk zapomniała, i trzeba ją było uczyć na nowo. To jedno było dobre, że nie wiedząc jeszcze co go czeka, Wawrzuś dzielił się z kozą swoim chlebem, odkradał Grzegorzowej szczypteczki soli i tymi frykasami kupił sobie miłość Beksy na wieki. Gdy więc przyszło rozpędziwszy się, chwycić kozę za rogi, przewrócić w powietrzu koziołka i stanąć jej równymi nogami na grzbiecie, Beksa nie sprzeciwiała się zbytnio woli swego przyjaciela, zwłaszcza, że wspomnienia młodości budziły się w jej pamięci, nastawiała rogaty łeb jak do walki, i stała jak wryta, co było ułatwieniem dla Wawrzusia.

Zdarzyło się już kilka razy, że na przedstawieniach, jakie wędrowni kuglarze dawali po

miasteczkach, koza i Wawrzuś podobali się najbardziej. Dzieciak nie wyglądał na swoje lata, drobniutki był i smukły, dlatego też sprawiało na publiczności wielkie wrażenie, gdy taka kruszyna wyskakiwała jak pchła z ziemi na głowę i grzbiet kozy.

Stary Grzegorz winszował sobie nabytku; chłopiec go prawie nic nie kosztował, a przyczyniał się wiele do pomnożenia zarobku. Dodzierał aksamitów i świecideł, z których Froncek wyrósł, jadł jak myszka, a pracował nie mniej od starszych.

Tylko że ciągle tęsknił za Porębą, i choć przy Grzegorzu głośno o tem nie mówił, stary niejeden raz dosłyszał, jak przed Margosią wylewał swe żale. Pilnowali go też wszyscy jak oka w głowie, prócz matki, bo ta, od samego początku litowała się nad dzieckiem i ciągle tylko przemyśliwała, jakby to oddać Wawrzusia rodzicom, a przynamniej powierzyć jakiemu dobremu człowiekowi, żeby go na uczciwego rzemieślnika wykierował.

W nieustannej tułaczce z jednego kąta kraju w drugi, wiły trzymali się zwyczaju, że w nocy odbywali drogę, wypoczywali nad ranem, a w dzień dawali przedstawienia. Jeżeli po drodze trafiło się miasteczko, tem lepiej, a nie, to i po wsiach pokazywali swoje sztuki, bodaj za bochenek chleba, albo wiązkę siana dla koni. W ten sposób opłacali sobie koszta

wędrówki, i snuli się z północy na południe, ze wschodu na zachód. Nierzadko spotykały się dwie, lub trzy rodziny linoskoczków; jedni powiadamiali drugich, gdzie warto się zatrzymać i jakim traktem jechać najbezpieczniej, poczem każda buda ruszała w swoją stronę.

Wawrzuś nauczony smutnem doświadczeniem, że ucieczka nie jest rzeczą zbyt łatwą, a bat Grzegorza jest rzeczą okropną, pogodził się pozornie z losem i coraz to wspanialsze salto-mortale urządzał tak z kozą, jak i bez kozy. Ale w nocy, gdy wszyscy w budzie spali twardo, a wóz posuwał się powoli po wybojach i kałużach, ach wtedy, jak ptaszek więziony, co się w klatce trzepoce i skrzydełka sobie o szczeble obija, tak biedny malec spłakiwał się gorzko i snuł dziwaczne plany oswobodzenia.

Pewnej pochmurnej nocy, gdy wóz toczył się powoli leśną dróżką, co chwila potykając się o grube korzenie, lub zapadając w błoto po osie, Grzegorzowa, która w dusznem gorącu zamkniętej budy usnąć jakoś nie mogła, usłyszała ciche szlochanie Wawrzusia.

— Cóż ci to malućki? — spytała ostrożnie, by nikogo nie zbudzić, przyciągając sienniczek z dzieckiem ku sobie.

— Nic, biednym jest — odpowiedział.

— Czego biedny? boli co? — i pogłaskała go po głowie.

Wiedział, że matce można się przyznać do wszystkiego; ileż to razy słyszał, jak nastawała na męża, by chłopca oddał do jakiego dworu po drodze, albo do rzemiosła. Wiedział, że go nie zdradzi, bo zawsze była dobra dla niego. Więc ją objął za szyję i najcichszym szeptem wyjąkał:

— Chcę do matusi, do Poręby.

„Robaczkiem się opiekuje. — Polnej trawki pilnuje...“ przypomniała się Grzegorzowej pieśń o Boskiej Opatrzności. — Ha, może to wola Pana Jezusa — pomyślała — niech dziecko idzie, gdzie je oczy poniosą, lepszej sposobności jak dziś, nie będzie.

— A nie boisz się czarnej nocy?

— Już niedźwiedź i dzik wedle mnie przełaził, juzem wilkowe ślepie w nocy widział, a nic mi się nie stało... nie boję się nicego, ino coby mnie majster nie przyłapili.

— Słuchajże: wraź se tę ćwiartkę chleba za pazuchę, co leży na skrzyni; zmacałeś?

— Juz.

— A teraz pełzaj powoli ku schodkom... płachtę odepnij... cicho... któreś się rusza.

Zatrzymali oddech, czekali. Froncek znów zaczął chrapać, Margosia mruczała coś przez sen.

— Możesz iść śmiało, śpią twardo; a nie przewróć tam czego.

— Bóg zapłać; nie pocałujecie mnie na drogę?

Uściskali się.

Coś zaszeleściło pomiędzy skrzyniami i tłomokami, trochę świeżego powietrza wpadło do wnętrza przez odpiętą płachtę, i więcej nic.

Dzięki codziennym ćwiczeniom gimnastycznym, skok z jadącego wozu, zabawką był dla Wawrzusia, zwłaszcza, że konie drzemiąc stąpały noga za nogą; Grzegorz dla odpędzenia snu, szeptał godzinki.

— Pocekaj, teraz ja mądry, juz mnie drugi raz nie złapies — szepnął, grożąc ściśniętą w kułak rączką niewidzialnemu tyranowi. — Ciemno jak w kominie, schowam się w krzaki, a ty mnie sukaj, póki ci się nie sprzyksy.

Dał susa w las.

— Nie... po krzakach psysiadał nie będę; zaświecą ze dwie latarnie i gotowi mnie wypatsyć; abo zwiez będzie psechodził, to mnie zje. Wylezę na drzewo.

Ze zwinnością kota czepił się palcami grubej popękanej kory, nogi pomagały rękom, w minutę już siedział na gałęzi. Pomacał z tej i z owej strony, przekonał się, gdzie drzewo ma najgęściej splątane konary, i ostrożnie, by głową nie uderzyć o gałąź, spinał się wyżej.

— O, tu mi będzie w sam raz; tu se ranka docekam.

Odpięta z gwoździa płachta przymykająca wóz linoskoczków, fruwała poruszana lekkim wiatrem, i szeleściła bijąc o półkoszki. Baczne na każdy odgłos ucho Grzegorza, posłyszało ten szmer...

— Cóż się ta dzieje? — mruknął — złamało się co, czy oberwało, że tak zbyrka?

Zatrzymał konie i zsiadł z kozła.

— Hej... któreż tam płachtę odpięło?

— Czego chcecie? — odezwał się z głębi zaspany głos Froncka.

— Gadam poco płachtę odpinacie? Jeszcze się który tłomok zesunie i wyleci.

— Anim się ruszał, śpię od wieczora na jednym boku.

— Może Margośka, abo matka?

Margosia odpowiedziała chrapaniem, matka udawała, że śpi.

— Ojoj... tatusiu...

— No co?

— Siennik pusty, chłopaka niema!

Grzegorz syknął przez ściśnięte zęby jakąś klątwę w tysiące tysięcy, ale nie tracąc czasu na próżne słowa, natychmiast skrzesał ognia, zaświecił latarnię i Fronckowi kazał zrobić to samo.

— Chodźmy szukać — rzekł — ty patrz z lewej strony, ja z prawej; nie musiał ubiedz daleko; ani trzech pacierzy niema, jak szelest posłyszałem.

Puścili się wzdłuż drogi, licząc, że dziecko dogonią. Gdy ubiegli spory kawał, dopiero im na myśl przyszło, że się mógł schować gdzie bliżej w gęstwinie. Więc wracali już powolutku, przyświecając krok za krokiem, krzak za krzakiem, jednej kępki paproci nie opuścili; przystawali, nasłuchiwali — nic.

— Przywiąż no latarnię do żerdki, poświecisz wyżej między drzewa, może się gdzie na które wydrapał.

— O Jezu... szepnęło dziecko, prosto na moją sosnę świeci... musi mnie uwidzieć... białą kosulę znać między gałęziami...

— Cóżeś się tak zapatrzył w jedno miejsce.

— Zobaczcie sami, coś szarzeje na samej górze...

— Gdzie gdzie? Nie widzę...

Załomotały skrzydła, wystraszony puhacz spuścił się z wierzchołka sąsiedniego drzewa, i ciężkim lotem uciekając od światła, uderzył sobą silnie w twarz Grzegorza. Stary się zachwiał, wyciągnął przed siebie ręce i czepił się Froncka za ramię, a ten zaskoczony z nienacka puścił drążek, latarnia upadła i zgasła.

— Dalibyście spokój szukaniu — odezwała się matka z wozu; — chłopak uciekł jeszcze przed północą, a wy go tutaj upatrujecie.

— Taaak? Toś wiedziała, a nie krzyknęłaś na którego z nas?

— Właśnie, żem nie wiedziała o niczem, ino we śnie mi się majaczyło, że się ktoś wedle mnie przesuwa; nawet mnie w rękę pocałował. Nijak się ocknąć, ani oczu otworzyć nie mogłam. To jedno wiem z pewnością, że więcej niż dwie godziny jak zemknął. Tedy nie bądźcie głupi i nie szukajcie wiatra w polu.

Naklęli oba co się wlazło i powrócili do wozu.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Konik zwierzyniecki.

Wesele w Pisarach. — Szedł do Poręby, zaszedł do Krakowa. — Tatar na drewnianym koniu. — Znowu pielgrzym. — Dlaczego św. Wojciech ma dwie głowy? — Ojciec Szymon.

Bór się zaczął ożywiać... rozbudzone ptactwo napełniało powietrze wesołem świergotaniem... poprzez wierzchołki drzew niebo się różowiło na wschodzie.

Wawrzuś zmówił pacierz, uskubnął chleba z darowanej przez poczciwą Grzegorzową ćwiartki i obliczał w duchu, czy można już zleźć z drzewa bez obawy.

— Ee... chyba mnie juz gonić nie będą... pojechali przed siebie, to ja się obrócę z powrotem. Pojdę lasem, ale juz ino samym krajem, cobym drogi z ocu nie stracił. Dy mi juz ani puszca nie dziwną, cegobym się miał bać.

Rozpoczęła się nowa wędrówka, z tą różnicą, że już dziś Wawrzuś zmądrzał o wiele,

uważał się za bywalca, bogatego w wielorakie doświadczenie; czuł, że się już lada kogo nie zlęknie, ani też nie uwierzy pierwszemu lepszemu, coby go chciał do rodziców odprowadzić. Szedł śmiało, głodu się nie bał, okolica była ludna, gościniec uczęszczany, wszystko wcale inaczej, niż przed parą tygodniami w puszczy.

Około południa zaszedł do jakiejś wsi, i przybliżył się do pierwszej chałupy, gdzie zobaczył drzwi otwarte i całą rodzinę obiadującą w sieni. Stanął opodal, ale tak, by go dostrzeżono.

— Cóż to za dziecko? — spytał gospodarz.

— Widzi mi się Bartków Pietrek ze Szydła.

— Ale gdzie... zabaczyliście matusiu, co Pietrek na nóżkę słaby, a ten, prościuśki jak świeczka — zawołało któreś z dzieci.

— Najlepiej zapytaj, kiejś ciekawy.

— Hej, chłopak, czego tu chcesz?

— Wody mi dajcie, straśnie mi się pić chce — odpowiedział Wawrzuś, całując gospodynię w rękę.

— A jeść nie? — spytała, ujęta pokornem zachowaniem się dziecka.

— Bóg zapłać, mam jesce kawał chleba, co mi Grzegorzowa dali.

— No, sam chleb, to prawie na Wielki Piątek; zjedzże krupniku razem z nami, na zdrowie ci.

Baba podała mu łyżkę, siadł na progu przy jej córeczce i nabrał z miski krupniku uczciwie omaszczonego wędzonką.

— A cóż to za jedna ta Grzegorzowa, co ci dała chleba? — spytał gospodarz.

Wawrzuś nastraszył się. Jak się przyzna, gotowi go wiłom oddać, stary zabije na śmierć...

— To moja chrzestna matka; byłem u niej dwa tygodnie.

— A teraz gdzie?

— Wracam do domu, do Poręby.

— Kaz ta Poręba? daleko? Może aż pod Krakowem?

— Juści, ze ta; — odrzekł Wawrzuś, rad, że mu się odpowiedź tak sama nasunęła. Nie wiedział co znaczy Kraków, tego wyrazu jako żył jeszcze nie słyszał.

— Takiś malućki, jesce pobłądzisz?

— Nijak nie pobłądzę; znam drogę, bom juz nieraz do chrzestnej matki chodził. — Ee... lepiej umykać dalej — pomyślał — jak zacną rozpytywać, jesce się z cem wygadam i będzie bieda.

Wstał, podziękował chłopu i babie, pochwalił Pana Jezusa i za drzwi.

— Czekaj no dziecko, czekaj, straszne dale do tej Poręby... ani jutro na południe nie zajdziesz; a jakbyś na nielitościwych trafiał, naści sera i szperki w smateczce; opędzisz głód,

zanim do matusi zajdziesz. A może ty nie masz matusi?

— Oj mam! A dobra... taka jak wy, a moze jesce lepsa.

Poszedł.

— Ano, tylem się dowiedział, co Poręba daleko, aze pod jakimsi Krakowem, i nie zajdę, az jutro z południa. Dobre i to; nie będzie mi się cnęło iść, kiej wiem pokąd. A ten Kraków, to moze dąb jaki stary, abo góra wielka; ale ze o nim w domu nikady nie gadali?... Ino cy dobrze idę? Tyle ściesków na wsyćkie strony, a gościniec tez się często dzieli, anuz pobałamucę. Ludzi pytać — źle, nie pytać, jesce gozej.

Idzie, idzie, ku zachodowi instynktownie się zwraca, bo wciąż pamięta, że w Porębie słońce do boru i do rzeki zaglądało przed zachodem. Że wschodząc świeciło ku rzece z drugiej strony, a w południe przeglądało się w wodzie z góry, o tem nie myśli; ku zachodowi dąży. Popasał już ze dwa razy i przespał się z godzinkę, z daleka wieś dostrzega.

— Ot, znowu trza iść między ludzi. Wiecór zapada, moze pozwoli kto przespać się kaj na słomie.

Wszedł w długą, prostą ulicę, po lewej stronie domy drewniane, strzechą kryte, gdzieniegdzie chałupy z chrustu, gliną grubo obrzucone; po prawej same stodoły i stajnie.

— Jak się ta wieś nazywa? — spytał chłopca pędzącego gęsi do domu.

— Pisary — odpowiedział pastuszek, machnął prętem, i zaśpiewał znaną do dnia dzisiejszego w okolicach Krakowa gęsią pobudkę: „O lala haaa O lala haaa!“

— Pisary... cóz mi po nich... ano, trza się kaj zaprosić na noc. Cosi gra... muzyka hucna... o matko... a moze to o n i?

Wsunął się do jakiejś niedomkniętej stodoły, przycupnął za drzwiami, strasznie się boi, że wiły zkądś wylezą, porwą go i zabiją.

Ściemniło się zupełnie, jużby się dawno powinno skończyć przedstawienie, a tu coś gra i gra ciągle. Słychać buczenie grube i pisk niby trąbki; pierwszy strach przeminął, Wawrzuś przysłuchuje się muzyce.

— Ee... głupi ja głupi... ady to inse granie, nie nase!

Noc ciemniusieńka, tak jak wczoraj, można śmiało wyjść z kryjówki, nikt się nie zadziwi, że jakieś dziecko idzie przez wieś. Tedy wyszedł ze stodoły i za słuchem się kieruje ku onemu graniu... Zobaczył chałupę dużą, wesoło ogniem na kominie i kilkoma kagankami oświetloną; z okien bucha światło na równe, duże podwórko... dwóch kobziarzy siedzi na przyzbie i skoczno przygrywają, a parobcy i dziewki kręcą się, oberka wywijają, do taktu sobie przytupują, a coraz to któraś para staie

przed muzyką; chłopak czapki z fantazyą poprawia i śpiewa...

Wawrzuś oparł się o płot, pręcie rączkami rozsunął, patrzy i słucha.

— Hanuś moja, Hanuś, cego mnie ty nie chces?
Ja ciebie tak lubie, a ty z Jaśkiem szepces!

Przybiega druga para.

— Świeci miesiąc świeci, gwiazdy pomagają,
Kaj się nie obrócę, dziewki mnie kochają!

A dziewczyna wykrzywiła się szyderczo, rzuca pół grosza muzykantom, i odśpiewuje:

— Kochają, kochają, jako i psi dziada,
Zeniłbyś się z kozdą, zadna ci nie rada!

Znowu przylatuje para, znowu śpiewki, śmiechy dogryzki... Po drugiej stronie chałupy, na wysokiej przyzbie, siedzą gospodynie i gwarzą. Stół zastawiony przed niemi, a z izby wybiega to matka, to która z dziewcząt, wynosząc olbrzymie misy z pokrajaną w kawały kiełbasą, tłustą pieczoną wieprzowiną, to znów ser na sicie i żytni placek do niego; siwy kmieć zaprasza gospodarzy do stołu, wynoszą z zimnej komory dzbany z piwem i gąsiorki z miodem. Chłopi jedzą stojąco, bo niema się gdzie rozsiadać; ale mniejsza o ławę, jeśli jest co na ząb położyć i czem gardło popłukać.

— Dy to wesele... — szepcze Wawrzuś za płotem — ta w wysokim wieńcu, to panna młoda... a ten z rózcką na capce, to młody

pan... tak samo jak w Porębie... ach jak tez ta kiełbasa wonieje... jaze okropa... zeby dali choć raz ugryznąć... oj Boze, Boze...

I jak poprzednio za słuchem, tak teraz idzie za węchem... stanął pod ścianą przy kobziarzach, może go kto spostrzeże; wszak na weselu nie wolno podróżnego odpędzić, straszny grzech nie poczęstować.

Wyskoczyła z izby śliczna dziewucha; wstążki od paciorek fruwają niczem skrzydełka, spódnic na niej ze sześć, a sute... co się ruszy, to szumi a chrupi wedle niej. Wyniosła piwa dzban, i mięsa na chlebie kobziarzom, przestali grać, podziękowali pięknie, i zabrali się do jedzenia.

Zobaczyła chłopca.

— A to co za gość? — spytała, schylając się do Wawrzusia i zaglądając mu w oczy. — Skądżeś ty się wziął u nas? Cudze dziecko, nie Pisarskie, prawda? A możeś ty głodny?

— No; — odpowiedział z przejęciem.

To króciuchne, jednogłoskowe słówko, znaczyło przed czterystu laty zarówno jak dziś, w gwarze ludowej, bardzo stanowcze twierdzenie. Dziewczyna zrozumiała odrazu, jak bardzo się chce jeść, gdy ktoś powiada „no". Chwyciła chłopca za rączkę i pociągnęła go za sobą do stołu.

— Kiełbasy dać?

— No.

— I placka?

— No.

— Siądźże se na ziemi w kąciku, cobyś ludziom do tańca nie gawędził, i jedz z Panem Jezusem.

— Cie wy... cie wy... a to ci chłoposko wielgośne! — rozśmiał się jeden z drużbów. — Markocilismy się, co starosta zachorzał, patrzajcie ludzie, jakoż wam się zda, może ten będzie dobry?

Wziął Wawrzusia na ręce, obnosił i pokazywal wszystkim, a gospodarze się śmiali, głaskali dziecko po buzi i niemal każdy się dziwił, skąd się maleństwo wzięło.

— Ee... co mi to za starosta, co do nikogo nie przypija! Hej, kumotrze, za zdrowie wasze!

Ktoś nalał miodu kubeczek.

— Pij pij, to dobre, słodkie...

Wypił, zasmakowało, dali jeszcze, wypił i drugi kubek.

Drużba go spuścił z rąk, bo mu pilno było do tańca; kobziarze już zaczynali buczeć. Ale dziewczęta się wymawiały, że zmęczone i głodne, że muszą jeszcze przekąsić.

Posiadali parami na trawie, zajadali i popijali. A Wawrzuś stał oparty o ścianę, bo jakoś dziwno mu się robiło w nogach i w głowie... nibyto chciało się skakać aż pod niebo, a znowu za chwilę całe podwórze i stół i przy-

zba z gospodyniami, wszystko się kręciło i drygało, że już wolał przycisnąć się z całej siły do ściany, bo ta jedna przynajmniej zachowywała się spokojnie.

Zaczęły się tańce na nowo. Parobcy pokrzepieni mięsiwem i rozweseleni miodem, strasznie dokazywali. Śpiewki sypały się gradem, jeden odtrącał drugiego z przed muzyki, przekrzykiwali się, ani zrozumieć nie było można co który śpiewa. Wywijali dziewczętami, aż nawet patrzącym w głowie się zawracało. Ten sam drużba, co pierwszy mianował Wawrzusia starostą, namówił pannę młodą, żeby z dzieckiem zatańczyła. Chcieli sobie zażartować z malca, pewni, że się będzie wstydzić, albo skakać jak niedźwiadek. Tymczasem Wawrzuś miał wyborne ucho, czuł takt, a bat starego Grzegorza wyuczył go trudniejszych rzeczy, niż wykręcanie się w oberku. Przytem dwa kubki miodu wlały srogi animusz w jego serce. Puścił się w tany z niezmierną fantazyą a choć pannie młodej sięgał ledwie do pasa, chwycił ją silnie za kaletki u gorseta, i hulał do upadłego, aż się wszyscy dziwowali, co za dzieciak taki zawzięty.

— No, puszczaj... ty... bo tchu złapać nie mogę! — prosiła się Kondusia; ale Wawrzuś nie słuchał, ino zawijał w kółko, a w kółko. Wreszcie ulitował się, puścił dziewczynę

i jakimś szałem porwany, opadł na ręce, przewrócił kozła, znów drugiego, znów trzeciego... miotał sobą tak zgrabnie i prędko, że tylko migało coś w powietrzu — dziecko, pająk, czy piłka. Chłopi zaskoczeni z nienacka, rozstąpili się na boki, wytrzeszczyli oczy i dziwowali się.

Po dziesięciu, czy dwunastu koziołkach, zmęczone dziecko przysiadło na trawie, zasłoniło twarz rączkami, odpoczywało.

— A to ci wisus dopiero! — zawołał jeden z parobków — stało se w kącie niemrawe, malućkie, zbiedzone, przysięgałby człek, że trzech zliczyć nie umie, a to moi ludzie opętaniec jakiś, dyabelskie nasienie!

— Ij... jaki zaś opętaniec... — ujęła się Magda, owa dziewczyna w szumiących spódnicach — nie wiesz, co chłopaki wyprawiają na pastwisku? A sameś na rękach nie łaził, jakeś był mały? Widzicie go... opętaniec! Maciuperne toto, wieciutkie jak badylek, spoiliście ze zbytków miodem, a teraz się dziwujecie, że mu się w głowinie przewróciło, robi samo nie wie co.

— Sprawiedliwie gadasz Magda — przyświadczył ojciec; — nijakiego dyabelstwa w tem niema, ino dziecko zwinne niczem kocię to i dokazuje, jak może. Ot, żeby Wiłom dać takiego, coby z niego za rok zrobili!

— Pamiętacie, stary Grzegorz jak tu był we Wielkanocne święto, co się naszukał za

małym chłopcem; obiecował od niego pięć śrybła rocznie, przysięgał się, że mu włos z głowy nie spadnie, cóż kiedy nawet Maćkowa, co ich ma siedmioro, a Sobka nie chciała oddać — dorzucił wójt.

Wawrzuś słyszał gwar głosów, nie zważał i nie rozumiał o czem mowa; siedział na ziemi oszołomiony miodem i tańcem, oczy mu się kleiły.

— Wlezę gdzie w kąt i prześpię się do jutra — pomyślał.

W tem, imię starego Grzegorza obiło się o jego uszy; ocknął się i oprzytomniał w jednej chwili; usłyszał koniec rozmowy o wiłach, mówiono, że stary chłopca szukał... straszne ciarki go przeleciały. Podpełznął nieznacznie w cień, przeczekał chwilę, znowu kawałeczek, jest tam jaka szpara w płocie?......

— Gadajcie se ta co chcecie, — upierał się przy swojem zdaniu Tomek, — a ja i tak nie wierzę, coby dziecko przez nauki, samo z siebie, mogło wyprawiać takie cuda. To nieczysta sprawa i tyla.

— Śmiechu warte, jak się onemu wszędy dyabły i czarowniki zwidują... — zawołał Kostek, zwany we wsi niedowiarkiem, bo się śmiał z czarów, uroków, i kłócił się nawet z wójtem, że niema na całym świecie ludzi, coby umieli sprowadzać deszcz, pogodę, rzucać

na kogo chorobę, albo ją słowami zdejmować. Prawdziwy niedowiarek!

— Czekajcie, ja was pogodzę — odezwała się Magda, podchodząc ku nim. — Dy najprostsza rzecz popytać dziecko; może go kto i nauczył kozły magać, cóżby to było dziwnego? Hej malućki, chodź no tu, coś ci powiem!... Gdzież polazł? Tylkoco siedział na trawie, ot tu.

— Może do izby poszedł?

— A przy muzykusach go niema?

— Śpi pewno pod wiśnią, zobaczcie.

— Nie, tu go niema; może się załgał do komory i gospodaruje.

— Nie,' komora zamknięta.

— Poszedł za bramę?

— Stoimy tu z godzinę... — odezwało się kilkoro malców, — a nijaki chłopak nie przechodził.

— Aha, aha, cóż teraz będzie? Śmiejcież się ze mnie, czego się nie śmiejecie? Aha? Czyja prawda? Wyrosło z pod ziemi nieproszone, nadokazywało dyabelskim sposobem, i zapadło się w ziemię z powrotem. Żeby tak na mnie, tobym w te pędy posłał po Dudzinę.

— Ee... nie prosili jej na wesele, gdzieżby teraz przyszła? Gniewa się ano, co trach.

— To ją można przeprosić; ojoj, wielkie cuda... kiełbasy wianek posłać i kukiełkę, w dyrdki baba przyleci.

— Ale poco?

— Względem Kondusi.

— Cóż ci ta znowu o nią?

— Oj Nastka, Nastka, dwadzieścia roków łazisz po świecie, i co z ciebie? Kiej dyabeł z panną młodą na weselu tańcuje, wiadomo co to znaczy.

— Matko święta... — zawołała Magda ze złością — z malućkiego, ślicznego dziecka dyabła robi!

— Już cię Kostek przekabacił na swoją wiarę? A samego proboszcza pytaj, niech ci powie, czy dyabeł nie przybiera wszelakiej postaci? Abo mu to dziwne w dziecko się przerzucić? Wszyscyśmy widzieli, jak hulał z Kondusią, omal z duszą uciekła. A potem, taki był rad ze siebie, aż se koziołki magał na oną uciechę.

— Powiedzże mi — szepnęła Nastka, młodsza druchna trącając go w łokieć — co będzie z tego, że dyabeł z Kondą tańczył?

— Ano źle będzie; pierwszego śniegu nie doczka nieboga. Dlatego gadam, co Dudziny tu potrza. Okadziłaby dziewuchę w porządku, pomruczała nad nią, jak się należy, i wszystko dobrze.

— A to ja biegnę po nią.

— Biegaj; ino z próżnemi rękoma daremna fatyga.

Wysunąwszy się po cichusieńku przez szczelinę w płocie, Wawrzuś przemykał bokiem drogi, bojąc się odetchnąć głośniej, żeby go kto przechodzący nie posłyszał. Pewny był, że go chcą zatrzymać gwałtem i Grzegorzowi odesłać.

Droga zniżała się ku rzece, słychać było chlupotanie wody po kamieniach.

— Jakże to? Kładki by nie było? Dy gościniec dochodzi do samej rzeki.... straszecna ciemnica, jeszcze gdzie wpadnę i utopię się. Aha... — Pomacał ręką wyżej i niżej przekonał się, że jest poręcz i duże deski przybite do palików; to już wszystko w porządku, da się przejść na drugą stronę.

Idzie idzie, znowu wieś. Psy ujadają.

— O Jezu... skocy który na mnie... zagryzie...

Na chybi trafi, rzucił się w bok na prawo, gdzie jakoś mniej ciemno było. Może tędy bliżej w pole? Biegł potykając się, dwa razy upadł, kolana sobie do krwi porozbijał; wszystko głupstwo, byle jaknajdalej od tych ludzi, co go chcą oddać Grzegorzowi.

— Po ciemku mnie chyba nie najdą; a ino sary świt, polecę dalej. Tu se tymczasem przenocuję.

Uskubnął siana z wysokiej sterty, zakopał się w nie z głową i zasnął smacznie.

O wschodzie słońca wędrował dalej. Co zobaczył jaką wieś z daleka, omijał ją i przechodził bokiem, polami; anuż Wiły dali znać wszędzie, że im Wawrzuś uciekł? Każdy przecie pozna, że to on Wawrzuś. Lepiej nikogo nie spotykać, lepiej mdleć z głodu, niż wracać do bata. Szczęściem droga prowadziła go sama, nie bał się zbłądzić. Z prawej strony gościńca lasy niezgłębione, gdzieniegdzie wyrąb, można poziomek uskubnąć, wody się napić ze źródełka.

— O rety wieś! Tak ci ją las zasłonił...

Naprzeciw idzie podskakując dziewczynka, trochę większa od niego; prowadzi krowę na powrózku i wyśpiewuje cieniutkim głosikiem na całe gardło:

— Niema wsi na świecie jak nase Balice,
Krowa posła w škodę, wzieni mi spódnice;
Nie trzeba ci było chodzić na jagody,
Toby i krowisia nie lazła do škody.

— Widzicie ludzie... przez pytaniam się dowiedział, jak się wieś nazywa! Ij... cobym ta uciekał... śmiało se psejdę, choćby kto pytał, nie przyznam się, zem Wawrzuś.

Sunie z zadartą głową, jakby święcie wiedział, dokąd idzie; a nie wie nic. Spojrzał na słońce.

— Musi juz być chwila z południa... gospodyni mówiła wcoraj, ze zajdę do Poręby psed wiecorem. Trzeba uwazować...

Idzie, wypoczywa, znowu idzie... Jakiś wędrowiec z tłumoczkiem na plecach wyminął go; pogwizduje wesoło.

— Młody, ładny, moze mi nic nie zrobi... przycepię się do niego. Wielemozny panie! wielemo...

— Do mnie tak gadasz? — zaśmiał się wędrowiec — a czego chcesz robaczku malućki?

— Jaby chciałem iść razem z wami, bo samemu straśnie markotno.

— Chodźże, chodź, i mnie będzie weselej. A którędy droga?

— Do matusi, do Poręby. A wy skąd? — ośmielił się spytać podróżnego.

— Ani wyrozumiesz, choćbym ci tłómaczył, z daleka, bardzo zdaleka idę. Jakże ci na imię parobeczku?

— Wawrzuś. A wam?

— Stanko.

Szli razem. Wędrowiec opowiadał bardzo zajmujące rzeczy, jak go ojciec w dziesięciu latach oddał do złotnika; może ten majster miał jakie po ojcach przezwisko, ale nazywano go powszechnie tylko Wojtkiem. U niego to wyterminował sześć lat, nauczył się rzemiosła, i zaraz po wyzwolinach poszedł w świat z kilku innymi czeladnikami. Najdłużej był w Norymberdze, niemal cały rok.

— W cem, w cem?

— W Norymberdze. To jest miasto na cały świat sławne. Uczyłem się tam znowu u bardzo znacznego majstra Lebrechta, świadectwa piękne do domu niosę. Z Norymbergii wyszedłem tamtego lata; zatrzymywałem się po drodze w inszych miastach; tu tydzień, tu miesiąc, tu dwa; dziś nareszcie wracam z utęsknieniem do ojców, jako i ty, do swojej matusi. Teraz odpoczniemy, zjemy se co, a za godzinkę już koniec mojej drogi.

Usiedli pod drzewem, Stanko zdjął z pleców zawiniątko, rozwiązał, dobył czystą szmatkę, z niej chleb i mięso pieczone; u pasa na sznurku miał nóż składany, ukroił sobie i malcowi, jedli i gawędzili.

— No, śpieszmy się; tak mnie już coś gna, inobym leciał jak na skrzydłach.

— A ta wieś jak się nazywa, nie wiecie?

— Jakżebym nie wiedział? Dy ja tutejszy; to Łobzów; najjaśniejsi królowie mają tu zameczek dla wypoczynku w lecie, albo gdy na łowy jadą. Ojciec mówili, że to wielki król Kazimierz zbudował.

Szli dalej; pola okryte zbożem nie zasłaniały widoku.

— Jezus, Marya... co to takiego! — krzyknął Wawrzuś i rozkrzyżował rączki.

— Gdzie? Co? Czego krzyczysz?

— Rety... a tam, tam, tyle tego... mury

straszecne, wiezów tyle... jedna wedle drugiej... strzelają aze do nieba! Moze to nie naprawdę? A wy nic nie widzicie?

— Aha, toś ty chyba pierwszy raz w tej stronie, kiedy Krakowa nie znasz?

— Jakiego Krakowa?

— Jakiego? Widzisz przecie miasto przed nami, to miasto nazywa się Kraków.

— O Jezu... a kaz Poręba?

Jakże to? Do Poręby idziesz i nie wiesz gdzie?

— Gadali ludzie, co pod Krakowem...

— Ij... ktoby się ta z tobą dogadał. Chodź ze mną, zaprowadzę cię do naszego domu, przenocujesz, a jutro będziesz tej swojej Poręby szukał.

Co krok, to nowe zdumienie. Wawrzuś zarzucał swego towarzysza pytaniami, na które ten odpowiadał, jak umiał.

— Na co takie grube mury?

— A, to widzisz dla obrony; całe miasto jest otoczone dookolusieńka murem, zaczem jest rów głęboki i szeroki pełen wody i znowu grube mury z basztami. Gdyby tak na przykład napadli Polskę Tatarowie i zapędzili się aż ku miastu, co już nieraz bywało, to na mury się nie wydrapią, bo tam łucznicy siedzą schowani i strzałami ich rażą. A choćby się jakim cudem przedostali przez pierwsze, wpadają do wody, a z baszt i wewnętrznych murów tysiące

strzał jak deszcz na nich leci. Takie miasto murami i basztami obwarowane, nazywa się twierdzą. Widzisz tę ogromną, okrągłą basztę, co tak, jako hetman stoi na czele? Tamtędy wejdziemy do miasta.

— Puszczą nas to?

— A jakże, każdego puszczają, przez cały dzień. Dopiero na noc most podnoszą, a insze bramy na kraty i łańcuchy zamykają. Daj rękę, pójdziemy przez most. Nie bójże się, my nie Tatarzy, nie zabiją nas.

Weszli na podwórze rondla, połączonego długim wąskim korytarzem z bramą Floryańską; Wawrzuś trzymał się ręki i poły Stanka, bał się, że skądciś żołnierze wyskoczą i porwą ich do więzienia. Ciężkie drzwi bramy Floryańskiej stały otworem, weszli w ulicę.

— A to ci wysocyzny dopiero! — dziwił się malec, patrząc na wązkie o dwóch lub trzech oknach domy, śpiczastymi dachami kryte, jeden podobny do drugiego; trójkątne szczyty kamienic ujęte w ramy czerwonej dachówki, rysowały się na tle pogodnego nieba, jak zęby jakiejś olbrzymiej piły.

— Raju... a toto co? To ogromne...

— Kościół największy w Krakowie; kościół Panny Maryi.

— A na co taka cizba? Rety... boję się!

— Czekajno... coby to być mogło? Nie rozumiem... chorągwie, krzyże, ach, prawda!

Na obczyźnie człek rachubę traci; zapomniałem, że to dziś oktawa Bożego Ciała. Tak, tak, procesya u Panny Maryi. Widzisz, jaki plac niezmierny? To rynek krakowski. Ciżby się nie bój, ino mnie się trzymaj. Jak widzę, już się nabożeństwo kończy, procesya do kościoła wchodzi, a bractwa niektóre z obrazami, wracają do swoich parafii.

— Jakie to chorągwie okropnie ładne! Ta żółta mi się najbardziej podoba.

— Dlaczego?

— A bo zółta farba to juz najpiękniejsza.

— Ale, ale Wawrzuś, wielką uciechę ci sprawię. Do domu nie mam po co iść teraz; ojcowie ani wątpienia w kościele; zresztą i sam rad konika zobaczę, dwa lata go nie widziałem.

— Jakiego konika?

— Poczekajże, zaraz ci opowiem. Ino sobie stańmy pod Sukiennicami, naprzeciw Brackiej ulicy, to się napatrzymy do woli.

— Gadajciez.

— Więc słuchaj uważnie. Będzie temu ze dwa sta lat, abo i więcej, szli Tatarzy do Polski, bardzo dziki, a okrutny naród. Palili wsie i miasta po drodze, wpierw zrabowawszy wszystko, co się dało. Starych, a niemowlęta zabijali, zdrowych i młodych w jassyr, czyli w niewolę brali i do swego kraju niczem bydło

robocze pędząc, katowali srodze. Ludziska mdleli na samo wspomnienie Tatarów. I zdarzyło się jednego razu, że w oktawę Bożego Ciała, tak właśnie jako i dziś widziałeś, odbywała się procesya po krakowskim rynku. Aliści nagle, od strony Zwierzyńca wpada na koniu człek jakiś, ledwie żyw ze strachu, i nie bacząc na święte wizerunki, ani na duchowne osoby, wrzeszczy na całe gardło: „Bramy zamykać! Na mury ludzie! Bronić miasta i życia... Tatarzy!“ „Tatarzy!“ zakrzyczeli wszyscy strasznym głosem; kto ino miał zdrowie i siły jakie takie, leciał na mury jak szalony. Niewiasty pokryły się z dziećmi po domach... Zaryglowano bramy, podniesiono mosty, a gdy nadbiegła ćma tatarska, przyjęto ją tak godnie, że na drugi dzień już gdzieś dalej pognała, miasto zostawiając w spokoju. Na pamiątkę tego wydarzenia, burmistrz i sławetna rada, zezwolili, aby syn, wnuk, prawnuk, i najdalszy potomek onego, co miasto tem rychłem zawiadomieniem uratował od zagłady, corocznie po procesyi wjeżdżał na rynek w tatarskiem przebraniu i przeróżne krotofile wyprawiał. Ino musi na drewnianym, nie na żywym koniu harcować, coby przypadkiem w ścisku nie zrobił komu krzywdy.

— Ee... na drewnianym? Jakze to?

— Ano, wdziewa na siebie strój tatarski, turban na głowę, przyprowadzają mu pięknie

wyrobionego konia, ino bez nóg i z dziurą w grzbiecie. Tedy włazi do niego, pętlice z rzemienia mocno przybite z przodu i z tyłu onej drewnianej kukły zarzuca sobie przez głowę na ramiona, coby się koń z jeźdźcem kupy trzymali, potem kapa suta aż do ziemi, uzda do lewej ręki, szmaciana maczuga do prawej i wio na rynek. Kompanię ma poczestną, równie za Tatarzynów przebraną, i muzykantów z piszczałkami, co przed nim idą, a przeraźliwie przygrywają.

— Nie bać się? — spytał Wawrzuś, spoglądając z niepokojem na ruch coraz większy od strony ulicy Brackiej.

Tłum płynął w rynek, jakby pędzony, czy popychany przez kogoś; ludzie się tłoczyli, choć jeszcze nic nie było do widzenia. Wyruszyli bowiem zawczasu ku Zwierzyńcowi, aby mieć największą uciechę i powitać K o n i k a u wejścia do miasta. Ale go jakoś długo nie było widać i jaki taki rozważył, że mniej zobaczy w ciasnych uliczkach, a w tłoku łatwo i żebra połamie; więc zaczęto się cofać ku rynkowi. Tymczasem zastępy czeladników, terminatorów, żaków, czyli uczniów szkół krakowskich, które dotarły aż do mieszkania k o n i k a, sunęły teraz przyśpieszonym krokiem, wyprzedzając bandę Tatarów i kapelę. Ci właśnie pędzili przed sobą tłum gawiedzi w rynek. Pomieściliby się wszyscy swobodnie, jeszczeby

dużo wolnego miejsca zostało, gdyby nie to, że każdy chciał być jak najbliżej, a także, ponieważ przywilej nadany owej zabawie, przeznaczał jej miejsce w rynku, między ulicami Bracką a Szewską, nie dalej. W tym kącie więc, skupiły się tysiące ciekawych. Krzyki, śmiechy starszych, wrzask i płacz dzieci gniecionych w tłumie, brzmiały w powietrzu, jak szum wichru przed burzą.

Nowa powódź lunęła z Brackiej w rynek; jakiś dziki okrzyk olbrzymiego chóru... fałszywe, skrzypiące dźwięki piszczałek... Tatar na drewnianym koniu galopował ku ratuszowi.

— A co, widzisz, choć krzynę — pytał Stanko Wawrzusia.

— Nie... nic a nic nie widzę; ludzie mi zasłaniają. Ino kaj nie kaj jakiesi chorągiewki migają.

— A to są rotmistrze onego, rum czynią przed nim, coby miał gdzie skakać i dokazować. Przybliżmy się; wielkie rzeczy, że dostaniemy po łbie, pała z kłaków, strachu więcej niż czego. Kto ino podstąpi k'niemu, zaraz wali nie pyta. Ale to ino dla śmiechu, niema się czego bać.

Wsuwali się powolutku, a coraz bliżej, nareszcie Stanko wziął Wawrzusia na ręce, bo już byli blizko.



Pchnięty przedziwnym instynktem, malec dał susa...
(str. 116).

(H. ż. Ciż.)

— Ojoj... teraz widzę... a to ci cudak śtucny! Ale koń ma głowę haniebną... do nicego nie podobna taka głowa.

Tatar usłyszał krytykę swego wierzchowca, zwrócił się nagle, łypiąc strasznemi oczyma z pod wyczernionych brwi, i wrzasnął:

— Haniebna? Masz, coby twoja była piękniejsza!

I rznął chłopca miękką maczugą po czuprynie.

Hucznym śmiechem przyjęto oną srogą karę, muzyka zarzempoliła jakiś wiwat, Tatar poskoczył dalej, a tłum zbitą kupą za nim. W tej samej chwili Stanko spuszczał Wawrzusia na ziemię, ale nim go zdołał wziąć napowrót za rączkę, fala biegnących potrąciła dziecko, kilkanaścioro ludzi przedzieliło towarzyszy murem, a mur stawał się coraz grubszy.

Gdyby Wawrzuś był upadł, zatratowano by go na śmierć; szczęściem nie stracił przytomności, czepił się jedną ręką fałdów jakiejś spodnicy, drugą chwycił za połę czyjejś kapoty, i tak sobie płynął z prądem, nie tykając nogami ziemi.

Spodnica i kapota miały widocznie dosyć tej zabawy, bo się zaczęły wycofywać ku środkowi rynku, gdzie z rzadka już tylko stały gromadki ludzi. Wawrzuś poczuł bruk pod nogami, otrząsnął się i przetarł oczy.

— A to cizba dopiero! Będzie tego chyba ze sto... okrutecnie gęsto! Dzięka Bogu, com się na wolniejsy plac wydostał. Ale co teraz? Poćciwy Stach byłby mnie przenocował; kaz go najdę...

Mignął mu się szary kubraczek i jasne włosy spadające z pod czapki... skoczył w tę stronę...

— Moze to Stanko?... oho... juz go niema!

Nagle, chwycił się za głowę i przypadł, kurcząc się, do ziemi. Dech mu kołem stanął w piersiach... serce lodem ścierpło... Dwa kroki od niego, oparty o drewnianą kratę zamykającą Sukiennice, stał niemłody jakiś człowiek. Wysoki był, szczupły, odziany po mieszczańsku, ale strojnie. Włosy miał czarne, twarz śniadą, gładko wygoloną, oczy ponure, uśmiech niemiły. Rozmawiał po cichu z jakimś chłopakiem o kędzierzawej rudej czuprynie. Coś mu tłómaczył, a tamten głową przytakiwał. Garstka starszych mieszczan stała tam także z żonami i dziećmi; Wawrzuś schowany za nimi nie śmiał się ruszyć.

— O Jezu... stoi se wolno i nikogo się nie boi! A moze to nie ten? Moze jego brat, ze taki podobny? Cegoz się trzęsę... dy mnie nie widział; przyblizę się po cichuśku i dobrze go obeźrę.

Wstał z ziemi, postąpił krok, zajęci rozmową ani patrzeli w tę stronę; podsunął się bliżej.

— Brody nie ma, ani wąsów, cale insy... moze mi się zdawało... ale te ocy, te ocy srogie! Cyby mógł być na świecie drugi człek z takimi nozami w ocach... Zebym dopatsył, zali ma lewe ucho, tobym juz wiedział jaka prawda.

Tak się rozzuchwalił, że stanął tuż za domniemanym świętokradzcą. Pochylił się i głowę tylko zwróciwszy ku górze, starał się dotrzeć wzrokiem pod opadające na ramiona czarne włosy nieznajomego.

— No, czego chcesz, mały? Co się kręcisz pod nogami? złajał go któryś z mieszczan i szturchnął w kark pięścią. Wawrzuś zatoczył się prosto na czarnego człowieka.

Spojrzeli na siebie. Oczy dziecka wołały: „Poznaję cię!“ Tamte drugie zmrużyły się nagle, jak oczy kota, gdy ma skoczyć na ptaszka. Rzucił przez zęby jakieś parę słów swemu towarzyszowi, ten znowu kiwnął głową potakująco, i odwrócił się, jakby odchodził — właśnie w stronę Wawrzusia. Wtedy starszy szepnął coś poraz drugi... Zdawało się chłopcu, że teraz już obaj patrzą na niego...

— Zmówili się... pilnują mnie... zobacą kaj idę, złapią, zabiją gdzie w kącie... stary się boi, cobym go nie wydał...

Co robić? Gdzie się schować? Uciekać? Ale gdzie?

Pchnięty przedziwnym instynktem, malec dał susa, jakiegoby się ani Froncek nie powstydził... prosto w najgęstszy tłum otaczający konika zwierzynieckiego.

— Zadepcą, to zadepcą — myślał z rozpaczą — ale ty mnie palcem nie tknies, zbóju pseięty!

Czepiając się żupanów, spodnic, kubraków, jak to już pierwej czynił z powodzeniem, znalazł się ni stąd, ni zowąd, ku swemu i tatarskich chorążych zdumieniu, na środku wolnej przestrzeni. gdzie właśnie zmęczony tańcem Konik popijał z dzbanka piwo na pokrzepienie.

Wawrzuś zakołysał się dla rozpędu, odbił się lewą nóżką od ziemi, chwycił za łeb drewnianego konia, tak jak to robił z Beksą u Grzegorza, magnął koziołka przez głowę Tatarowi, i spadł w tłum po przeciwnej stronie. Szczęście sprzyjało biednemu dziecku: nietylko że nikogo nie uderzył sobą, ale i sam się nie potłukł. Wybuchy śmiechu, klaskanie w ręce i tysiączne okrzyki, powitały ten skok śmiertelny małego akrobaty. Widzowie byli pewni, że to koncept umówiony między nim, a Tatarem, i gdy chłopiec roztrącał pierwsze szeregi i pchał się w tłok głową naprzód, myślano, że śpieszy przygotować jakąś nową niespodziankę; wszyscy tedy ustępowali mu z największą

skwapliwością, dopomagając bezwiednie do ucieczki. A on się przeciskał, prześlizgiwał, byle jaknajprędzej, byle jaknajdalej.

Wydobył się z tłumu i nie oglądając się poza siebie, pobiegł w pierwszą lepszą uliczkę.

Zmrok zapadał.

— Ach, zeby juz nocy dockać jak najrychlej! Toby ja onemu gdziebądź umknął; miasto wielkie, mozeby mnie przecie jutro nie nalazł. Jezu... ktoś idzie!

Wskoczył do jakiejś sieni i przytulił się do ściany za drzwiami. Ludzie przeszli rozmawiając głośno i śmiejąc się. Zanim się odważył ruszyć z bezpiecznego kącika, znowu rozległy się kroki. Przeczekał i tych. Tymczasem ściemniło się zupełnie. Wyjrzał ostrożnie.

— Kaz ja się teraz podzieję nieboracek?

Uszedł ze sto kroków, zawrócił bezmyślnie w jakiś zaułek, znowu głosy ludzkie... A tu w pobliżu nigdzie domu niema, tylko mury jakichś ogrodów po jednej i po drugiej stronie drogi...

— Aha!

W zagłębieniu muru, na kamiennej podstawie drewniana figura św. Wojciecha. Jednym skokiem stanął na postumencie i wsunął się poza Świętego; nikt nie zgadnie, że za martwym, nieudolnie wyrzeźbionym posągiem, bije żywe, biedne, struchlałe serduszko.

Kroki zbliżają się coraz bardziej; dwaj ludzie rozmawiają żywo; co ujdą parę kroków, to przystają. Znowu idą... zatrzymali się tuż przy figurze.

— Mądrzyście, ani gadania — ze złością się ktoś odzywa — ciekawość, co miałem robić?

— Złapać, gębę ręką zatkać, czwałem do Rudawy i amen — odpowiada ktoś drugi.

— Juści; a rynek aż się roi od ceklerzy! Inoby szczeniak zaskowyczał, już po mnie. Czemużeście go sami nie chytali, kiedy to tak łatwo?

— Głupiś... biegać nie umiem. A choćbym nawet zdolił, nie przystoi poważnemu człowiekowi. Ot, stało się... próżno żałować przeszłorocznego śniegu! Gdyby nie to, że dziś jeszcze musimy wyjechać, jutro do południa odnalazłbym trutnia i zrobił mu wieczne odpoczywanie. No, chodź. Toboły trza zapakować. A kiesek ile?

— Szesnaście.

— Co? W takim ścisku, ino szesnaście? Ja ich mam dwadzieścia siedem za pazuchą. I same ważne, pełne złota, do chudopachołków anim się zbliżał, co mi po skojcach i denarach.

Odeszli. Cisza zaległa pustą ulicę, tylko na drzewach za murami listki o czemś gwarzą między sobą.

— To nie do uwierzenia — szemrze grusza do jabłoni — zawsze był taki spokojny, trzydzieści lat patrzę na niego.

— I ja go znam, jak siebie samą — odpowiada jabłoń — przysięgłabym, że do dnia dzisiejszego miał tylko jedną głowę.

— I trzymał ją przechyloną na prawe ramię — dodaje czereśnia.

— Czubek infuły ukruszył się odrobinę, i ręka z pastorałem zczerniała od deszczów, ale to drobnostka — mruczy stary orzech — najważniejsze, że całe lat trzydzieści zachowywał się przystojnie, jak należy, a dziś... — orzech potrząsnął gałęźmi wzgardliwie.

— No, patrzcie... bo mógłby kto powiedzieć, że stara jabłoń bajkami się trudni, patrzcie, z lewego ramienia wyrasta druga głowa!

— Malutka, złotowłosa główka!

— Nie... tego już za wiele! widzicie? — z oburzeniem szumi śliwa.

— Jakoś nie dojrzę, co takiego? — pyta grusza.

— Dwie bose nóżki wyłażą z pod białej komży!

— Dwie nóżki... czy podobna!

Wiatr cichnie... drzewa śpią...

Wawrzuś biegnie z płaczem prosto przed siebie. Ach, tak się strasznie boi! Którędy iść, żeby nie spotkać okrutnego zbója!

— O Matko Boska z matusinego obrazka, prowadź mnie!

Biegnie dalej. Wielki ciemny budynek zastępuje mu drogę. Czy kościół? Noc ciemna, nic nie można rozróżnić. Jakieś schodki, jakieś drzwi...

Ojciec Szymon Bernardyn powracał w nocy od chorego; brat Elfegus z latarnią, szedł przodem. Dochodząc już do furty, spostrzegł coś ciemnego na schodach... przyświecił, popatrzył się.

— Ojcze wielebny, dziecko śpi na naszym progu.

Ojciec Szymon pochylił się i nic nie odpowiadając wziął dziecko na ręce.

Brat Elfegus zadzwonił. Weszli do klasztoru.



»Ojcze wielebny... dziecko śpi na naszym progu«
(str. 120).

(H. ż. Ciż.)

ROZDZIAŁ PIĄTY.

U Jana Długosza.

Wawrzuś w nogawicach. — „Naco taka góra?“ — O czem Szymon z Lipnicy mówił z Janem Długoszem. — Niepoprawny snycerz. — U króla jegomości. — Wawrzuś rozmawia z królewną. — Na gorącym uczynku.

Nazajutrz rano, dawno już wszyscy mieszkańcy klasztoru byli na nogach, ojcowie msze święte poodprawiali, ksiądz definitor wysłał dwóch starszych roztropnych braci z wozami do okolicznych wsi po kweście, a Wawrzuś spał jeszcze jak kamień w celi brata Melchiora.

Furtyan poszedł na górę i zapukał do drzwi ojca Szymona.

— Proszę waszej wielebności — rzekł wchodząc — nie wiem co robić z malcem, któregoście wczoraj przywiedli. Trzęsę nim, na nogi stawiam, dobudzić się nie mogę.

— Strudzone srodze niebożątko — odparł ojciec Szymon — dlatego ciężko śpi. Poczekajcie bracie jeszcze z godzinę, widzi mi się, że niebawem się ocknie; głód go zbudzi.

— Sprawiedliwe słowa ojca wielebnego; takie toto było wczoraj osowiałe; wieczerzę mu sam z kuchni przyniosłem, ino kubek mleka duszkiem wypił, oczy mu się skleiły, i byłby spadł ze zydla, gdybym nie przyłapił. Położyłem go w kącie, niczem kawał drewna i do tej pory leży jak nieżywy.

— Nic to; im lepiej wypocznie, tem ci raźniejszy będzie, jak wstanie. Chleba mu ino dajcie ze szperką i mleka, niech poje do sytości, a potem go przyprowadźcie do mnie.

Jak przewidywał ojciec Szymon, tak się też stało. Wawrzuś pokrzepiony dwunastogodzinnym snem i sowitem śniadaniem, zupełnie inną miał minę, niż wczoraj. Sprytne oczy wesoło się rozglądały po ubogiej celi furtyana, która się chłopcu wydała wcale piękną komnatą. Stanąwszy przed ojcem Szymonem, pocałował zakonnika w rękę, patrzył nań z ufnością i śmiało odpowiadał na pytania.

Tatuś nazywa się Wojciech, matusia Baśka, a wieś Poręba.

Niestety... wsi o takiej nazwie, było w Polsce na dziesiątki; a przynajmniej kilka tysięcy ludzi miało za patronów świętego Wojciecha i świętą Barbarę. Tedy na razie nie było możliwości oddać dziecka rodzicom. Zajęcia ojca Szymona w konfesyonale, na kazalnicy i przy chorych, wypełniały czas od wschodu słońca do późnego wieczora; ani mowy być

nie mogło o stałem zaopiekowaniu się chłopcem. Narzucać go innym księżom nie chciał, a tem mniej zostawić małego przybłędę jako popychadło u służby klasztornej.

— Coś trzeba wynaleść, jakoś zaradzić... — przemyśliwał ojciec Szymon, ale się nic nie kłopotał, bo znał niezawodne lekarstwo na wszelakie troski. Kazał chłopcu zaczekać w korytarzu, a zamknąwszy się w swej celi, stanął przed obrazem Bożej Rodzicielki, utkwił wzrok w Jej najświętszem obliczu, i złożył ręce jak do modlitwy. Nie poruszały się usta, oczy tylko pytały i prosiły.

Po krótkiej chwili przeżegnał się, zdjął z gwoździa okrągłą sukienną czapkę i wyszedł z celi.

— Pójdziemy, synku — rzekł do Wawrzusia — ino cię muszę przyodziać ochędożnie, bo w samej koszulinie, a do tego brudnej, nie przystoi chodzić po mieście.

Wziął dziecko za rękę i zeszli znowu na dół, potem długim krużgankiem niemal na drugi koniec klasztoru, gdzie w dużej sklepionej izbie znajdowały się poskładane na półkach skarby ojca Szymona: stare ubrania, wyżebrane po domach, dla ubogich. W porządku utrzymywał swoją szatnię; dziecinna odzież powiązana osobno, zajmowała całą jednę półkę. Większe kapoty, kożuszki, kubraki, leżały na innych, a pod oknem skrzynia z wypraną bielizną.

Raz w tydzień, w piątek, obchodził świątobliwy zakonnik zaułki i przedmiejskie chałupy, gdzie najuboższa ludność głodem przymierała; tam roznosił wyżebrany chleb, krupy i odzienie.

Do tego składu wprowadził tedy Wawrzusia i jął przerzucać rozmaite szatki dziecinne, aż dobrał stosowny strój dla malca.

— O raju... to dla mnie? Naprawdę? Taka biała kosulka?

— Podarujesz mi za to swoją brudną; — z uśmiechem odpowiedział ojciec Szymon.

— Jušci, ze podaruję. Słysycie ludzie... i w nogawicach chodził będę? Kiej nie zdolę... upadnę.

— Ale zdaje ci się, wdziej tylko; zobaczysz, jak to ładnie wygląda.

— A prawda. Wójta syn w Porębie, to na niedzielę w nogawicach do kościoła paraduje, a jakże. Ten kabat tez dla mnie?

— I kabat, i czerwona czapka.

— Matko święta... a cózeście wy za człowiek taki miłosierny!

— To nie ja, dziecko, nie ja, ino Opatrzność Boska i litość ludzka. To wszystko wyżebrane. Ubrałeś się? Dobrze, teraz pójdziemy w świat.

— Ojoj... moze znowu do puscy?

— Ale gdzieżtam, daleko bliżej, parę set kroków.

— Ano, kiedy tak, to idę z wami.

— Weź jeszcze ten węzełek, będziesz miał trzy koszulki do zmiany.

Napowrót krużgankiem ku furcie, brat Melchior otworzył, wyszli.

— Na co taka góra? — były pierwsze słowa dziecka, ledwie stanęło we drzwiach i spojszało przed siebie.

— Górę Pan Bóg stworzył — odpowiedział ksiądz.

— A na co stworzył?

— Przydała się bardzo; widzisz, jaki wspaniały gród na niej zbudowany?

— Naco gród?

— Tu jest mieszkanie miłościwego pana króla polskiego Kazimierza.

— Rety... króla? Król tam mieska? z królową?

— A jakże, z królową, z królewiczami i z królewnemi.

— Gadajciez, gadajcie moiściewy! Król ino we złotej sukmanie chodzi, prawda?

— Ale gdzie! Tak się ubiera, jako insi panowie szlachta.

— Ćmicie, cy co! — żachnął się chłopak, ale w tejże chwili zawstydził się swego zuchwalstwa i pocałował ojca Szymona w rękę. — Pewnikiem sad ma prześlicny i jabłek pełne kumory i chodzi se po ogrodzie; a moze ino cięgiem w izbie siedzi, zasunięty na skubel, coby go nikt nie widział?

— Owszem; i na miasto wychodzi, czasem konno na łowy wyjeżdża.

— Widzieliście go aby raz?

— Więcej niż sto razy. W naszym kościele czasem mszy świętej słucha. Ty go także niebawem zobaczysz.

— Oj, co to, to nie; jakzebym ja śmiał? Ale ze wysoka góra, to wysoka!

— Nazywa się Wawel.

Szli dalej.

— A to co? Kościół dla samego króla pewnikiem, dlatego nie duzy, prawda?

— Nie; na wawelskiej górze jest kościół ogromny; zaprowadzę cię tam kiedy. To zasię, jest kościółek św. Idziego; fundował go król Władysław Herman, przed czterystu laty, na podziękowanie Bogu za syna.

— Ojoj... tak dawno? A moze to nieprawda? Zkądze wiecie?

— Z ksiąg; tam wszystkie dzieje naszego królestwa są wypisane. Właśnie cię wiodę, do wielkiej mądrości męża, który takowe księgi pisze.

— Naco pise? — swoim zwyczajem pytał Wawrzuś.

— Na to, aby gdy ojcowie pomrą, nie poszło wszystko w zapomnienie, ino dla wnuków i prawnuków ku pamiątce zostało.

— Aha, tak jak nasa chałupa.

— O jakiej chałupie prawisz? — spytał ksiądz.

Ale myśli Wawrzka już poleciały gdzieindziej.

— Jakie tez to domy wąziuśkie, a wysokie! Prawiuteńko jak wieze. Dachy śpicaste, naco takie?

I tak zarzucał swego opiekuna pytaniami, aż doszli do ulicy Kanoniczej. Stanęli przed narożnym domem, bernardyn zastukał w bramę kołatką, stróż otworzył.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus; a gdzież to Jędrzej się podział?

— Na wieki wieków. Do chorej córki na tydzień pojechał; ja go ino zastępuję. A do kogo wasza wielebność?

— Jakto do kogo? Do pana tego domu, do przewielebnego kanonika Długosza. A prawda... próżno się dziwuję, cale mnie nie znacie. Idźcie tedy na górę i oznajmijcie, jako bernardyn, Szymon z Lipnicy, przyszedł i radby się widzieć z jego przewielebnością, a w sprawie niecierpiącej zwłoki pogadać.

Odźwierny poszedł, a Wawrzuś jako nieprzestawał od rana, znowu zapytał:

— Naco taka sień syroka?

— Ksiądz kanonik proszą na górę, są we wielkiej sali! — biegnąc ku gościowi wołał stróż.

Poszli po kamiennych, mocno wychodzo-

nych schodach na pierwsze piętro; minęli dwoje, czy troje drzwi, czwarte jakby na powitanie same się przed nimi otwarły, a na progu stał stary człowiek w czarnej sutannie, lamowanej fioletem i obie ręce ku ojcu Szymonowi wyciągnął.

— Co za dzień błogosławiony, że wielebnego brata witam pod moim dachem! Wejdźcie proszę, może raczycie pojrzeć na prace ich miłościów skryptorów? Ja codzień tu zaglądam, ku pilności a uwadze młodzieniaszków naganiam, bo to hm hm hm... — odchrząknął mrukliwie i machnął ręką.

A Wawrzuś uczepiony habitu ojca Szymona, przypatrywał się ukradkiem staremu księdzu.

— Białe, ale gęste; nie tak, jak nas pleban, co ino dziesięć włosików mają na głowie. A brwi tez to nastrosył... o, nicem krzacyska zwisają mu nad ocyma... abo nos! tez długocki; inse dwa by zrobił z tego jednego. A cegóz tak pserabia gębą, jakby se co smakował? Dy nic nie je?

Sala była szeroka, a płytka, jakby stworzona na cel, do którego ją użyto. Trzy okna wychodziły na ulicę, z nich był widok wprost ku królewskim komnatom; tylko, że dom Długosza stał u stóp, a zamczysko na szczycie Wawelu. Strop z ozdobnie rzezanych belek modrzewiowych, poczerniały już był od sta-

rości. Wzdłuż trzech okien ustawiono olbrzymi stół, ciemnem suknem zasłany, przy nim siedziało z jednej i z drugiej strony po sześciu młodych kleryków; każdy miał przed sobą wielki arkusz grubego żółtawego papieru złożony we czworo, parę gęsich piór zatemperowanych, i szklane naczynko z inkaustem (jak wówczas nazywano atrament). Najwprawniejszy z pisarczyków nie na papierze pisał, lecz na pergaminie, egzemplarz przeznaczony przez autora dla miłościwego króla.

U górnej, wązkiej strony, z łokciami na stole, a z głową na rękach opartą, siedział starszy jakiś mężczyzna, i głośno, wyraźnie, a powoli, słowo po słowie z rozłożonego rękopisu czytał. Tamci zaś pisali starannie dyktowane wyrazy. Każdą literę poczynającą nowy ustęp, ledwie tylko zaznaczano cieniuchnemi kreskami, bowiem po zapisaniu całego arkusza, oddawano go uczonym w zdobnictwie pisarzom, a ci, wielkie litery, czyli inicyały, malowali kunsztownie jaskrawemi barwami i złotem.

— Jakąż to księgę daliście wasza przewielebność przepisywać, że tak pilno baczycie na staranność wykonania? — spytał ojciec Szymon.

— Jako wiadomo wam z częstych rozmów naszych — rzekł Długosz — a równie z odczytywanych wyjątków, dwudziesty piąty rok dobiega, jak Bogu wszechmogącemu w Trójcy

jedynemu na chwałę, królom i bohaterom na cześć, a potomnym na pożytek, rozpocząłem dziejów umiłowanej ojczyzny naszej Polski opisanie. Wysłuchał Pan Bóg moich gorących modłów i dał mi, jakom Go prosił, dzieło rozpoczęte doprowadzić do końca. Dwunastą księgę wczoraj właśnie modlitwą zamknąłem*), a w przepisywaniu jest dopiero ósma. Przejdźmy jeśli wola do drugiej komnatki, pogawędzimy swobodniej.

Usiedli na ławie, grubym kobiercem we dwoje złożonym, dla wygody przykrytej.

— A co to za pacholika wodzicie ze sobą, ojcze Szymonie? — spytał Długosz, teraz dopiero zwracając uwagę na Wawrzusia, który wsunąwszy się niemal cały między fałdy habitu, owinął się nim dostatnio jak płaszczem.

— Zaraz opowiem; — odparł zakonnik — ino nie skończyliście jeszcze mówić, przewielebny księże.

— Bez mała, bez mała; — rzekł Długosz — ano tyle chyba dodam, że zdrowie szwankujące, i lata sędziwe ku wieczności się kłonią. Pora spocząć, i rad spocznę.

— Nie przewidujcież, księże kanoniku, kresu, gdy go nic nie zapowiada; wszakże nie tak wiekowym jesteście?

---

*) Długosz prowadził dalej swą kronikę, aż do wiosny 1480; na kilkanaście dni przed śmiercią zaledwie, przestał pisać.

— Sześćdziesiąt i pięć skończyłem w tym miesiącu.

— Jeszcze pożyjecie z ćwierć wieka — z uśmiechem mówił bernardyn.

— Wolne żarty waszej wielebności; drugiego lata nie doczekam; tak przeczuwam.

— Ha, gdy wam tak pilno nadmiernie, tedy wyświadczcie mi wielką przysługę, pokornie was proszę.

— Chętnem sercem; a jaką?

— Gdy się już znajdziecie w przybytku szczęśliwości, uproście Najświętszej Matki Bożej i Matki grzeszników, cobym ja, lichy i marny jej sługa, krócej, nie dłużej czyśćcowe upały cierpiał, i przez Jej zmiłowanie oswobodzon, światłość wiekuistą oglądał.

— A na kiedyż mam waszej miłości przybycie oznajmić? — biorąc tę mowę za żart, spytał Długosz.

— Na drugi rok po was — poważnie odparł Szymon z Lipnicy.

Umilkł, spuścił oczy, długą chwilę trwała cisza, której Długosz wzruszony proroczemi słowy zakonnika nie śmiał przerywać.

— Pytaliście, co za pacholę przywiodłem — rzekł ojciec Szymon, budząc się z zamyślenia. — Przybłąkało się maluczkie do Krakowa, dopytać go nie sposób, ani wie skąd rodem. O jakichciś krowach w plebańskiem życie prawi, po puszczy się błąkał, złodziej oknem uciekający

z kościoła chciał go dusić; miód dzikim pszczołom wybierał, a na rękach go uczono chodzić i kozie na grzbiet wyskakować. Słowem, gdyby nie drobne latka i szczere siwe oczy..., chodź no chodź, nie chowaj się. Przypatrzcie się wasza przewielebność, jakoż się wam zda? Kłamcą to dziecko nie jest, jednakowoż rozpowiada dziwy, z których nic wyrozumieć nie można.

— A co z nim zamyślacie uczynić, ojcze Szymonie?

— U siebie go nie zatrzymam, bo czasu, ani miejsca po temu nie mam. Przyszedłem do waszej przewielebności po radę.

Wstał z ławy, oparł się o okno i patrzył w niebo, modląc się duchem. A stary kanonik Długosz rozważał jego słowa i poruszał machinalnie bezzębnemi szczękami.

— Ojcze Szymonie...

— A co?

— Niech malec zostanie u mnie. Stary Paweł głuchnie z każdym dniem bardziej, usługa cierpi na tem wielce, bo się go dowołać nie mogę; już nawet kupiłem dzwonek w Sukiennicach i niczem na nabożeństwo sygnuję co rano, mało pożytku i z dzwonka. Zapomina się, rozkazy spełnia przeciwnie, i do grzechu mnie ino pobudza, bo cierpliwość tracę i nieraz nad potrzebę surowo go strofuję. Ostawcie mi chłopca, niech się zaprawia do posług; dawnom

już zamyślał szukać pacholika, aby go mieć pod ręką w antykamerze. Przyodziewać go będę stosownie do stanu, głodu nie zazna, a jego miłość pan Żegota...

— Zali ów, co klerykom do pisania dyktuje?

— Właśnie. Tedy uproszę Żegotę, coby dzieciaka liter powoli uczył; okaże się pojętny, to z czytania zasię do pisma przejdzie. Ze względu na ono przeczucie, o którem tylko co wspominałem, dołożę starania, by chłopiec miał i po mojej śmierci opiekę. Spokojnem sercem ostawić go możecie u mnie.

— Bóg zapłać stokrotnie waszej przewielebności; pociechę mi sprawiliście niemałą, bo szkoda mi było dziecka. Pójdę już. Łasce się waszej polecam, niech będzie pochwalony...

— Na wieki.

— Wawrzuś... pocałuj w rękę księdza kanonika; ostaniesz tu, będziesz się uczył posługować jego przewielebności.

— O rety... nie... nie! Weźcie mnie ze sobą! Wam będę posługować! O moiściewy... nie zostawiajcie mnie tu samego!

— Cicho, cicho, nie masz czego płakać, będzie ci tu dobrze.

— Nie chcę nijakich dobrości! Weźcie mnie do swojego domu! O Matko... boję się starego księdza!

Szymon z Lipnicy położył rękę na głowie chłopczyny i palcem zrobił krzyżyk na jego czole.

— Ja tu przyjdę nieraz do ciebie; i ksiądz kanonik posyłać cię będzie do klasztoru; a żebyś ty wiedział, jaki tu jest ładny ogród!

— Jabłka są? — szepnęło chlipiąc dziecko.

— A jakże; jabłka, wiśnie, śliwy... — pochylił się nad uchem Wawrzusia: — Chodź, zaprowadzę cię do Pawła, pójdziecie razem do ogrodu.

. . . .

Od tego dnia upłynęło trzy miesiące. Wrzesień dobiegał połowy. Ktoby nie widział przedtem Wawrzusia, nigdyby się nie domyślił, że ten złotowłosy chłopczyna, zgrabny niczem pazik z senatorskiego domu, o twarzyczce roztropnej i bystrych oczach, był niedawno jeszcze brudnym rozczochranym dzieciakiem, którego rodzony ojciec nazywał niezdarą.

Szymon z Lipnicy miał widocznie szczęśliwą rękę; czego się tknął, to mu się udawało. W pomyślnej godzinie przyprowadził malca księdzu Długoszowi, bo trafił właśnie na chwilę pociechy i zadowolenia po skończonej ćwierćwiekowej pracy. Znakomity pisarz w tak pogodnym był humorze, jak dawno go nie widziano; chłopczyk podobał mu się z wejrzenia odrazu, przytem i opieszała usługa Pawła dała

mu się już porządnie we znaki, wszystko więc składało się jaknajlepiej dla nowoprzybyłego. Pan Żegota również chętnie zajął się chłopcem i niewiadomo, czy sposób nauczania miał wyborny, czy Wawrzuś tak łatwo rozumiał, co mu tłomaczono, dość, że po upływie tych krótkich tygodni nauczył się mówić poprawniej, sylabizował zupełnie gładko, i każdą literę umiał napisać, krzywo wprawdzie i nieforemnie, ale wcale wyraźnie. Ksiądz kanonik pochwalił go parę razy za pilność i temi kilku życzliwemi słowami zjednał sobie serce dziecka. Wawrzuś w oczy jego przewielebności ino patrzał, myśli zgadywał, tak zręcznie umiał służyć, jakby niejeden starszy nie potrafił. Co mu raz nakazano, wypełniał święcie, czego zabroniono, nie czynił nigdy. Pawła wyręczał i zastępował niemal we wszystkiej lżejszej robocie, a tak mu się umiał przymilić, że stetryczały sługus nie obrażał się jakoś za to odsunięcie go od pańskiej osoby, owszem zażywał wczasu i próżniaczył się, rad, że mu z góry na dół drepcić nie każą.

Jedyną pracą, od której się Paweł nie wykręcał, było pielęgnowanie ogrodu, przytykającego do domu księdza kanonika. Posiał tam o wiośnie mnóstwo pachnących kwiatów, plenił je, podlewał, okrzesywał krzaki z wybujałych pędów, obierał gąsienice; tutaj czuł się swobodnym panem, bo Długosz nie często za-

glądał do sadu, a choć i przeszedł się czasem po czysto wygracowanych ścieżkach, nie zwracał uwagi na kwiaty, ani na owoce, zawsze w myślach pogrążony.

Czerwieniejące do słońca sztetytny, żółte bursztówki i buraczkowe cygany, przepełniały serce Wawrzusia błogim niepokojem oczekiwania. Zaglądał na nie po kilka razy dziennie, zbierał skrzętnie przedwcześnie opadłe jabłka, i chował pod tapczan w izdebce na poddaszu, gdzie sypiał razem z Pawłem. Z tej śpiżarni czerpał obficie na własne potrzeby i co piątek rano odnosił ojcu Szymonowi kilkanaście jabłuszek dla ubogich dzieci. Długosz posyłał go niekiedy z listami do klasztoru, a nie było tygodnia, żeby który z ojców nie zajrzał na Kanoniczą ulicę do jego przewielebności.

— Pawle, wyście to ścięli tę wiśnię, co tam leży pod samym parkanem? — spytał Wawrzuś pewnego dnia, oglądając uważnie spory pniak ociosany z gałęzi, rzucony w kąt ogrodu między pokrzywy.

— Hę? — mruknął stary, nie słysząc.

Chłopiec powtórzył pytanie.

— A ja; stara już była, inszym drzewom ino cień rzucała, a pożytku ani na jeden ząb. Wziąłem siekierę i zrobiłem jej koniec. A dla czego się pytasz?

— Ee... nic, tak sobie. Możnaby ją po-

rąbać, toby się zdała na komin; a tak, ino spruchnieje i szkoda.

— A to se zrąb kiedy chcesz; schowaj do komórki, uschnie do zimy i będzie jak znalazł na podpałkę.

— Ee... ona i teraz już sucha.

Wawrzusiowi chodziło tylko o to, żeby się Paweł nie dziwił i nie bronił mu koło drzewka majstrować; a wcale się nie troskał, czy będą suche trzaski na zimę, albo nie. Poszukał piłki ogrodniczej, poprzecinał suchy pień na zgrabne klocki, i z większą jeszcze radością niż jabłka, schował je pod swój tapczan, głęboko do ściany zasuwając.

Mimo łaskawości księdza kanonika i pana Żegoty, mimo zupełnie dobrych stosunków z Pawłem, nawet mimo niewyczerpanego zapasu jabłek, chłopiec miewał chwile strasznej tęsknoty za ukochanym kozikiem i wyrzynaniem zwierzątek z drzewa. Pamiętna jaszczureczka dawno się gdzieś zgubiła, prawdopodobnie podczas przymusowych przechadzek na rękach u linoskoczków. A kozik... szkaradny Froncek złamał mu go na złość — umyślnie.

— Poproszę ojca Szymona, to mi z pewnością jaki koziczek podaruje; on taki dobry.

Za pierwszem widzeniem poprosił i naturalnie dostał, spory, mocny nożyk o dwóch ostrzach. Równie wspaniałego narzędzia nie-

tylko chłopiec nie miał w ręku, ale nawet z blizka nie widział; a dziś, nożyk taki przewyborny, był jego własnością. Pilno też było Wawrzusiowi doczekać się wieczora, a raczej nocy, by choć raz drewienka tym nowym nożykiem popróbować. Drżał ze strachu, by go ktokolwiek nie złapał przy tej karygodnej pracy; mało się to nabrał bicia od tatusia?... Obliczył więc sobie, że najlepszą porą na zadowolenie grzesznej namiętności będzie chwila, gdy Paweł zaśnie mocno. Wtedy i kaganek będzie można zaświecić i dłubać w twardym wiśniowym klocku, ba, nawet śpiewanie starego nie przebudzi... już robił próby.

Ledwie zjedli wieczerzę, przebiegły złoczyńca zaczął się uskarżać na głowę, udawał nawet, że go zimno trzęsie, byle tylko iść na górkę do łóżka. Nie mając komu rozpowiadać przeróżnych wydarzeń ze swego długiego żywota, czem zazwyczaj zabawiał wieczorami Wawrzusia, Paweł uznał, że i jemu samemu nie zawadzi wcześniejszy spoczynek. Poszli tedy na poddasze, zmówili razem pacierz, Paweł zgasił olejny kaganek i nakrył się po uszy grubą samodziałową derką. Wawrzek zaś, by senność odpędzić, sięgnął do swej śpiżarni i pogryzał cierpliwie jabłka, nasłuchując z utęsknieniem, rychło się rozlegnie dźwięczne, groźne, świstające chrapanie starego.

— Aha, jużeś? Chwała Bogu!

Skrzesał ognia, zaświecił kaganek i wyciągnął z pod tapczana pierwszy lepszy klocek.

— O, ten mi się tak czubato ułamał, jak raz możnaby domek ze śpiczastym daszkiem wyrzezać, na podobieństwo tej kamieniczki w podle św. Andrzeja. Albo nie... już wiem... kościółek świętego Idziego wyrobię! Ten król, co to ojciec Szymon kiedyś opowiadał, ten Władysław Herman ofiarował go Panu Bogu za syna. Jego miłość pan Żegota dopiero wczoraj prawił, jaki to waleczny wojownik był z Bolesława Krzywoustego. Ach, cudnie było żyć w owych dawnych czasach... Ale com to chciał rzec? Aha!... Tedy i ja wyrzezam kościółek bodaj z drewienka, na podziękowanie Panu Jezusowi, żem wtedy w puszczy z głodu nie zginął, ani mnie zbój nie udusił, ani one wiły przemierzłe kości mi nie połamały; a już najbardziej za opiekę ojca Szymona i księdza kanonika. Rety, rety... gdyby nie oni!

Skrobie, przycina, wygładza; tu mureczek, tu okienko, tu szkarpa, a tu znowu występek na zakrystyę; a tu większe okno, drzwi kościelne, daszek poniżej nad kruchtą, dach główny, a przed kościołem schodki.

Włosy mu opadły na czoło, odgarnął je ręką, i dalej przycina drzewo. Małe paluszki drążą wgłębienie pod dachem, wycinają okna i drzwi, miniatura kościoła św. Idziego wyłania się z wiśniowego klocka. Nie brakuje mu nic,

nawet żebraczka, mała jak pestka ze śliwki, siedzi zgarbiona pod bramą.

— O Jezu... kaganek gaśnie... a pełny był. Biedny ja, biedny, będzie też to Paweł kręcił za one uszyska! Gdyby tak mieć pilniczek, przydałoby się jeszcze schodki wygładzić, bo chropate. Ano darmo, szary dzień w okna zagląda; powiem, że całą noc świeciłem, bom strasznie chorował. Grzech... kłamstwo... Trzeba się będzie przyznać ojcu Szymonowi. A teraz przylepię się krzynę do poduszki, zdrzemnę się choć godzinkę; lada chwila ksiądz kanonik zadzwonią o wodę do mycia.

Mijały dni i tygodnie; Wawrzuś przymizerniał, pobladł, aż Paweł to zauważył i trapił się wielce, bo chłopca strasznie lubił. Chciał go nawet zaprowadzić na Pędzichów i oddać na własny koszt w leczenie znanej na cały Kraków znachorce Błażejowej. Ledwie się Wawrzek wyprosił. Ku wielkiemu swemu umartwieniu, musiał zaprzestać nocnej pracy, bo Paweł ciągle groził Błażejową, a nawet chciał prosić jego przewielebność o jakie leki dla malca. Calutki tydzień wysypiał się więc porządnie, i znowu zdrowo wyglądał. Odtąd rzadziej i na krócej brał się do swoich drewienek, a tak go coś do nich strasznie ciągnęło! W dzień zaś, wymknąć się, nie było sposobu, ksiądz kanonik lubił mieć chłopca pod ręką. Sprzątanie sypialni do niego wyłącznie nale-

żało; gdy tylko ksiądz Długosz przeszedł do pracowni, zaraz Wawrzuś otwierał okno, kobierczyki z przed łóżka i z ław na podwórze znosił, gdzie je Paweł ze stróżem codzień z kurzu wytrzepywali. Sam zaś brał po drodze z komórki miotłę i dzbanek z wodą, skrapiał nieco podłogę i porządnie zamiatał. Słomę w sienniku poruszał i gładził, aby jego przewielebności nie ugniatała w leżeniu. Na siennik kładł szarą derkę, zaścielał zgrzebnem prześcieradłem, na to kołdra, z cieńszej wełny utkana niż derka, i poduszka niewielka, w poszwie pasiatej, białej z czerwonem. W głowach łóżka wisiał na ścianie duży hebanowy krzyż, z pięknie wyrzeźbionym Chrystusem z kości słoniowej. Obok zaś znajdował się stół, na nim świecznik dwuramienny z woskowemi świecami i parę książek do czytania, w razie bezsenności. Naprzeciw łóżka zagłębienie w murze, w niem na kamiennej półce miska miedziana i mydło; u góry mocny hak, na nim zawieszony miedziany kociołek, zawsze pełny, z kurkiem do puszczania wody. Na drewnianem wieszadle wkręconem do śruby w ścianie, ręcznik. Tuż obok małe zwierciadełko, z polerowanej srebrnej blachy. Pod oknem skrzynia dębowa z szufladami, w nich suknie i bielizna księdza kanonika. Ponad skrzynią kroksztyn, czyli półeczka drewniana, a na półeczce posążek Matki Boskiej z Dzie-

ciątkiem na ręku, snycerską robotą misternie wykończony, żywemi farbami pomalowany, w złocistym płaszczu i koronie.

Przed tym posążkiem stawał codzień Wawrzuś, zadzierał głowę i patrzył. Podobała mu się jaskrawość barw, podobała mu się twarz Najświętszej Panienki i Dzieciątko z rączką podniesioną jak do błogosławieństwa. Ale poza tym naturalnym zachwytem, tkwiła inna myśl... zawsze, uparcie ta sama: jak też to cudnie wyrobione! Co za nożyki, czy pilniki, czy dłutka trzeba mieć, żeby tak zdolić... Ach, gdybym ja onego spotkał, co to robił, dopierobym się wypytał o wszystko! Czy jego kto starszy uczył, czy ino tak ze swojej głowy umiał!

Figurka Matki Boskiej nie dawała chłopcu spokoju; postanowił spróbować, czy choć troszkę podobnej, choć mniejszej wyrzeźbić nie potrafi. Dopisało mu szczęście, bo ksiądz Długosz wyjechał na odpust do Tyńca i miał tam dwa dni zabawić. Na wielkie prośby Pawła, wziął go z sobą, a odźwiernemu Andrzejowi pieczę nad domem i małym pokojowcem powierzył. Andrzej, jak wogóle cała służba jego przewielebności, człowiek leciwy, mało sobie zadawał trudu z wykonaniem tego rozkazu: bramę zasunął na skubel i nikomu nie otwierając, zawiadamiał tylko z poza drzwi, że księdza kanonika niema w domu. Z Wawrzkiem

jeszcze łatwiej sobie poradził; kazał mu się bawić w ogrodzie, a na noc przychodzić do swojej izby, z obawy, że malec pozostawiony bez dozoru, gotów zapuścić ogień. Ale ani razu nie sprawdził, co chłopak robi, zadawalniając się tem, że wielce akuratnie stawił się na śniadanie i na obiad.

Wawrzuś tymczasem od rana aż do zmroku przesiedział w izbie sypialnej księdza kanonika, kopjując figurkę Matki Boskiej. Strasznie mu nie szło, aż płakał. Ale nie dawał za wygranę, jeszcze miał cały dzień jutrzejszy. I rzeczywiście, nazajutrz pod wieczór, drewniana osóbka w płaszczu i koronie podrobiona z grubsza, przypominała nieco pierwowzór. Schował to arcydzieło do swego skarbca i poszedł na dół spać u Andrzeja.

Jego przewielebność zjechał wieczorem, a na drugi dzień usługa i wszelkie sprawy domowe wróciły do dawnego porządku.

Ksiądz kanonik siedział w swej pracowni i pisał; ale że chłód październikowy trochę mu już dokuczał, kazał zapalić na kominie. Paweł uznał Wawrzusia godnym zaszczytu przestąpienia progu tajemniczej komnaty, w której dotąd noga jego nie postała. Chłopiec wszedł na paluszkach, dźwigając przed sobą duckę z krótko porąbanemi drewkami i rozejrzał się zdumiony po wszystkich kątach.

— Tyle księgów, tyle papierów... trzy stoły zawalone, na zydlach, na podłodze uśtyrmane, a na półkach dookolusieńka, aże się cisną. Ciekawość, czy to wszystko ksiądz kanonik sami napisali! Pewno... ojciec Szymon powiada —,...

Zagapiony na stosy foliałów, nie patrzał pod nogi, potknął się na jakimś mędrcu greckim czy łacińskim, i gruchnął razem z drewkami na ziemię. Łoskot sypiących się z kosza polan, wyrwał z zamyślenia jego przewielebność. Długosz drgnął, obejrzał się poza siebie.

— A, to ty? Czego się tłuczesz?

— Upadłem niechcący... już nigdy nie będę — wyjąkał malec, pewny, że za naruszenie spokoju księdza kanonika czekają go straszne cięgi. Lecz ten już ani myślał o tak błahem zajściu, i pisał dalej marszcząc brwi i poruszając szczękami.

— Patrzcie ludzie... nie łaje, ani na Pawła nie dzwoni, żeby mnie obił. Strasznie dobry; trza mu napalić godnie, coby miał ciepło jak w uchu.

Przykląkł, napakował polan co się wlazło, zaświecił szczypkę, podłożył, strzeliły płomyczki na wszystkie strony, drewka zaczęły trzaskać, paliło się godnie.

Jan Długosz odłożył na bok pióro.

— Wawrzuś!...

— Matko święta... przypomniał se o mnie... Słucham waszej przewielebności — rzekł głośno, wstając od komina.

— Odziej się przystojnie, kubrak i nogawice odświętne, włosy niech ci Paweł przygładzi; ręce czyste?

— Brudne... od popiołu.

— Więc się umyj, żebyś mi wyglądał uczciwie i ochędożnie. Potem wróć się tu; idę do króla, zaniesiesz za mną księgę na gród.

Przed kilku miesiącami, byłoby krzyku, strachu, płaczu coniemiara; dziś zachowanie się Wawrzusia tak dalece się poprawiło, że tylko w niemej rozpaczy zasłonił twarz rękoma i wybiegł z komnaty.

— Oj Pawle, Pawle... krzyknął wpadając na poddasze — rozsypałem drwa na podłodze, zgniewał się ksiądz kanonik i każe mi za karę iść do króla.

— Baj baju... zwaryowałeś, czy co?

— Jakże zwaryowałem? Dy się mam ubrać w conajlepsze, umyć, uczesać, i dymać na gród za księdzem kanonikiem.

— Taj o co płaczesz? Jakie toto głupie, aż strach! Napatrzysz się cudności, króla uwidzisz, inszyby pół życia za to szczęście oddał, a ten się krzywi.

— Okrutnie się króla boję...

— Durnyś... cóż ci król zrobi? A po drugie, nie przybieraj se do głowy, jakoby pan

miłościwy miał zwracać oko na taką pruszynę. Czy ciebie mucha co obchodzi? Ano, tyś jeszcze mniej niż mucha, przeciw królewskiej osoby. Stój se cicho w kąciku, ani wiedział będzie, czy żyjesz na świecie.

Poszli tedy na Wawel. Jego przewielebność w nowej z cienkiego sukna sutannie z fioletowemi wypustkami na szwach, w rokiecie popielicowej z ogonkami dokoła poobszywanymi dla ozdoby, i w dużym birecie z klapami na uszach. Wawrzuś tuptał za nim z wielką księgą in quarto w objęciach. Paweł mu włoski wodą polał i grzebieniem gładziutko uczesał, wyglądały jak przyklejone. Koszulka czysta, granatowy kubraczek, jasno orzechowe nogawice i ciżemki z jałowiczej skóry.

Im bliżej byli celu, tem ciężej się robiło obydwom; ksiądz stękał, bo góra stroma, Wawrzusiowi serce kołatało ze strachu. Aż stanęli u bramy dziedzińca. Długosz zatrzymał się i oddychał głośno.

— Wasza przewielebność raczy spocząć krzynę — prosił odźwierny, całując księdza w rękę — miłościwy pan niedarmo się troska o swych gości; wawelska góra bystra, młody wybiegnie śpiewający, a starszemu niezdrowo.

I wskazał kamienną ławę we framudze muru.

— Słusznie radzisz, posiedzę chwilę; je-

szcze mnie siła schodów czeka. Król jegomość w komnatach?

— Tylkoco wrócił ze sadu; ich miłoście królewicze Zygmunt i Frydrusz*) jabłka obierają, to się im przypatrował.

— No, już mi zelżyło; pójdźmy dalej — rzekł Długosz, wstając z ławy.

Wawrzek przypatrywał się ciekawie wszystkiemu, w ciągłem oczekiwaniu jakichś niebywałych przepychów, a znajdował stare kamienne schody, ciasne korytarze i ciemnawe izby, przez które ksiądz kanonik szedł nie zatrzymując się.

W przedpokoju królewskim przywitał Długosza komornik nizkim ukłonem i poszedł oznajmić go królowi.

— Najmiłościwszy pan prosi, — rzekł, otwierając drzwi przed gościem.

Tu już spodziewał się Wawrzuś na pewne ujrzeć ściany ze szczerego złota, podłogę ze srebra, a królewską osobę w płaszczu wysadzanym drogimi kamieniami. Zobaczył wielką izbę sklepioną, z ławami rzeźbionemi dokoła ścian, kobierce na podłodze, a w głębokiej framudze wązkiego okna, na kamiennych siedzeniach dwie postacie, których nawet w pierwszej chwili nie mógł dojrzeć wyraźnie. Pod światło

*) Fryderyk.

widział tylko, że to byli mężczyźni, stary i młody.

— Ot robota — pomyślał — bałem się i boję się wciąż, a nic nie wiem. Zali pójdziemy dalej, abo może jeden z tych w oknie, to sam król? Ale który? Z gołemi głowami oba, to nie poznać... Czegoż się ksiądz kanonik tak bez pół zgina?...

Starszy z siedzących u okna panów zwrócił się ku jego przewielebności. Szczupłą miał twarz, jakby schorowaną, kości policzkowe mocno wystające, lica zapadłe. Przez całą szerokość czoła biegły zmarszczki głębokie, oczy zmęczone były i smutne jakieś. Skinął uprzejmie ręką.

— Witajcie księże kanoniku! Serdecznie wam rad jestem. Graliśmy w szachy z Olbrachtem; dostał dwa maty, a trzeci mu grozi lada chwila.

— Co nie, to nie, miłościwy ojcze! — zawołał młody. — Właśnie wam wziąłem rocha, a szach królowi i królowej, nabawił was kłopotu nielada; musicie przegrać tę partyę.

— Miejże uciechę, żeś wygrał raz na sto, zgadzam się.

Królewicz, młodzieniec o pięknych rysach i wspaniałej postaci, pocałował śmiejąc się ojca w rękę, zamknął szachownicę, i skłoniwszy się uprzejmie Długoszowi, wyszedł z komnaty.

— Usiądźcie, wielebny kanoniku. Mówił mi ksiądz jałmużnik, że w Tyńcu z wami się zjechał; długoście tam byli?

— Dwa dni, miłościwy panie; a i to za wiele. Na starość ino doma najlepiej.

— Słyszałem także od owego, że znamienite dzieło wasze zakończyliście już z pomocą Bożą.

— Tak jest; i mocno się tem raduję, bom się lękał, że nie dopełnię zamierzonej całości. Teraz się ino troskam, by insi po mnie z uczciwością prawdzie służąc, dalej dzieje ojczyzny i panowania królów spisywali.

— Pomnicie też, księże kanoniku, obietnicę?

— O tej li mówicie, miłościwy panie, którą wam dałem przed rokiem?

— Tak jest, przyrzekliście, gdy ostatnią kartę napiszecie, dać mi to dzieło do czytania. Niecierpliwie oczekuję.

— Nie wszystkie jeszcze księgi przepisane, ale dziś mam tu ze sobą jednę, właśnie tę, o którąście mnie kilkakroć pytali, panowanie i zgon nieśmiertelnej pamięci brata waszego Władysława.

— Wdzięczen wam jestem szczerze i zaraz jutro czytanie rozpocznę. Mówiliście, że ksiąg ma być dwanaście?

— Tak jest; a ta, jedenasta z porządku.

— Dwunasta zasię, traktuje o mnie. Zali

mógłbym ją wziąć do ręki, bez szkody na zdrowiu? — żartobliwie uśmiechając się, pytał król.

A Długosz odpowiedział z powagą:

— O dawnych wiekach i panowaniach pisząc, szukałem autorów godnych wiary; a i tych kroniki porównywałem jeszcze z innemi współczesnemi, by prawdy lub kłamstwa dociec, a o ile stać słabe siły człowieka, wiernie wypadki dziejowe spisywać. To ano, co się za mego żywota przygodziło, lub na co patrzałem własnemi oczyma, starałem się wyrozumieć sprawiedliwie, strzedz się prywaty i bezstronnie do wiadomości potomnych przekazać. Czy nieudolność duszna, abo słabość ludzka, nie podyktowały mi sądów zbyt surowych w tem lub owem zajściu, nie mam prawa stanowczo zaprzeczać. Dlatego też ostatni rozdział mej kroniki zamknąłem prośbą do Boga wszechmogącego o przebaczenie, jeżelim aby jednem słowem przeciw prawdzie zgrzeszył, a do czytelników, by one mimowolne błędy i omyłki, wedle najlepszego rozumienia poprawiali. Tedy ufam, najmiłościwszy panie, że śmiele i dwunastą księgę czytać możecie. O sobie tam cale nie rozpisuję się, a krzywdę doznaną od braci Kurozwęckich*), którzy, korzystając z niełaski waszej na mnie, złupili mój dom doszczętnie, wspominam ino kilkoma słowy.

*) Długosz.

— Wierzajcie mi, księże kanoniku, że prawdziwie bolałem nad temi nadużyciami — rzekł król serdecznie — dziś jeszcze, po latach dwudziestu żal mi, że tego, co się stało, nie mogę wymazać z waszej, ni swojej pamięci.

— Stało się, minęło, i co się mnie tyczy, to zapewniam was, miłościwy panie, że minęło bez śladu. Wynagrodzon jestem nad zasługę, że mi danem było synaczków królewskiej waszej miłości preceptorem być i wychowawcą. Obdarowaliście mnie, panie, łaską i zaufaniem, nic mi więcej nie potrza.

— Ale mnie pilno sprawić waszej przewielebności zadośćuczynienie, na świadectwo mych dla was najlepszych chęci. Gdybyście mię byli dziś nie nawiedzili, jutrobym po was posyłał. Po śmierci Grzegorza z Sanoka, archidyecezya lwowska przeszło od dwóch lat bez pasterza; wiadome wam rozterki w kapitule, i kto je wznieca. Pokonałem wreszcie te trudności, nominacya waszej przewielebności na tę stolicę już podpisana, ksiądz podkanclerzy jutro ją wam doręczy.

— Nie zaszczyt wielki uciechą mi jest, miłościwy panie, — odpowiedział Długosz — starym już, śmierci blizki, o światłości wiekuistej mi rozważać, a nie doczesnych blasków łaknąć. Ino mię to raduje, że w onym czynie waszej królewskiej miłości pełnię łaski i życzliwości

dostrzegam. Przyjmuję i korne dzięki składam.

— Zechciejcie pokazać mi ową jedenastą księgę, jeżeli jest pod ręką.

— A jakże, pacholik mój przyniósł ją za mną. Wawrzuś!...

Z najciemniejszego kąta komnaty wysunął się struchlały malec i gruby tom w wyborową skórę oprawny, podał swemu panu; Długosz zaś z pokłonem wręczył królowi.

— Jakom rzekł, od jutra czytanie rozpocznę; dziś tylko obejrzę karty. Aaa... pismo piękne, równe, inicyały bogate, biegłych macie pisarzów, księże kanoniku... Jakto? Już dzwonią?

Król Kazimierz zatrzymał księgę na kolanach, przeżegnał się i spuściwszy oczy, odmawiał Anioł Pański półgłosem. Długosz uczynił to samo. W komnacie robiło się szaro, wczesny jesienny zmrok zapadał.

Wszedł paź z dwoma zapalonymi świecznikami w ręku i postawił je na podłużnym stole przy drugiem oknie, gdzie widocznie król zwykł był pisywać, bowiem ława z oparciem piękniej była rzeźbiona od innych i poduszka na siedzeniu miała aksamitną poszwę, nie sukienną. Na stole leżały papiery i kilka ksiąg.

Przez drzwi pozostawione otworem, można było widzieć następną izbę i trzecią, z której biło światło kilkunastu świec ustawionych

na dużym stole nakrytym białym obrusem i srebrnymi talerzami. Paź pokłonił się nizko, wyprostował sztywnie i przytłumionym głosem, by nie razić uszu królewskich, oznajmił:

— Wieczerza na stole, miłościwy panie!

Długosz powstał i chciał żegnać króla, ten jednak nie dał mu odejść, mówiąc:

— Zostańcie, zostańcie, księże kanoniku; nie tak dawne czasy jeszcze, gdyście mi domownikiem byli. Spożyjmy razem co Bóg dał, a miłościwa pani nasza Elżbieta przyprawić zaleciła. Woda do mycia jest? — spytał krótko, czekającego u drzwi pazia.

— Tylkoco przyniosłem — odpowiedział.

— Pójdźcie, wielebny księże; w drugiej komnatce opłuczmy ręce, i do stołu.

Król dźwignął się z ławy powoli, wspierając się rękoma o poręcze.

— O... jaki też to wysoki! — pomyślał Wawrzuś wyruszając ze swego kąta na skinienie jego wielebności. — Choć o pół głowy większy od księdza kanonika. Jakżeż... tak się godzi, zwyczajnie król. A jeszcze, gdyby się nie przygarbiał,... tak one plecy pochyla, jakby co ciężkiego dźwigał.

W komnacie jadalnej, u stołu zastawionego misami gorących potraw, czekała królowa, z synami Olbrachtem, Aleksandrem, Zygmuntem i Fryderykiem i córeczką ośmioletnią Elżbietą, która po wyjściu zamąż królewien

Jadwigi i Zofii, od roku już jako najstarsza córka zasiadała z rodzicami do stołu.

— Przyprowadzam waszej miłości gościa rzadkiego, a wielce miłego — rzekł król Kazimierz, całując żonę w czoło — jego przewielebność... przerwał umyślnie i kończył głosem uroczystym: — Arcybiskup nominat lwowski.

Długosz pochylił się w nizkim ukłonie, królowa zaś podeszła parę kroków i podając staruszkowi rękę, pocałowała go w ramię.

— A tu macie, przewielebny panie, domową czeladkę — dodał król, wskazując dzieci. Zbliżyli się wszyscy z wyjątkiem Olbrachta, bo ten już się był witał poprzednio, i nie wyłączając małej Elżbietki, pocałowali księdza w rękę.

— Waszą miłość — rzekł Długosz do królewicza Aleksandra — mogę jeszcze od biedy zaliczyć do moich wychowanków; jeden rok wprawdzie, aleś był moim uczniem. Władysław już króluje, Kazimierz więcej w Wilnie niż w Krakowie przebywa, królewicz Olbracht ino upatruje kędyby wyfrunąć z gniazda i miecza sprobować... a jakże idzie nauka młodszych, miłościwy panie?

— To już signor Buonacorsi-Kallimach najprawdziwiej waszej przewielebności odpowie; — król rzucił okiem po komnacie i zwrócił się do żony. — A gdzież jego miłość pan preceptor?

— Był tu przed chwilą — odpowiedziała królowa — przychodził usprawiedliwić się, jako blizki krewny z Florencyi w odwiedziny doń przyjechał; prosił o uwolnienie od obowiązków na dwa lub trzy dni. Ponieważ zajęci byliście rozmową z gościem, miłościwy mężu i panie, przeto rozumiałam, że godzi mi się zezwolić w waszem imieniu.

— Słusznie wasza miłość uczyniłaś; zapewne ów gość włoski dłużej tu zabawi, zawiadomię tedy Kallimacha, by nie krępując się, jaknajwięcej z krewnym przebywał.

Królewicz Fryderyk skubnął w ramię Zygmunta i szepnął mu coś do ucha, śmiejąc się cicho.

— O sprawowanie młodych pytaliście, przewielebny panie, — wrócił król do przerwanej rozmowy; — Zygmunt spokojny, rozważny, może kiedy po najdłuższem życiu waszej przewielebności, infułę po was odziedziczy.

— Tak sądzicie, miłościwy królu?

— Piąty z braci... do tronu się chyba nie dociśnie; a z przyrodzenia sensat, niech się ima nauki i ołtarzą. Bo co się Frydrusza tyczy, to...

— Nie lubi ksiąg i pióra? — spytał Długosz.

— Owszem, jego miłość signor Kallimach całe zadowolony z pilności, chwalił go dziś jeszcze za extemporalia łacińskie; powiada, że

pojęcie ma łatwe i elokwencyę nad wiek; ino...

— Zuchwalec może? — spytał ksiądz. — Miałem ja na to lekarstwo niezawodne swojego czasu; ano ręka ojcowska skuteczniej pohamuje krnąbrność.

— Zuchwały nie jest, ino pstro w głowie; krotofile a psikusy na każdy dzień nowe.

Długosz nachmurzył się srodze i odchrząknął groźnie; ale zwróciwszy twarz do króla uśmiechnął się i szepnął:

— Pacholątkoć to jeszcze, nie pora na powagę.

Zazwyczaj sam król odmawiał modlitwę przed jedzeniem, dziś ze względu na obecność duchownego, usunął się na bok, a Długosz przeżegnał misy i odmówił Benedicite.

Zasiedli wszyscy w porządku zwykłym, to jest królestwo oboje w pośrodku stołu; przy królowej nad wszystkie dzieci ukochany królewicz Olbracht, przy królu królewna Elżbieta. Naprzeciw zajął wskazane przez miłościwą panią miejsce kanonik Długosz, mając z prawej Zygmunta, z lewej Aleksandra i Fryderyka.

Król był wesół i mowny jak rzadko; pojednanie z Długoszem uspokoiło jego sumienie, a nadanie arcybiskupstwa, było dowodem łaski i piękną koroną tej zgody. Do rozmowy mięszał się tylko z rzadka i nieśmiało dziewię-

tnastoletni królewicz Olbracht, młodsi bracia i królewna sprzątali gęś z szarą podlewą i kaszę jęczmienną ze skwarkami, nie odzywając się, chyba najcichszym szeptem jedno do drugiego.

Za krzesłem każdego z biesiadników stał paź dla usługi; Wawrzek na znak dany przez jego przewielebność, chcąc nie chcąc musiał uczynić to samo; a że i w domu posługiwał przy stole, dosyć więc zręcznie dawał sobie rady, mimo wielkiego onieśmielenia na widok całej rodziny królewskiej. W ciągu wieczerzy, która trwała dość długo, nabierał powoli odwagi, i pamiętny słów Pawła, że jest marną muchą niegodną spojrzenia miłościwego pana. poddał się pokusie ciekawości i z początku ukradkiem, a później coraz jawniej, wpatrywał się w twarze króla, królowej, malutkiej królewny i królewicza Olbrachta, których miał naprzeciwko siebie. Elżbietka, jego rówieśnica, podobała mu się bardzo... od tylu miesięcy nie miał stosownego wiekiem towarzystwa, nie rozmawiał z żadnem dzieckiem. Zapomniał na chwilę gdzie jest, i wlepił ogromne siwe oczy w niebieskie oczka królewny.

Mała księżniczka nudziła się bardzo przy stole; rozmowa starszych nic a nic jej nie zajmowała; mimo to, siedziała wyprostowana, grzeczna, z buzią poważną. Niebieskie oczy niby nieruchomo utkwione w przeciwległą ścianę, patrzyły wcale gdzieindziej i mówiły:

— To ty jesteś Wawrzuś? Słyszałam jak cię wołano. A siwe oczy odpowiedziały:

— Pierwszy raz widzę prawdziwą królewnę; bardzo mi się podobasz, bo masz takie śliczne włoski, jak Jasiek.

— Jaki Jasiek? — pytały niebieskie.

— Mój przyjaciel, tam, w Porębie — odpowiedziały siwe.

— Chciałabym się z tobą pobawić; — prawiły rozgadane oczka — zawsze jestem sama, a moja niania ma tysiąc lat!

— Ja także jestem bardzo biedny; — żaliły się siwe — mój pan i Paweł, mają także conajmniej tysiąc lat; prawie nigdy nie wychodzę z domu, ino czasem, do ojca Szymona.

— A ja, albo siedzę w mojej komnatce, albo z nianią chodzę po ogrodzie. Niania nie umie biegać, ani skakać... a ty umiesz?

— Ja nawet umiem na rękach chodzić. Umiem także zwierzątka z drzewa wyrzynać. Jakie trzewiczki noszą zwykle królewny?

— Wczoraj dostałam nowe, śliczne, modre jak niebo.

— E... żółte niech ci pani królowa sprawią.

— Żebyś wiedział, jak mi się przykrzy, uczą mnie po niemiecku, po łacinie; wiesz Wawrzusiu, aż czasem nawet płaczę.

— Ach, gdybym ja był królewiczem, bawilibyśmy się razem!

— Gdybym ja była dziewczynką, a nie królewną, jakby to było wybornie!

Już od dłuższego czasu królewicz Aleksander okazywał wielkie zakłopotanie; poruszał nieznacznie lewem ramieniem, poprawiał się niby na zydlu, to znów czegoś szukał pod stołem. On, zazwyczaj powolny i nieruchawy, dziś wyjątkowo nie mógł usiedzieć na miejscu. Wreszcie niepokój wziął górę nad karnością, i mimo, że młodszym dzieciom nie wolno było mówić do króla, tylko na zapytanie odpowiadać, odezwał się nieśmiało:

— Miłościwy ojcze...

Król Kazimierz zajęty rozmową z żoną i Długoszem, nie dosłyszał; królowa Elżbieta rzuciła na syna zdumione spojrzenie; Aleksander powtórzył głośniej:

— Miłościwy ojcze...

Król zwrócił twarz do syna i popatrzał nań surowo.

— Co powiadasz?

— Zechciejcie zezwolić, abym wstał od stołu i przeszedł do drugiej komnaty.

— Poco? — zadziwił się król.

— Gad jakowyś duży, alboli robak, wszedł mi do rękawa i bezprzestannie łazi po ramieniu. Tak mię dręczy, że dłużej zdzierżyć nie mogę; muszę zdjąć jakę i spędzić ono plugastwo.

— Idź — rzekł krótko ojciec, a królewicz skorzystał z pozwolenia, z niebywałą chyżością poskoczył do drugiej izby i niemal równie prędko powrócił.

— Cóżeś nalazł? — spytała matka.

Oszczędny w słowach młodzieniec odpowiedział jedną literą:

— O!

I pokazał trzymany w dwóch palcach... duży kłos jęczmienny.

— Nie dziwota, że wasza miłość wycierpieć w spokoju nie zdołałeś, — rzekł, śmiejąc się Długosz — wiadoma to rzecz, co za peregrynacye odprawia kłos jęczmienny, włożony za odzież. Sam się na własnych ostrych włoskach posuwa, przysiągłbyś, że jakieś żywe stworzenie, konik polny, abo jelonek.

— Skądże ci wlazł do rękawa? — spytała królowa. — Byłeś dziś może z podstarościm w śpichrzu?

— Nie, miłościwa matko; od obiadu siedziałem doma, i nie czułem nic, dopiero przy wieczerzy.

— Fryderyk w śpichrzu był? — spytał ojciec surowo najmłodszego syna.

Królewicz spuścił głowę nad sam talerz i cicho wyjąkał:

— By... byłem... najmiło... łościwszy ojcze.



»Nie zauważył nawet, że ktoś stoi obok niego i patrzy...«
(str. 163).

(H. ż. Ciż.)

— Przez miesiąc, od dzisiejszego dnia, zakazuję wierzchem jeździć. Ani nogą do stajni.

— Bułanka się zastoi — szepnął płaczliwie królewicz.

— Zygmunt ją codzień przejedzie.

— Ponosi go... zrzuci...

— Niech się trzyma.

— Miłościwy ojcze...

— Dosyć. Powiedziałem.

Król Kazimierz podniósł się z krzesła. wszyscy powstali. Odmówiono modlitwę; dzieci podziękowały rodzicom za wieczerzę pocałowaniem ręki, król uściskał żonę, poczem przeszedł z gościem do swej komnaty. Ale Długosz pożegnał się niebawem, raz jeszcze wyrażając gorące podziękowanie za wyniesienie na arcybiskupią stolicę.

Przyszedłszy za swym panem do domu, Wawrzuś usłużył mu przy rozbieraniu, przyniósł świeżej wody do podręcznego dzbana i do kociołka na umywalni, poczem pochwalił Pana Jezusa i pomknął na poddasze, przeskakując po dwa schody. Poczciwy Jakób chrapał jak najęty.

— Oj nie pójdę jeszcze spać, nie pójdę; — mruczał chłopak pod nosem — muszę se najpierw panienkę malućką wyrobić, póki dobrze pamiętam. Ino główkę z noskiem, z oczkami, z włoskami.

Zabrał się z wielkim zapałem do roboty.

Długosz tymczasem nie mógł jakoś usnąć. Bytność w Tyńcu, jako zmiana długoletniego trybu życia, już go trochę zmęczyła; a dzisiejsze odwiedziny u króla, rozmowa z Kazimierzem Jagiellończykiem, dawnych goryczy wspominki, a w końcu serdeczne słowa królewskie i świetne zadośćuczynienie, wszystko snuło mu się po głowie i sen z oczu spędzało. Zapalił świecę, chciał czytać, nie mógł skupić uwagi. Postacie Stanisława i Dobiesława z Kurozwęk, co przed laty dwudziestu splondrowali i złupili dom jego, stanęły mu żywo przed oczyma...; dziś Stanisław zestarzał się, i wraz z duchowną szatą ułagodził dawną porywczość. Jako podkanclerzy, z urzędu będzie musiał doręczyć mu nominacyę...

Poleżał chwilę z przymkniętymi oczyma, ani rusz usnąć.

— Starość nie radość — pomyślał — w późniejszym wieku, nawet pomyślność jest udręczeniem.

Zaczął odmawiać pacierze, i to nie pomagało, zwłaszcza, że szmer jakiś na górze zaniepokoił go.

— Oni tam także nie śpią zda się; może zaniemógł który.

Wstał z łóżka postękując, odział się w kapotę futrem podbitą i ciepłe ciżmy sukienne, i ze świecą w ręku wyszedł do sieni. Spojrzał

ku drzwiom poddasza, przez szczelinę widać było światło.

Wawrzuś tak był zajęty wyrzynaniem noska królewny, że nietylko cichych kroków księdza kanonika nie usłyszał, ale nie zauważył nawet, że ktoś stoi tuż obok niego i patrzy... Długosz patrzał i dziwił się. Zdradziło go chrypliwe chrząknięcie. Chłopiec skoczył jak oparzony, a ujrzawszy jego przewielebność nad sobą, ani próbował wymówek, wykrętów, królewna z rąk mu wypadła, stał nieszczęsny zbrodniarz czekając kary.

— Czemu nie śpisz? Co to ma znaczyć? Już dawno po północy.

Wawrzuś milczał.

— Pokaż co robisz?

— O Jezu... wasza przewielebność... nie bijcie! Ja nocami ino... jak matusię kocham, ino w nocy!

— Pokaż coś robił!

Podniósł niedokończoną główkę, ręka mu drżała, że omal nie upuścił, i podał księdzu. Nie było na co patrzeć, owal twarzy ledwie zaznaczony, broda i szyjka już podrzeźbione, włosy rozdzielone nad czołem, brewki, nosek zaczynał występować... Jeszcze nic, a jednak w twarzy Długosza odmalowało się zdumienie.

— Masz co więcej? Coś skończonego? Pokaż!

Wawrzuś westchnął ciężko. Jeszcze nie bije... chce więcej zobaczyć... a wtedy co? Pewno wypędzi.

— No pokaż.

— Boję się...

— Ależ ja się nie gniewam, czego się boisz?

— Naprawdę? Bicia nie dostanę?

— Zaco? Lepiej, że się tak bawisz, niźlibyś bąki zbijał. Ino szkoda, że w nocy. Noc Pan Bóg dał do spania. Mało to czasu masz we dnie? Tedy nie marudź, ino pokaż coś gotowego.

Malec wlazł cały pod tapczan i wygarnął kilkanaście drewienek.

— To jest tatuś, proszę waszej przewielebności, a to Jasiek... a to nasza Gwiazdula, a to...

— Widzę, poznaję, kościółek świętego Idziego; wyśmienicie wydarzony, pochwalić się godzi. A to?

— To jest moja matusia. Wasza przewielebność widzi, jaka dobra? Zawdy się na mnie tak patrzy. A jak my się spać kładli, to mnie i pocałowała czasem. Teraz... teraz... to choć taką drewnianą, co wieczór...

Buzia mu się skrzywiła, pociągnął nosem i dalej przebierał w klockach.

— A to ojciec Szymon, a to nasz Znajduś, jak łeb z budy wystawia.

— Pokażno to coś większe, coś teraz miał w ręku i pod łóżko zasunął.

Wawrzusia jakby warem oblał; zaczerwienił się aż po włosy.

— To... to złamane... niema na co patrzeć.

— Pokaż zaraz! Aha... to ja *tak* wyglądam? No, brwi i nosa, cale mi nie żałowałeś. Podaruj mi ten wizerunek, będę nań codzień patrzał, abym się w pychę nie unosił, żem nadto urodziwy.

Widząc, że ksiądz kanonik śmieje się całkiem szczerze, Wawrzuś zrozumiał, że mu nic nie grozi i jego przewielebność raczy łaskawie żartować. Rezon mu wrócił zupełnie i już śmielej pojrzał ku księdzu kanonikowi. Pocałował go w rękę i także się uśmiechnął.

— Kiedy się waszej przewielebności tak udał, to se go weźcie, daruję wam.

— Bóg ci zapłać. Teraz ano dość tej mitręgi, spać mi pójdziesz natychmiast. Jak nie usłuchasz, a nalazłbym cię kiedy w nocy tak jak dziś... skóra w robocie.

— Oj nie, nie; dy wolę w dzień, jeśli się nie gniewacie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Uczeń mistrza Wita.

Wit Stwosz zabija anioła. — Okrutnie dobry brodaty człowiek. — Wawrzuś i święci z ołtarza. — Legenda o Wniebowzięciu. — Poco przyszedł do warsztatu gwardyan Bernardynów.

Biedny był ksiądz kanonik Długosz; biedny od wczoraj arcybiskup lwowski! W samo południe oczekiwał zapowiedzianego przyjścia księdza podkanclerzego z nominacyą, co było dlań kłopotliwem z dwóch względów: pierwszy ten, że Długosz nie lubił wszelkich ceregieli dworskich i urzędowych oracyi; powtóre osoba Stanisława z Kurozwęk przypominała mu zbyt przykre chwile; przybierać twarz w uprzejmość, prawić słówka wytworne i ostatecznie dziękować — jeżeli nie za dekret, który był dziełem i łaską króla, ale za jego doręczenie, wszystko to było Długoszowi bardzo nie wsmak. Niepodobieństwem jednak było wymigać się od tej pańszczyzny; obyż ją przynaj-

mniej uczynić jaknajkrótszą! Dla chcącego, nic trudnego; ksiądz Długosz wynalazł sposób.

Wysokie dostojeństwo arcybiskupa, choćby nawet dopieroco mianowanego, dawało odrazu pewne przywileje. Na przykład, mógł taki książę Kościoła potrzymać gościa niższego hierarchią, w poczekalni małą chwilę. Zaś, kto znał pyszałkowatość księdza podkanclerzego wiedział, że takie minuty oczekiwania dotkną go niemile; skutkiem czego, nie roztworzy upustów swego krasomówstwa, ani się rozpłynie w komplementach, ino załatwi rzecz krótko i sucho.

Długosz znał Stanisława z Kurozwęk...

Przytem, inną jeszcze sprawę miał na głowie, a załatwienie jej wiązało się zręcznie z przytarciem rożków księdzu podkanclerzemu. Spojrzał na zegar klepsydrowy, dwóch godzin brakowało do południa; właśnie czasu wystarczy na wszystko. Zadzwonił, Wawrzek z rozjaśnioną twarzyczką wszedł i stanął przy drzwiach.

— Biegaj do pana Żegoty, pokłoń mu się odemnie i proś, żeby wstąpił zaraz, mam mu coś powiedzieć.

Jego miłość pan Żegota z Proszowic, daleki krewny Długosza, zajmował dwie izdebki w domu księdza kanonika na dole. Dostawał żywność i opał, stróż miał przykazane obsłużyć go uczciwie, a za to wszystko obowiązany był

spełniać polecenia księdza-wuja, (tak Długosza nazywał), i być na jego rozkazy. Od czasu do czasu dostawał po kilka złotych, z czego sobie sprawiał skromne ubranie.

Przyszedł naturalnie czemprędzej, a rozmowa trwała krótko, bo się księdzu bardzo śpieszyło.

— Sprawże mi się waszmość jak należy, to pomyślimy o żupaniku od niedzieli, bo ten, widziałem, już się przeciera.

— Jeżeli wasza przewielebność raczy zezwolić — rzekł pan Żegota, całując księdza w rękę — to *zreasumuję* jego *instrukcye*. (Pan Żegota lubował się w wyrazach łacińskich.) — Tedy mam pilnie oczekiwać *in aula* przybycia księdza podkanclerzego; przyjąć go *honestissime* i *stante pede* lecieć do pracowni księdza-wuja, a w rzeczy, *veryfikować*, zali wrócił z miasta, alboli nie. Następnie *de noviter* jawić się przed oblicznością księdza Kurozwęckiego i o chwilę *pacyencyi* upraszać, a *dyskursem* dwornym zabawiać. *Konkluduję*, że nie zabaczyłem ani słówka.

— Wyśmienicie. Masz więc przyjść dobrze przed południem, by ksiądz podkanclerzy ani momentu sam nie pozostawał. Jędrzej niech nikogo nie odprawia od bramy, wracam niebawem. Wawrzuś!

— Tum jest! — zapiszczało od proga.

— Wybierz z pośród onych twoich robó-

tek matusiną główkę, Jaśka, kościółek, pójdziemy na miasto.

Wawrzek otworzył szeroko usta... poco brać to wszystko? Czy ksiądz kanonik zaniesie te drewniane grzechy do Wisły i wrzuci na największą głębię? Czy poprosi ojca Szymona, by odczytał egzorcyzmy nad jego głową? Słusznie; tatuś zawsze powtarzał, że dziecko czarownik urzekł. No dobrze, niech będą egzorcyzmy. Ale topić w Wiśle matusię? Choćby ino podobieństwo matusi!

Wyszli na ulicę.

— Ucieknę, abo co? — pomyślał, probując uwolnić się od trzymającej go ręki księdza. Jakże uciekać, kiedy mocno trzyma i gdzieś wiedzie.

Zawrócili z ulicy Kanoniczej w Poselską i weszli do narożnego domu po lewej stronie. Sień krótka, wązka, za to podwórze ogromne, niczem jaki rynek. Więcej niż połowę tego placu zajmowała obszerna szopa z desek.

Ksiądz przystanął i pytał o coś przechodzącego chłopca w szarym fartuchu aż po szyję, z pod którego wyzierały białe rękawy od koszuli. Wawrzuś rzucił obojętnie okiem w prawo, w lewo, zobaczył kilkanaście pni bukowych i lipowych, wspartych o mur, wzdłuż jednego boku podwórza. Przy nich leżały ociosane siekierą białe kloce drewniane; trochę dalej, przy drugiej ścianie, znowu kłody, jakoś

cudacznie pociupane; górą zdawało się, jakby coś trochę podobne do głowy, potem niby jakieś ręce niewyraźne, to znowu kawał drzewa leżał na ziemi, przysiągłbyś, że wielkie skrzydło.

— Naco takie? — myślało dziecko.

Z boku schody prowadziły na ganek, przez który się szło do mieszkania. Szopa miała trzy szerokie okna i drzwi, w tej chwili na rozcież otwarte. Chłopak w fartuchu wskazał ręką w tę stronę, i ksiądz kanonik szedł ku szopie, ciągnąc Wawrzka za sobą. Jeszcze ich kilka kroków dzieliło odedrzwi, gdy usłyszeli głos jakiś nizki, donośny, wyraźnie bardzo zagniewany. Ktoś krzyczał ze złością, ktoś drugi odpowiadał, hałas coraz się wzmagał.

— Nie będzie widać, powiadasz? Tak wysoko, powiadasz? — wołał głos pierwszy.

— A juści. Będzie ta kto mierzył, dwadzieścia łokci od ziemi, zali obie stopy jednako długie — drwiąco wrzeszczał głos drugi.

— Taaak? To gdyby ci o ludzkie oko nie chodziło, partoliłbyś jedno za drugiem? A dla kogo robisz? Dla Boga wszechmogącego! do kościoła! na ołtarz!...

— Ij... gadanie... co wam ta o to.

— Co? — głos pierwszy aż chrypł z wściekłości. — Co mi o to? Za sto lat, za dwieście, za trzysta, ołtarz stał będzie w kościele; moje kości dawno w proch się rozsypią, a chwała mistrza Wita wieki przetrwa. A ten jakiś pyta,

co mi o to! Tyle mi o to! Wiesz? Tyle mi o to! Robota z mego warsztatu, moją jest; a kiedy niegodna mnie, to ja jej...

We drzwiach szopy ukazał się człowiek olbrzymiego wzrostu, z twarzą rozognioną szałem gniewu, ze zwichrzoną brodą; trzymał oburącz za nogi jakąś drewnianą figurkę wielkości kilkoletniego dziecka... Skoczył ku stosowi pniaków leżących na boku, podniósł posążek wysoko ponad głowę, zamachnął się i rznął nim o twarde kloce... Poleciały trzaski na wszystkie strony, z nieudałej roboty nie zostało nic.

— No tak... — rozśmiał się pogardliwie i otarł pot z czoła. Rzucił okiem po podwórzu i spostrzegł Długosza. W tejże chwili złość znikła, twarz rozjaśniła się wielkiem zadowoleniem, skłonił się z uszanowaniem i podszedł skwapliwie ku gościowi.

— Dawno oczekuję odwiedzin waszej przewielebności — rzekł zupełnie spokojnym głosem, bez najmniejszego rozdrażnienia. Trzeba mi waszej rady w niejednym względzie; a jakoś w ostatnich czasach skąpicie mi swej łaski.

— Wybaczcie mistrzu; duch ochoczy, ciało mdłe; wiadomo wam, że kończyłem ostatni tom mojej kroniki, a w podeszłych leciech opornie praca idzie. Zawziąłem się sam na siebie, że nie pomyślę o czem innem, póki tego zadania, któremu część żywota poświęci-

łem, nie dokonam. Od dwóch dni jestem wolny, dziś do was przychodzę.

— Każdego dnia radbym was tu miał; i dla siebie samego, jako przyjaciela, i dla pożytku mego dzieła, przy którem nie ino moja myśl, a sprawność ręki wszystko zdoli, jeszcze oka mądrze patrzącego mi potrza, coby uwidziało to, czego ja sam nie dojrzę.

— Robota musiała postąpić, odkądem tu był? — zapytał Długosz.

— Nie tyle jakby się należało. Choćby mi się wszystko darzyło po myśli, jeszcze to długie lata upłyną, zanim pierwszą mszę świętą odprawi jego przewielebność ksiądz archipresbyter przed wielkim ołtarzem u Panny Maryi... Wiadomo wam, że wszystkie osoby głównego wizerunku chcę wykonać własnoręcznie. Zda mi się czasem, że mi życia nie starczy, że to zadanie nad siły jednego człowieka. A znów są dni, gdzie mi robota ptakiem leci i co wczoraj było niepodobieństwem, dziś rośnie w rękach, mnie samemu na podziw. Pomniejsze obrazy robią starsi uczniowie i najzdatniejsi z czeladzi. Ale czy to człek może liczyć na sumienność i dbałość? Partacze są, ducha w nich niemasz; i gdybym ino cugli popuścił... Przed chwilą zabiłem anioła; widzieliście?

Rozśmiał się swobodnie, bez śladu gniewu.

— Raczcie wejść, chciałbym wam coś pokazać.

Weszli do szopy, Wawrzuś jak cień za piętami jego przewielebności.

— Tedy, jakom sobie z waszą i Kallimacha pomocą umyślił, ołtarz uczynię w podobieństwie szafy zamykanej. Gdy otwarta, widny będzie środkowy główny obraz, czyli zaśnięcie Panny Maryi, otoczonej dwunastoma Apostołami. Na drzwiach zasię, po trzy mniejsze obrazy, przedstawujące ważniejsze fakta z życia Chrystusa Pana. Gdy się skrzydła drzwiów zawrze, umieszczę na nich znowu po trzy wizerunki, a na bocznych nieruchomych tablicach z lewej i z prawej, takoż po trzy. Co dalej, a raczej co wyżej, wniebowzięcie i ukoronowanie Panny Maryi, jako też Anioły ku jej służbie wzlatujące, odznaczyłem sobie dopiero liniami w abrysie; ale póki rozpoczętych robót się nie skończy, nie tykam tamtego. Zechciejcie tedy zobaczyć: Tu jest dwunastoletni Jezusik nauczający w kościele; malutką osóbkę Pana naszego rzezałem sam, jako też postać mędrca z lewej i arcykapłana z prawej. Jakoż się wam zdają?

Długosz klasnął w ręce.

— Bóg wam daj zdrowie, mistrzu... toć Kallimach... omal nie przemówi! A i Zbigniewa Oleśnickiego utrafiliście na podziw.

— Tu zasię na dole, pojrzyjcie, usadziłem dla pamiątki wielebnego Jana Heydeka, przyjaciela mego i protektora. Gdyby nie gorące

jego przemowy za mną w komitecie, kto inszy dostałby zamówienie na to dzieło.

— Przecz tak w pomniejszeniu go uczyniliście?

— Sam tego chciał, z pokory. Na tej znów tablicy macie Narodzenie Maryi Panny.

— Dziwnie wydarzony wizerunek zaiste; — chwalił Długosz. — O niczem nie zabaczyliście, a mimo to natłoku, ani zamięszania całe niemasz. I kąpiołkę dziecince gotują, i usługa wedle św. Anny, i ława z przyborami do wieczerzy; sąsiadka w odwiedziny przyszła... aż radość serce ogarnia, jak to wszystko wyraźnie urobione.

Wawrzuś stał o półtora kroku za kanonikiem, oczy jego stawały się coraz większe.

— Darujcie, wielebny panie, że was tak długo samolubnie własną sprawą trudnię, a spocząć nie proszę. Hej! Krystek... podaj zydle!

Usiedli obaj na uboczu pod oknem; Stwosz bardzo wesoły i rozgadany, wskazywał ręką szczegóły i ornamenta przez czeladników z grubsza obrabiane, którym on sam nadawał cechę artyzmu ostatniem dotknięciem dłuta.

Ksiądz kanonik obejrzał się za Wawrzusiem i skinął ręką, a gdy się przybliżył, wziął odeń związane w chuście rzeźbione figurki, rozwinął szmatkę i nic nie mówiąc położył wszystko Stwoszowi na kolanach. Ten brał

małe rzeźby jednę po drugiej, przypatrywał się im również w milczeniu, tylko brwi podniósł wysoko i coś mu drgnęło w twarzy.

— Zkąd to macie? — zapytał po chwili.

— To są zabawki mego pacholika, tego tu malca. Chciałem się was zaradzić, czy warto go kształcić w rzeźbiarskim kunszcie, abo nie.

Wit Stwosz wstał z ławy, podszedł do Wawrzusia, zgiął się niemal wpół, i zajrzał dziecku w oczy.

— To nie może być; omyliliście się, wasza wielebność; niepodobna, aby to dziecko...

— Jakożbym śmiał twierdzić coś, czegobym nie był pewny? — odparł Długosz poważnie. — Widziałem chłopca przy robocie.

Ksiądz kanonik w swym powolnym sposobie nie domówił ostatnich słów, gdy stało się coś nieprzewidzianego: Stwosz porwał Wawrzusia na ręce i pobiegł z nim ku drugiemu oknu, gdzie stała jakaś niewykończona rzeźba, postać więcej niż naturalnych rozmiarów. Figurę otaczało rusztowanie, trzeba bowiem było wyjść po schodkach, by rzeźbić głowę i ramiona. Długosz patrzał i zdumiewał się, zwłaszcza tem, że dziecko nie miało wcale przestraszonej twarzyczki, owszem, objęło nieznajomego człowieka poufale za szyję. Wit Stwosz skoczył dwoma krokami na deskę i pokazując Wawrzusiowi wspaniałą, wyrazistą głowę Apostoła, zawołał:

— Powiedz, synku, radbyś umieć wyrzezać takiego Świętego?

— O Jezu...

— A radbyś uczyć się u mnie?

— O Jezu...

— No, to umowa zawarta! — zaśmiał się mistrz donośnie. — Z dniem dzisiejszym biorę cię do terminu, a za jakie sześć roków, gdy wola Boska będzie po temu, a posłusznie i z wytrwaniem robił będziesz co ci każę i jak ci każę, to... no, to zobaczymy.

— Zali naprawdę nie żal wam trudu dla takiego maleństwa? — spytał Długosz. — Toć to dziecko, ani dziewięciu lat nie ma.

Stwosz postawił Wawrzusia na ziemi, i szepnął księdzu do ucha:

— On *dziś* więcej wart, niż ci wszyscy razem — i wskazał ręką na czterech czeladników. — Obdarzony od Boga... Za niedługie lata, wspomnicie moje słowa, chluba mi z niego urośnie.

— Nie dożyję — rzekł Długosz smutnie.

Wawrzuś z sercem pełnem wdzięczności dla *okrutnie dobrego brodatego człowieka,* jak sobie Stwosza w myśli nazwał, kręcił się po pracowni i zaglądał w ręce każdemu robotnikowi. Toć on tu już domowy, mistrz go chce uczyć, nazwał go synkiem...

Jeden z czeladzi pokazał mu osła, mającego leżeć przy żłóbku w scenie narodzenia



Poleciały trzaski, z nieudałej roboty nie zostało nic...
(str. 171).

(H. ż. Ciż.)

Pana Jezusa, i wołu, któremu właśnie wygładzał rogi.

— Ee... jaby go nie tak zrobiłem... — zganił malec; — zanadto spaśny; prawdziwy wół nie tak wygląda.

— Oho, komu to starszych uczyć! — z szyderczym śmiechem odpowiedział czeladnik; ale Stwosz, który właśnie jakiejś głowy anioła szukał niedaleko, dla pokazania jej Długoszowi, usłyszał te uwagi dziecka i podszedł do rozmawiających. Rzucił okiem na robotę i spytał Wawrzusia:

— No, a jakże ten wół ma wyglądać, coby nie był spaśny?

— Trza mu zaznaczyć ziobra na bokach, zaraz przychudnie. Bo tak, jak jest teraz, to ledwie nie pęknie; paskudnie patrzeć na onego. I pysk mu trza przykrócić; ino trochę, nie wiela, o, tyćko.

— Jakoż ci się widzi Jurek, dobrze radzi to dziecko?

Czeladnik milczał nadąsany, a mistrz nie domawiał mu już więcej, tylko powrócił do gościa.

— O raju... Stanko! — zawołał Wawrzuś, biegnąc ku drzwiom z wyciągniętemi rękoma.

— Wawrzuś! — odpowiedział również wesołym okrzykiem wchodzący. Objął dziecko wpół, podniósł w górę i pocałował.

— Cóż za nowina? Skąd się znacie? — spytał Stwosz.

— A to ten pacholik malućki, pamiętacie, ojcze, com to wam opowiadał, że mi zginął na rynku, przy *koniku*. Cóż ty tu robisz, Wawrzuś?

— Pogadacie se potem — rzekł ojciec. Teraz pójdź się pokłonić jego przewielebności. Tak dawno się nie widzieliśmy, nawet nie miałem kiedy pochwalić się księdzu kanonikowi, że mój Stanko już powrócił.

— Aleś też sporo urósł za te dwa lata — rzekł Długosz, — ojca dogoniłeś; czy ano i w głowie przybyło?

— Rzetelnie pracował, nie można przyganić — odparł Stwosz. Świadectwa od Lebrechta ma piękne.

— A to się wam przyda przy robocie ołtarza?

— A jakże. Gdzie ino będzie potrzebne jakie złocenie, to już jemu powierzę. Zresztą i snycerz z niego nienajgorszy.

Pogawędziwszy jeszcze z pół godziny, mniej więcej tyle, aby ksiądz podkanclerzy miał sposobność zniecierpliwić się oczekiwaniem, Długosz powrócił do siebie, zabierając jeszcze Wawrzusia, którego dopiero za kilka dni miał przysłać z przystojną wyprawą w szatkach i bieliźnie.

. . . .

Od tego dnia upłynęło trzy lata; Wawrzuś, choć najmłodszy wiekiem, przerastał uczniów mistrza Wita uzdolnieniem i zapałem. Z początku dostawał niepotrzebne zrzynki drzewa, na których się uczył i wprawiał rękę. Trwało to długo, więcej niż rok, a chłopiec ani się temu dziwił, ani się zniechęcał, że tylko jakieś łuki, wykrętasy, półkola wyrzynać mu każą. Mistrz Stwosz ciągle go miał na oku i zawsze jakiemś przychylnem słowem zachęcał do wytrwałości. Po upływie kilkunastu miesięcy, malec dożył wielkiej chwały, bo mu powierzono rzeźbienie kroksztynów i baldachimów do małych posążków ustawionych w obramieniu głównej części tryptyka. Dumny był, że i jego ręce przyczyniają się do spełnienia wielkiego dzieła. Gdy mu się zadana robota szczególniej dobrze udała, mistrz pozwalał za nagrodę oglądać gotowe obrazy, albo stać tuż przy sobie i patrzeć jak rzeźbił.

Dobrze było Wawrzusiowi u Stwosza; gdyby nie tęsknota za matką, ojcem, za Porębą i najserdeczniejszym Jaśkiem, nicby mu do szczęścia nie brakowało. W godzinach wolnych od obowiązkowej pracy, bawił się na dawny sposób wyrzynaniem ptaszków i zwierzątek. Pewnego dnia, Krystek mozolił się nad jaszczurką, która miała być użyta w ornamentach predelli (część ołtarza wązka i podłużna, znajdująca się tuż ponad mensą, czyli kamien-

nym stołem, na którym się msza św. odprawia); spostrzegł to Wawrzuś i błagał go jak o największą łaskę, by mu dał skończyć za siebie tę robotę potajemnie. Przypomniała mu się owa nieszczęsna jaszczurka, pierwsza przyczyna jego wygnania z Poręby, tylu dziwnych wydarzeń, i nareszcie tak pomyślnej zmiany w jego życiu. Schował się za olbrzymią figurę świętego Jakóba apostoła, i w tej bezpiecznej kryjówce, marną, sztywną, prawdziwie drewnianą jaszczurkę zmienił swem czarodziejskiem dłutem w stworzonko naturalne w ruchu, z figlarnemi oczkami, pełne życia.

Gdy czeladnik odniósł Stwoszowi skończoną robotę do obejrzenia, mistrz rozśmiał się w głos z zadowolenia.

— A toś mi sprawił niespodziankę! — zawołał — pierwszy raz odkąd jesteś u mnie, zasłużyłeś na pochwałę. Ino tak dalej jak dziś, a wart będziesz nazywać się uczniem Wita.

Ale niestety, następne roboty Krystka nie miały na sobie tego piętna talentu co jaszczurka; jak był rzemieślnikiem bezdusznym, tak rzemieślnikiem pozostał.

W ciągu tych pierwszych lat nauki Wawrzusia, dwa smutne wydarzenia zapisały się w jego sercu na wieczną pamięć.

Umarł Długosz, nie doczekawszy nawet wstąpienia na arcybiskupią stolicę, tak właśnie jak od roku przeczuwał. A w lipcu 1482 roku

umarł pierwszy opiekun i dobroczyńca Wawrzusia Szymon z Lipnicy.

Pogrzeb Długosza z domu pod Wawelem do kościoła na Skałce, gdzie jako fundator i dobrodziej klasztoru Paulinów, miał być w podziemiach pochowany, odbył się z niezmierną wspaniałością. Ile było w Krakowie księży, zakonników, braci zakonnych, jakieś kilka set ludzi, wszyscy się stawili dla oddania ostatniej posługi arcybiskupowi.

Od stóp Wawelskiej góry, ulicą Stradomską i Kazimierzem, aż do Skałki, ciągnęły się podwójnym szeregiem białe komże, habity brunatne i szare, zakapturzone głowy dominikanów, członkowie kapituły w żałobnych ornatach; płomień świec w rękach duchowieństwa zdawał się w blasku słonecznego dnia brudno czerwony... a nad tysiącem światełek poruszanych wiatrem, unosił się szarawy, przejrzysty dym.

Tuż przed wozem żałobnym szedł Jan Rzeszowski, biskup krakowski, w asystencyi najstarszych kanoników; obok niego infułat archipresbyter, proboszcz kościoła Panny Maryi, i opat tyniecki.

Sześć koni w czarnych kapach ciągnęło wóz czarnem suknem okryty i choiną przybrany, a na nim, w wysoko ustawionej trumnie, zwłoki zmarłego.

Pierwszy za wozem szedł król Kazimierz, z czterema synami, dalej senatorowie i dostojnicy państwa, urzędnicy, dworzanie królewscy i tysiące ludu, po większej części z ciekawości na widowisko zgromadzone. Szedł i pan Żegota, serdecznie stroskany, choć wuj w testamencie zapewnił mu spokojne utrzymanie do śmierci. Szedł Stwosz z synem, a za nimi Wawrzuś oszołomiony tłumem, światłem i śpiewem, mniej rozumiejący powagę chwili, raczej przejęty wspaniałością obrzędu i malowniczym widokiem.

Gdy w rok później gruchnęła po Krakowie żałobna wieść, że opiekun nędzarzy, pocieszyciel nieszczęśliwych, kaznodzieja i spowiednik najgorliwszy, ojciec Szymon z Lipnicy, zaraziwszy się morowem powietrzem przy pielęgnowaniu chorych, zeszedł z tego świata, cała uboższa ludność Krakowa zakrzyczała płaczem wielkim. Cisnęły się tłumy do furty klasztornej, i nie bacząc na straszność zarazy, żądały widzieć po raz ostatni swego dobrodzieja. Zakonnicy z rozkazu wielkorządzcy Krakowa nie wpuszczali nikogo, a nawet w obawie o zdrowie braci klasztornych przyśpieszono pogrzeb. Był to obchód zupełnie odmienny od poprzednio opisanego. Sami tylko Bernardyni zajęli się złożeniem do grobu swego zmarłego brata; żaden klasztor nie uczestniczył w nabożeństwie, które odprawionem zostało przy drzwiach

zamkniętych. Usunięto kilka tafli posadzki tuż przy progu i młodzież zakonna wykopała w tem miejscu dół głęboki, gdyż ojciec Szymon prosił umierając, by go pochowano pod progiem, jako najnędzniejszego grzesznika. Posadzkę wprawiono napowrót szczelnie i tylko imię zmarłego wyryto na kamieniu.

W parę dni później, rzucili się ludzie pielgrzymką do tego grobowego kamienia; przynoszono chorych, a nawet umierających, wracali o własnej sile do domu, ślepi odzyskiwali wzrok, chromi władzę w nogach, utopione dziecko, od kilkunastu godzin zmarłe, matka położyła na grobie Szymona z Lipnicy i obudziło się do życia. Cały Kraków rozbrzmiewał chwałą Świętego, co za życia mienił się być najnędzniejszym z grzeszników.

Wawrzuś płakał gorzko. Odczuł śmierć ojca Szymona, żałośliwym bolem kochającego serca; wszak pierwszą noc w Krakowie spędził pod dachem klasztornym, wniesiony na miłosiernych rękach Świętego. I od tej pierwszej godziny doznawał bezustanku jego tkliwej, prawdziwie ojcowskiej opieki. On go pocieszał w tęsknocie za matusią i przyrzekał z taką pewnością, że ją za niedługie lata zobaczy; on mu wyszukał dobrego pana, on go uczył świętych prawd wiary, on słuchał pierwszej spowiedzi, on go zachęcał do pokory i wytrwałości, gdy się nudne terminowanie u Stwosza

dziecku przykrzyło; do niego biegł Wawrzuś pochlubić się pochwałą mistrza, u jego nóg siedząc marzył głośno, że sam kiedyś także mistrzem będzie. A teraz nie miał już nikogo na całym Bożym świecie.

Czas biegł szybko, miesiące mijały... W warsztacie mistrza Wita pracowano z natężeniem. Coraz to nowy obraz odkładali czeladnicy gotowy, do obejrzenia i poprawek, jakiemi Stwosz nadawał ostateczne wykończenie artystyczne mniej doskonałym rzeźbom. Przy olbrzymich zaś figurach wchodzących w skład głównej grupy, pomagał ojcu Stanko, obrabiając je z grubsza. Jakkolwiek złotnikiem i pozłotnikiem był z rzemiosła, miał uzdolnienie i do rzeźby, i teraz jako tak zwany punktator, wielce był przydatny w pracowni.

Wawrzusiowi dawano do roboty czasem jakieś skrzydło anielskie, to znów podrzędne figurki, takie same, jakie wykonywali młodsi czeladnicy, a dopiero, z pomiędzy kilku jednakich, lecz nie jednako dobrze wyrzeźbionych, wybierał Stwosz najlepsze; prawie zawsze wybór padał na pracę dwunastoletniego terminatora. Szczęściem dla chłopca to wyróżnianie go tak pochlebne nie gniewało współzawodników, jakoś umiał ich od samego początku ująć swem pokornem obejściem; nigdy się nie chełpił, ani ponad mniej zdolnych nie wynosił, a co najważniejsze, brał do swej izdebki roboty

starszych towarzyszy, gdy który szedł bawić się do gospody, lub hulać na weselu. Wawrzuś pracował wieczorami, a nazajutrz po niewyspanej nocy mógł sobie czeladnik drzemać ukradkiem przy warsztacie, robota na tem nie cierpiała.

Figury świętych Apostołów Jakóba, Andrzeja, Piotra, Jana i Tomasza, były już gotowe; Stwosz namozolił się nad niemi kilkanaście miesięcy, ale też nawet sam, tak wiele wymagający od innych, a tak niezmiernie surowy sędzia własnej pracy, z zadowoleniem spoglądał na swe dzieło.

Pewnego wieczora, Wawrzuś zakradł się do pracowni, by, korzystając z nieobecności mistrza, napatrzyć się do woli wspaniałym posągom pięciu apostołów. Pewny był, że mu nikt nie przeszkodzi: czeladź i uczniowie uciekali z szopy, skoro się tylko dzień ukończył, wcale im nie było pilno tam wracać; Stwosz wybrał się na pogawędkę do Kallimacha, i zapowiedział żonie, by nań z wieczerzą nie czekała, a Stanko... tego najmniej się można było spodziewać, bo wszystkie wolne wieczory spędzał u stryja Macieja. Miał tam żywy posąg do uwielbiania, czarnooką Jadwisię*). Wprawdzie blizkie pokrewieństwo stało wielce na

*) Syn Wita Stwosza Stanisław, ożenił się ze swą stryjeczną siostrą Jadwigą, córką Macieja Stwosza.

przeszkodzie małżeństwu, ale młodzi ufali, że prawdziwa miłość wszystko zwycięży, zwłaszcza, że i ojcowie także sobie tego związku życzyli.

Jakże się miał Wawrzuś oprzeć pokusie, gdy druga taka wyborna sposobność nieprędko się nadarzy! Powyciągał z kątów kaganki olejne, których kilkanaście zawsze było w pogotowiu na wypadek, gdyby mistrzowi przyszła chęć pracować w nocy. Zaświecił ze sześć, żeby widzieć jaknajlepiej, i stanął sobie na podwyższeniu, przy świętym Piotrze.

— Oj Boże, Boże ... jak też to wyrobione! I włosy, i oczy, i zmarszczków po twarzy tyle ... staruszek widno był ... abo i ta ręka! Cale jak żywa. Ach miłosierny Panie Jezu, dajże mi też choć za dziesięć lat ... choć na podobę ... Drugiego takiego mistrza, chyba cały świat nie ma, wielkie szczęście od Boga, żem jego uczniem. Gdyby nie ojciec Szymon... gdyby nie ksiądz kanonik ... możebym gdzie zmarniał, abo do złych ludzi przystał ... Pójdę se teraz po schodkach do świętego Jędrzeja.

— A to co za światło w warsztacie? — dał się słyszeć głos z podwórza — wyście to, ojcze? Matka mówili, że was niema ... Wawrzek? Cóż ty tu robisz? Jeszcze gdzie ogień zapuścisz!

— Stanko ... bój się Boga, nie wydaj mnie!

— Właśnie, że poskarżę ojcu. Niechby gdzie, broń Boże, iskierka padła, tyle lat ciężkiej pracy ludzkiej, tyle kunsztownych dzieł poszłoby z dymem. Gadaj, po coś tu przylazł?

— Chciałem się raz napatrzyć do sytości.

— Mało ci dnia?

— We dnie, przy mistrzu, nie śmiem.

— No, dziękuj Bogu, żem ja wcześniej powrócił, a nie ojciec, boby krucho było ze skórą, gdyby cię tu przyłapił.

— A ja sobie rachował, że i ty posiedzisz u stryjka.

— E... byłbym siedział, a jakże; ino stryjnę głowa rozbolała i musiałem się wynosić.

— Stanko, mójeś ty...

— No, co?

— Opowiedz mi, jak to ma być w ołtarzu, bom strasznie ciekawy. Że szafa zamykana, że małe obrazy dokoła, to wiem; ale co więcej? Co ci święci ludzie mają tam do roboty?

— Zaraz ci dokumentnie wytłomaczę, żebyś rozumiał, jak się będzie ołtarz składało, co przedstawiają osoby, i co to wszystko razem znaczy. Słuchaj więc. Po wniebowstąpieniu Pana Jezusowem, mówi starodawna opowieść, mieszkała Najświętsza Matka w małym domeczku, u stóp góry Syonu.

— Gdzie ta góra?

— W ziemi świętej; tam, gdzie się nasz Zbawiciel urodził, gdzie żył, nauczał, i gdzie go Żydzi ukrzyżowali. Tedy mieszkała tam cicho, w ukryciu, przez lat czternaście*). Jednego razu, ukazał jej się Anioł, i oznajmił, że za niedługo żywot ziemski zakończy. Bardzo się Panna Marya uradowała, jako że okrutnie za Synem swoim, Jezusem, tęskniła. Ale prosiła Anioła, by jej wyjednał u Pana Boga trzy rzeczy: pierwsze, żeby sam Chrystus Pan przyszedł do niej w godzinie śmierci, drugie, żeby jej przybrane dzieci, Apostołowie, byli przy niej także, a trzecie, żeby ani na okamgnienie dyabła nie widziała. I stało się wszystko tak, jak żądała. Gdy umarła, święte ciało złożono do grobu i Apostołowie przy niem czuwali, modląc się. Trzeciego dnia, ukazał im się Pan Jezus i zapytał, jaką ma cześć oddać Swej Matce. Odpowiedzieli: „Posadź Ją, Panie, żywą po prawicy swojej“. Wtedy, na rozkaz Boski, powróciła dusza do martwego ciała, i żywą Pannę Maryę unieśli Aniołowie do nieba, gdzie jest od Trójcy św. ukoronowana. Tedy już będziesz miał całość w oczach, prawda?

— A jakże. Wielki obraz w środku... no, ale jeszcze osoba Matki Boskiej ani zaczęta?

---

*) Opowiadanie to wzięte z księgi pod tytułem „Złota legenda“.

— Właśnie ojciec mówili, że w tym tygodniu dadzą na mszę, coby godnie mogli rozpocząć ten święty wizerunek i Bożej Matce w niczem nie uchybić.

— Jakże to? W środku łóżko będzie stało, czy co?

— Nie; w pośrodku właśnie będzie klęczeć Najświętsza Panna, jako, że ją ostatnia chwila przy modlitwie spotkała. Ten wysoki Apostoł z wielką brodą, św. Jakób starszy, będzie Ją podtrzymywał, a wszyscy inni najdą się dokoła, płaczący i modlący się. Powyżej, Matka z Synem w otoczeniu Aniołów, a na samym szczycie Trójca święta i koronacya.

— Ach... jeszcze tyle roboty! Kiedy będzie koniec?

— Tego nikt nie przewidzi. Ojciec ma takie dni, co starczą za miesiące, w rękach mu się pali robota; zasię przychodzą tygodnie, gdzie go niechęć ogarnia, zda mu się, że nic nie zdoli, wtedy chce wszystko rzucić i uciekać na koniec świata. Trza wtedy pilno nań zważać i kogoś mądrego upraszać, coby mu te smutki pędził z głowy, a otuchą krzepił. Jego wielmożność pan Kallimach, i jego wielebność ksiądz Heydek, najlepiej to umieją. Wiesz co, uciekajmy; już późno, dostalibyśmy oba po uszach, gdyby nas ojciec zastał.

Pogasili z wielką ostrożnością kaganki, przewietrzyli warsztat, by swąd knotów dy-

miących nie pozostał w szopie i nie zdradził nazajutrz niedozwolonych nocnych odwiedzin.

Mijały dni za dniami, podobne do siebie. Mistrz Wit szalał z gniewu o lada drobnostkę, to znów rad był wszystkim i wszystkiemu, a po godzinie znowu go złość ogarniała. Im dalej postępowała robota, tem dobre chwile pojawiały się częściej i trwały dłużej. Jakkolwiek Stwosz nie dowierzał własnym siłom i talentu swego nie cenił zbytnio, co jest zawsze cechą ludzi genialnych, jednak musiał widzieć, że dzieło stworzone przez niego, jest potężnem. To przeświadczenie równoważyło jego chwiejny, fantastyczny humor.

Obowiązkiem Wawrzusia, jako najmłodszego z uczniów, było sprzątanie warsztatu po skończonej robocie. Zmiatał wióry i trzaski do kąta, zgarniał je na wielką płachtę i odnosił na górę do pani majstrowej, na podpałkę w piecu. Miał także mieszek do odmuchiwania rzeźb z kurzu; gotowe zaś obrazy odwrócone ku ścianie, jeszcze bywały szmatami okrywane.

Pewnego dnia pod wieczór, właśnie był zajęty porządkowaniem, gdy ktoś drzwi pracowni otworzył i wszedł ksiądz Makary, gwardyan Bernardynów.

— Laudetur Jesus Christus!

— Na wieki wieków; — odpowiedział

chłopiec nieświadomy łaciny, i pocałował ojca gwardyana w rękę.

— Niema nikogo? Oj szkoda; miałem pilną sprawę, myślałem, że jeszcze któregoś zastanę.

— Raczcie, wasza przewielebność, mnie dać zlecenie, a ja powtórzę, komu rozkażecie.

— Niech Jurek, abo Krystek... a może Jacuś przyjdzie do klasztoru wolną godziną, rozmówić się ze mną co do jasełek.

— Darujcie, wielebny ojcze, co to takiego?

— Nie wiesz? To są małe drewniane osóbki, wyrobione na podobieństwo Najświętszej Panienki, św. Józefa, Dzieciątka Jezus w żłóbku; potem pasterze z darami, wół i osioł do stajenki, wszystko pięknie wyrzezane z drzewa i farbami powleczone, coby jak najpodobniej wyglądało. Podczas świąt Bożego Narodzenia ustawia się te figurki w bocznej kaplicy, i po nieszporach schodzą się ludzie przypatrować jasełkom, przyczem braciszkowie nasi kolendują, a naród uczy się tych pieśni słuchając, i potem doma, zamiast bezecnych śpiewek, grzesznych rozmów i pijaństwa, śpiewają sobie wieczorami o Maryi i Dzieciątku.

Wawrzusiowi aż się oczy zaiskrzyły.

— A to... proszę waszej wielebności... możebym ja...

— Cóż ty?

— Jabym zdolił zrobić takie osóbki.

— Idźże, idź; aniś jeszcze od ziemi nie odrósł; tobie miotła i mieszek do kurzu, a nie dłuto. Chyba na śmiech ludziom, a nie ku Bożej chwale.

— Czekajcież... pokażę wam coś.

Pobiegł do kącika, gdzie miał złożone swoje narzędzia i wyciągnął z pod szmatki dwa aniołki w locie, trzymając tkaninę ułożoną w kształcie baldachimu.

— No to, to rozumiem. Kto takie śliczności urobił, temu jasełka nie dziwne. Powiedzże mu, niech do mnie przyjdzie w niedzielę, to sobie dokładnie obliczymy, ile pasterzy, jacy mają być trzej królowie, jednem słowem trza się umówić. Pewno Jacuś, bo go mistrz chwalił raz przedemną.

— E, coby ta czekać niedzieli; ugadajmy se wszystko choćby i dziś — odparł Wawrzuś i wyszczerzył zęby w rozradowaniu wielkiem.

— Szkoda czasu mitrężyć z głuptakiem; mówię ci, niech tamten przyjdzie w niedzielę.

— Ano, wola wasza; mam czas, to przyjdę i w niedzielę.

— Drwiny se robisz z duchownej osoby, zuchwalcu jeden!

— O Jezu... jakoż inaczej mam gadać? Dy ja rzezałem te aniołki; mają ulatować nad Panem Jezusem malućkim, gdy Panna Marya klęczy przed ołtarzem w świątyni.

— Nie może to być!

— Oj, gdyby ojciec Szymon żył, toby poświadczył za mną. Zresztą, jak nie wierzycie, to zapytajcie samego mistrza.

— No, no, sam nie wiem, co o tem mniemać.

— Tak, że wam się to dziwne zdaje? Czwarty rok dobiega, jak się tu uczę, cobym za matoł był, gdybym do tej pory ino do zamiatania wiórów był dobry.

— Dziękuj - że codzień Panu Jezusowi, Matce Najświętszej i swemu Patronowi, bo to ich niezmierna łaska, nie twoja zasługa, że masz taki zmysł w palcach. Tedy wyrzezaj ze dwóch pastuszków na próbę i przynieś mi pokazać. A może nie wolno? Tyle tu macie roboty, jakoż będziesz tracił czas, gdy masz inszą powinność?

— Ani mi to w myśli nawet! Dzień do mistrza należy, to się rozumie; ale wieczory moje. Zresztą, jak się boicie, to poproszę. Mistrz nawet przykazuje, abym se wolnym czasem rękę wprawiał i rzezał, co mi ino do głowy przyjdzie. Pewno i wasze jasełka pilne, to się będę kwapił, co ino zdolę.

— Słuchajże co ma być: dwunastu pastuszków, starszych i młodszych, Przenajśw. Rodzina, trzej królowie, wół, osioł, podarunki dla dzieciątka, i co ci się zdawać będzie ku ozdobie; czy jakie drzewko, czy zwierzę, je-

dnem słowem, piękne jasełka. Pomyśl, rozważ, obrachuj, a w niedzielę przyjdziesz mi powiedzieć, jakiej zapłaty żądasz za tę robotę.

— O, przewielebny ojcze... gdzieżbym ja za pieniądze! Jak żywo jednego grosza nie chcę. Gadaliście tylko co, że mam Panu Jezusowi dziękować; słowami nie zdolę, bom głupi, niechże te jasełka za podziękę staną. Jedna ino rzecz będzie was kosztować: pomalowanie, i gdzieby koniecznie trzeba było, wyzłocenie. Na ten przykład ubiory i korony trzech królów. Tego ja nie umiem, i toby może zrobił Stanko.

— Pogadaj z nim, a co się będzie należało, zapłacę.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Jasiek.

„Panu Jezusowi za darmo“. — Pan Swirenkowicz z Wilna. — Arcydzieło Wawrzusia. — „Skrzypi wóz, wielki mróz“. — Ręka rękę ... łapie. — Dole i niedole Jaśka z Poręby. — Straszne spotkanie. — Przez okienko do miasta.

— Proszę waszej wielmożności...

— Czego chcesz?

— Był tu wczoraj pod wieczór ojciec gwardyan.

— Jaki gwardyan?

— Ojciec Makary, od Bernardynów.

— No i co?

— No i... — Wawrzuś wspiął się na palcach i pocałował w kolano Stwosza, stojącego na schodkach przy świętym Bartłomieju.

— Do mnie miał sprawę? Czego chciał?

— Ee... nie do was, ino do mnie; kazał rzezać jasełka.

— Gadajże jasno, bo nieskładnie pleciesz, nie wiem o co chodzi.

— Jedno za drugiem gadam, tak jak było. Ojcu gwardyanowi trza jasełek na Boże Narodzenie; przychodził do warsztatu popytać się, czyby mu który z nas nie zrobił. Ja obiecałem, ino kazał was pytać, czy pozwolicie.

Jurek, siedzący nieopodal, słyszał każde słowo i złość go chwyciła, że najmłodszy w warsztacie zdmuchnął mu zarobek z przed nosa. Zerwał się z ławy i poskoczył ku Stwoszowi.

— Chyba nie dopuścicie, mistrzu, aby głupi terminator, co ani dłuta porządnego nie udźwignie, przyjmował zamówienie na robotę, która po sprawiedliwości czeladnikowi się patrzy. Takie to małe, a chciwe, niczem żydowin. Aż wstyd dla warsztatu mistrza Wita.

Stwoszowi nabiegły krwią żyły na skroniach.

— Milcz!... Zali w moim domu ja panem, abo ty? Jeszczem słowa nie przemówił, a ty się będziesz odzywał i rozsądzał, co jest ze wstydem dla mistrza Wita? Wawrzek... powiadaj, jak dalej było.

— Ano, nijak już więcej nie było, ino chodzi ojcu gwardyanowi, cobyście nie swarzyli.

— Nietylko nie będę swarzył, ale nawet zwalniam cię od inszej roboty, abyś miał czas rzetelnie się zająć zamówieniem i na porę jasełka wykończyć. Ileż ci ojciec gwardyan zapłaci za one osóbki?

— Nic.

— Jakto nic?

— Ano, chciał płacić, alem go w rękę pocałował i prosiłem, żeby tę pierwszą robotę, co będzie cała moja własna, przyjął za darmo, Panu Jezusowi w stajence narodzonemu na chwałę. Gadałem, co drzewa musi mi kupić, bo sam nie mam za co, i pomalować, ani pozłocić nie zdolę, niechby się ze Stankiem rozmówił.

Wit Stwosz położył rękę na głowie chłopca, z ojcowską pieszczotą; na Jurka zaś spojrzał surowo i rzekł:

— Mniemam, że jeśli ma być w moim warsztacie żydowin, to chyba kto inszy, nie to dziecko. — I znowu łagodnym głosem przemówił do Wawrzusia: — Wyszukaj sobie na podwórzu klocków, jakich ci będzie trzeba; dajesz ty robotę Panu Jezusowi, niechże ma odemnie drzewo w podarunku.

— A ja pomaluję i wyzłocę za darmo! — krzyknął Stach, wyskakując z pendzlem ze swego kąta. — Ino się postaraj, pastuszków pięknych wyrób, świętego Józefa.

— Ach, mój Boże... jaki ja głupi! Dy ja w żaden sposób nie utrafię malućkiego Dzieciątka, ani Najświętszej Panienki.

— Weźże sobie obraz Narodzenia Pańskiego — rzekł Stwosz — ten zwierzchu, co ich trzy przy ścianie sparte, i wyrzezaj-no podo-

bieństwo, a ja ci jeszcze sam poprawię, jakbyś sobie nie mógł dać rady.

Uszczęśliwiony chłopiec wyskoczył na rusztowanie i przypadł do nóg Stwosza, całując jego kolana.

Od tej pory urósł jakby i spoważniał: robota jasełek nie była przecie zabawką dziecinną; jeżeli mu ją powierzono, a sam nawet mistrz nie bronił, owszem zachęcał, to chyba jest się czem cieszyć i z wiarą w siebie pracować z całych sił. Pana Jezusa w żłóbku i Maryę, żywcem odrobił z wzoru danego mu przez Stwosza, a tak wiernie, że mistrz pokiwał tylko głową, i nic już nie poprawiał. Ze świętym Józefem łatwiej mu poszło, a pastuszków rzeźbił literalnie śpiewający. Podawał im twarze czeladników mistrza Wita, a że i Stanka nie ominął, owszem, bardzo go zrobił podobnym, przeto i tamci nie mieli za co się obrażać. Jednego małego pastuszka nazwał Jaśkiem, i posługując się główką robioną z pamięci przed czterema laty, palnął portret swego najmilszego druha z Poręby.

Trzej królowie zato zabili mu klina w głowę; bał się, że niedość będą wspaniali i bogaci. Ale i w tym wypadku znalazł wzory w bocznych tablicach ołtarza. Właśnie gdy już wykończył wszystkie osoby i oddał Stankowi do pomalowania, już nawet z wołem i osłem się uwinął, Jurek i Paweł, najstarsi

z czeladzi, odstawili do poprawki gotowy obraz adoracyi trzech króli. Już się więc nie pytał nikogo, ani narzekał, że nie potrafi, tylko czemprędzej odrobił Melchiora, Kaspra i Baltazara z najdrobniejszymi szczegółami. Murzynowi, jako przynależy, mleczno białego konia sprawił, giermków, paziów, dworzan i pachołków, nasypał jak z rękawa, by święci królowie z przepychem do stajenki zajechali, a przed Bożem niemowlątkiem kornie czołem uderzyli.

— Pojrzyjcie ino, matko — rzekł Stanko, przynosząc cichaczem kilka figurek do mieszkania rodziców; — czyby kto uwierzył, że te śliczne osóbki, to małego Wawrzka robota?

— Ojciec chwalił go nieraz, że zmyślny nad wiek, — odparła pani Stwoszowa — ano, prawdziwie mówisz, wierzyć się nie chce. Ileż on ma lat, ten kunsztmistrz?

— Trzynaście kończy, ale drobno się trzyma; kto nie wie, dziesięciuby mu nie dał. Ojciec wielkie nadzieje w nim pokłada.

Jakoś w połowie grudnia, Wawrzek z Wojtkiem, drugim terminatorem, zajechali tryumfalnie w dwoje wyładowanych taczek przed furtę OO. Bernardynów. Brat Melchior musiał ich wpuścić ze wszystkiem na krużganek, bo nadto zimno było wypakowywać figurki na ulicy i wnosić po jednej do klasztoru. Furtyan pobiegł do ojca gwardyana spytać, gdzie te rzeczy mają być tymczasem złożone; a ksiądz Ma-

kary stoczył się ze schodów, pędzony srogą ciekawością, bowiem sam mistrz Wit zabronił mu pół żartem zaglądać na robotę, zanim będzie ze wszystkiem wykończona.

— Najlepiej odrazu do kościoła, i do kaplicy, gdzie ma być szopka; — dysponował gwardyan — kaplica i tak kratą zawarta, da się kukły pod ścianę, aż do świętej wilii, gdzie je na podwyższeniu ustawimy.

— O nie... proszę waszej przewielebności — odważnie zaprzeczył Wawrzuś — uczyńcie mi wielką łaskę, cobym ja sam, własną ręką każde najmniejsze drewienko położył tam, gdzie mu być należy. Tego nikt dobrze nie zrobi, ino ten, co wszystko w swej głowie obmyślił.

— Ale owszem, poszlę cię zawiadomić, i pod twoje rozrządzenie się poddamy. No, ale pokaż, pokaż, choć jednę osóbkę! Nie... to chyba Stanka robota? W cudze piórka stroisz się, chłopcze!

— Jak żywo! Niczego tu cudze dłuto nie tknęło, ino moje — gorąco wykrzyknął Wawrzuś. — Li oczka Panu Jezusowi mistrz sam poprawił, bo były za malućkie i przymknięte, jakoby Dzieciątko spało. Mistrz powiedzieli, że cale zwyczajne dziecko nie usnęłoby w tym gwarze i śpiewaniu, a nie dopiero Boski Syn.

Za powrotem do domu, zetknęli się chłop-

cy w sieni ze strojnie odzianym niemłodym człowiekiem, a ten ich o mistrza Wita pytał.

— Jest we warsztacie — odpowiedział Wawrzuś.

— Prowadźcie mnie, bom ja tu pierwszy raz.

Weszli.

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki — odparł Stwosz, nie przerywając pracy; ale spojrzawszy na gościa, rzucił pośpiesznie dłuto i z rozweseloną twarzą postąpił ku niemu.

— Czy mnie oczy mylą? Jego miłość pan Andrzej Świrenkowicz! Witajcie, witajcie, dawno w Krakowie?

— Gdzie dawno! — przeciągając z litewska odpowiedział przybyły. — Tażę rozstawnymi końmi z Wilna gonię; gnatów się człek nie dorachuje... Wczoraj wieczór zajechałem, dziś gwoli rozkazania najmiłościwszego królewicza, do was się kwapię, nawet uczciwie śniadać nie pośpiałem.

— Cóż za sprawa tak nagła? — spytał Stwosz z uśmiechem.

— I nagła i ważna zaiste — odpowiedział pan Andrzej poważnie. — Spraszałbym się ja od tej posługi jego królewiczowskiej miłości, bom już w leciech, i nie pilno mi zdrowia tyrać, gdyby właśnie o najdroższe nam życie książęcia Kazimierza nie chodziło.

— Zaciekawiacie mię srodze — rzekł Stwosz — powiadajcież.

— Tedy rozpocznę ab ovo. Jego królewiczowska miłość niedomaga już od dłuższego czasu, lecz się słabości nie poddawa, zwłaszcza w modlitwie, a postach, a rannych nabożeństwach pilnie trwając. Zrazu i my dworzanie mało sobie ważyliśmy owe mdłości, brak smaku do jadła i inne symptomata, nawet nadworny medyk ino mu ziółka jakoweś warzył na wzmocnienie. Gdy wszakoż chorość nie ustępuje, sił z każdym dniem ubywa, najmiłościwszy kniaź spadł z ciała i bladość śmiertelną w twarzy nosi, lęk nas ogarnął niezmierny. Zebraliśmy się dworzanie in gremio, i ostro do medyka, co sobie myśli, że książęcej osobie w naszych oczach ginąć pozwala. Gada ano, co raił skuteczne leki najmiłościwszemu królewiczowi, tenże je z gniewem odrzucił*). Tak my znowuż hurtem do księdza jałmużnika. Rada w radę stanęło, że cały dwór, począwszy od podkomorzego, a skończywszy na ostatnim kuchciku, złoży się na co kogo stać, i sprawimy votum na intencyę umiłowanego kniazia. Jako się przynależy, wysłaliśmy księdza w deputacyi, czy jego królewiczowska miłość zezwoli na ten uczynek. Odpowiedział, że śmierć go nie trwoży, owszem, za łaskę naj-

*) Żywoty Świętych Piotra Skargi.

większą u Boga sobie poczyta, jeśli go w młodym wieku raczy wziąć z tego świata, a nie dopuści, by Jego Majestat jakowym ciężkim grzechem obraził. Życzeniu jednak naszemu cale się nie sprzeciwia, owszem i sam się do onego votum przyłoży, z tem atoli zastrzeżeniem, by się tak stało, jako jest z największym pożytkiem dla jego duszy. Tu się kończy pierwsza część, jakoby prologos tej ważnej sprawy, którą nie na co inszego opowiedziałem, ino ku wyrozumieniu całości.

— A dalej? — pytał Stwosz.

— Ta, coże długo rozpowiadać? Ołtarz fundujem do prywatnej kaplicy najmiłościwszego królewicza, a wy go, ma się rozumieć, wykonacie.

Mistrz Wit zerwał się z ławy, i chwycił się oburącz za głowę.

— Człowiecze... zdrajco... wolej mi kamień młyński u szyi uwiążcie i na dno morza wrzućcie! Czyż nie wiecie, jaką robotę nad siły niemal podjąłem i ta mi pierwsza nad wszystko! Hańbą się okryję, gdy na czas ołtarza maryackiego nie wykończę! Krótkie lata ptakiem zlecą, a ledwie trzecia część gotowa. Mówiąc te słowa biegał po pracowni i targał się za brodę. A pan Andrzej podchwycił tylko jedno zdanie i powtórzył je.

— Nad wszystko wam pierwsza ta robota? Nawet nad życie królewicza Kazimierza?

Niech mnie kołem łamią, jeżeliście nie zełgali, mistrzu Wicie!

Stwosz stanął, przeciągnął ręką po twarzy i spytał ze złością:

— Cóż ma być w onym ołtarzu? A raczej, jakiż mieć chcecie?

— Nu, ta czego się tu było siepać? Wiedziałem, że mi nie odmówicie. Ma być szafka; nie duża, nie duża, czego skaczecie nademną, jak ten kat? Szafka powiadam, pół wielkości człowieka; w pośrodku Matka Boża z Dzieciątkiem.

— Stać ma, czy siedzieć?

— W stojącej postaci wolelibyśmy.

— Szczęście wasze; mam ich tu z pięć w pracowni, wybiorę najlepszą. No, a potem co?

— W bocznych skrzydłach Archaniołowie Michał i Gabryel, a gdyby możną i małych Aniołków kilka.

— Co uznam za konieczne do ozdobienia ołtarza, dodam bez waszej rady — mruknął Stwosz niechętnie; a pan Świrenkowicz uszczęśliwiony, że dopiął swego, miał się ku odejściu, by swym widokiem nie drażnić niepotrzebnie mistrza. Wyciągnął doń rękę i rzekł nieśmiało:

— Królewic bardzo chory...

— Na pierwsze dni lutege wykończę, nie wcześniej.

— Ostańcie z Panem Jezusem.

— Odejdźcie z Bogiem.

— Pan Świrenkowicz odszedł, a Stwosz zawołał natychmiast chłopaków, by mu wyszukali i przynieśli wszystkie posążki Matki Boskiej, jakie były w pracowni. Oglądał, mruczał, ruszał ramionami, przykładał miarę i notował coś kredą na czarnej tabliczce, wreszcie wybrał jednę figurę i zaraz ją dał Stankowi do pomalowania i wyzłocenia.

Brat Melchior zapowiadał każdemu, co w jakimkolwiek interesie przychodził do klasztoru, że w tym roku będą przedstawienia jasełkowe w kaplicy św. Anny, począwszy od pierwszego dnia Bożego Narodzenia, aż po koniec stycznia, we wszystkie niedziele i święta po nieszporach; przyczem dodawał z tajemniczą miną:

— Całe nowe kukiełki; jeszcze tak pięknych Kraków nie widział.

Już 23-go grudnia rano posłano po Wawrzusia, który też jednym tchem biegł z Poselskiej do Bernardynów, jakby się paliło. I dobrze ksiądz gwardyan uczynił, że chłopcu wolną rękę zostawił, bo tak zgrabnie jak Wawrzuś w stajence świętą Rodzinę umieścił i pastuszków, jakoby na wyścigi bieżących z darami, malowniczo porozrzucał, nikt z braci nie byłby w żadnej mierze potrafił.

Tłumy pobożnych i niepobożnych cisnęły się co święto w lewej nawie kościoła, zakoń-

czeniem której była właśnie kaplica św. Anny. W samych drzwiach kaplicy, na drewnianem rusztowaniu osłonionem jaskrawymi kobierczykami, wśród zieleni żywych świerczków i jodełek, przez księdza podkustoszego z Tyńca przysłanych, szarzała uboga stajenka, niedbale z deszczułek sklecona, i słomianą dziurawą strzechą pokryta. Jednej połowy bramy wcale nie było, druga wisiała krzywo na zepsutej zawiasie. U samego niemal wejścia, by widzowie mogli się dobrze napatrzeć, stał na ziemi żłóbek siankiem wysłany, w nim dzieciątko szmatkami owinięte. Z lewej Najświętsza Panna pochylona, ze złożonemi rękoma, z prawej św. Józef u drzwi stojący, jakby miał wyjrzeć, co za kroki i głosy coraz się zbliżają. W głębi wół i osioł na klęczkach, według słów kolendy oddechem swym zziębłe niemowlątko ogrzewały. Nie dwunastu, jak żądał ojciec gwardyan, ale ze dwudziestu pasterzy biegnie powitać Mesyasza, a każdy z podarunkiem w rękach. Są tam bochenki chleba, i jaja w kobiałkach, jabłka, orzechy, kiełbasy, kurczęta; jeden pastuszek pędzi przed sobą prosiątko uwiązane na powrózku za tylną nogę, aż dziwno, że głośno nie kwiczy, bo wygląda jak żywe.

Po za szopką, ukryci za choinami braciszkowie klasztorni i żacy szkolni, kolendują pięknie; jest na co patrzeć, jest czego posłuchać.

Ten obraz trwał do szóstego stycznia, w którym to dniu usunięto pastuszków, a na ich miejsce zjechali tłumnie i szumnie trzej królowie monarchowie.

Od samego początku, od pierwszego dnia, Wawrzuś nie opuścił ani jednego przedstawienia. Sam nie wiedział, co się z nim działo; taki jakiś był dumny, pyszny, aż go wstyd ogarniał. Ukrywał jak najusilniej te brzydkie uczucia, ale choć nikt nie zauważył, ani się domyślił hardości Wawrzusiowej, ona siedziała w głębi serca i nie chciała ustąpić. Toż te wszystkie śliczne osóbki, które się tak bardzo ludziom podobały, on zrobił, on, nie kto inny!

W samo święto Trzech Króli, wmięszany jak zwykle w tłumie, słuchał uwag i żartów, wtrącał się do rozmowy, wszędzie go było pełno.

— Dwóch ino królów widzę, gdzież trzeci? — spytała młoda wysoka mieszczka bogato strojna, drugiej starszej, również złotymi łańcuchami obwieszonej, w prześlicznym czepcu, misternie perłami szytym.

— Ady stoi na samym przedzie i hełmu przed Paniątkiem uchyla.

— Co? Ten murzyn obmierzły? Zębiska wyszczerzył... ja rozumiałam, że to sługa którego z tamtych.

— Ale! Nie widzicie to, że koronę ma

złotą na hełmie i zbroicę także wyzłacaną. Król jest, ino czarny.

— Prawda, prawda, nawet w pieśni stoi, że „Kasper z gorącego jechał kraju“.

— Ano widzicie — wmięszał się do rozmowy poważny jakiś człek, w sutej kierci, lisami podbitej. — Zbawiciel najmiłosierniejszy dopuszcza do siebie wszelakie stany i ludy; przygarnia nędzarza i koronata, nie czarną skórą się brzydzi, ino czarną duszą.

— Słusznie mówicie, panie Marcinie; wasze słowa niczem kazanie ojca Bonifacego.

— Matusiu... a tenże śmieszny pachołek cudacznie przybrany, to kto?

— Ten w czapie z dzwonkami? Toli błazen; przywlókł się i on w orszaku którego z monarchów.

— Także robota; — bąknął Wawrzuś półgłosem — co tu ma błazen przed oblicznością Pańską?

— Ot, głupie gadanie, głupca znamionuje — skarcił go pan Marcin — widzisz przecie, co tu za tłum dworzan, jakie konie, giermkowie... nawet tam dalej wóz wyładowany stoi. Zdaleka jadą, to se też pobrali wszystko co chcieli, ku potrzebie; tedy i błazny dla zabawki być muszą. Sprawny i roztropny był, co te śliczne osoby i królewskie orszaki rzezał, o niczem nie zabaczył.

— Ee... ruszając ramionami drwił Wa-



»Ani ci bieda, ani ci głód, kto ci kazuje kraść?«
(str. 213.)

(H. ż. Ciż.)

wrzuś — co mi to za cuda; inobym palcem ruszył, jak raz takie same potrafię, jeszcze i piękniejsze.

— Dziękuj Bogu, że święte miejsce; gdyby nie kościół, sprałbym cię za takie zarozumialstwo, ażbyś rok popamiętał.

Z poza szopki chór młodych głosów śpiewał wesoło nutę:

Święci trzej królowie,
Od wschodu mędrcowie,
Idą witać Pana,
Przed Nim na kolana
Padają.

Skarby ofiarują,
Miłość okazują,
Siebie z poddanymi
Narodami swymi
Wyznają.

— Kukły, jak kukły — podśmiewał się dalej Wawrzuś — terminator je robił, tyli co i ja.

— Im puściej w głowie, tem szumniej w mowie. Dy słyszałem od kumotra, co wpodle mistrza Witowej kamienicy mieszka, że całe te jasełka nie kilku, nie dwóch, ino jeden rzezał, umiłowany uczeń mistrza Stwosza, którego on za oko w głowie sobie ceni.

Wawrzuś urósł w dumie i radości. „Umiłowany uczeń“, „oko w głowie“ o Jezu... to ja!

Chór żaków rozpoczął nową kolendę:

Skrzypi wóz — wielki mróz;
Wielki mróz — skrzypi wóz.
Trzej królowie jadą — Złoto mirę kładą;
A komuż takiemu? — Dzieciątku małemu.
Cóż to za Dzieciątko? — Musi być Paniątko.
Któremu królowie — Służyli panowie........

Niektórzy z widzów łączyli swój głos z chórem, nuta jakby taneczna rozbrzmiewała po kościele, Boskiemu Dzieciątku na uciechę. Uwagi o szopce, jakiej naprawdę Kraków dotąd nie widział, ciągle się powtarzały; nie było jednego słowa przygany.

Gruba mieszczka w bursztynach zasłoniła widok Wawrzusiowi, czekał spokojnie, aż odejdzie, lub się nieco usunie. Cóż to?... Czy dobrze widzi?... Może mu się zdaje?... Ręka opalona wysuwa się w ścisku powolutku, wysuwa się cicha jak wąż, palce sięgają skórzanej kaletki wiszącej u pasa grubej niewiasty, otwierają guziczek, co torebkę zamyka... Tego już za wiele! Drugą ręka, raczej rączka, ale pracą wyćwiczona, więc silna, skrada się za tamtą, porywa ją i zgniata jak żelazną obręczą. Złodziej drgnął... chce się wyrwać... uciekać... nie sposób: twarda rączka trzyma, niczem kleszcze. Cóż to znaczy? taki malec...

— O matko... Wawrzuś! — wyrywa się okrzyk z ust schwytanego. Ludzie śpiewają kolendy, nikt nie słyszy.

— Wawrzuś... ulituj się... puść mnie!

— Co masz do mnie, złodzieju! — wzgardliwie odpowiada chłopiec i podnosi mimowoli oczy na wyrostka w baranim kożuszku.

— Jezu... Jasiek!

W jednej chwili staje mu przed oczyma Poręba, tatuś, matusia najsłodsza i ten Jasiek, ten Jasiek, towarzysz, przyjaciel, prawie brat!... Zaciska rękę jeszcze silniej, usta mu się krzywią obrzydzeniem, przez zęby wyrzuca z trudem jedno słowo:

— Pójdź...

I ciągnąc za sobą Jaśka, Wawrzuś przepycha się ku drzwiom kościelnym. Wyszli na plac pusty zupełnie, bo przedstawienie jeszcze nieskończone, więc się ludzie nie rozchodzą.

— Nie bój się, nie trzymaj mnie, ja ci nie ucieknę — odzywa się Jasiek cicho. — Czym się spodziewał, że cię w Krakowie napotkam!

— Wolejbym cię w życiu nigdy nie zobaczył, niźli tak... odpowiada Wawrzuś gorżko. — O mój Boże... mój Boże... a ja cię tak co dzień wspominałem, tylem się napłakał za matusią i za tobą! Wstydno mi teraz, żem złodzieja miłował.

— Mójeś ty złoty, nie plwaj na mnie! Już mi ta nie doczyniaj... Toli w ziemię radbym się zapaść. Widzi Pan Jezus nowonarodzony, że nie łżę.

— Co komu przyjdzie z takowego gadania! Wlazłeś w błoto, boś chciał...

— Żebym ci wszystko powiedział...

— To gadaj. Ano, czy zdolisz zaprzeczyć, żem cię złapał na bezecnym uczynku?

— Pójdźmy gdzieindziej; za chwilę zaczną się ludzie rozchodzić z kościoła.

— Gdzież pójdziemy?

— Ino ulicę wszerz przebiedz, zaraz bagniste łąki, tam pustkowie, nikt nam nie przeszkodzi.

— Chodźmy.

Przeszli parę set kroków wzdłuż murów miejskich i zawrócili na prawo. Była to istotnie najbardziej odludna część przedmieścia. Przed nimi rozpościerała się grzązka nizina, teraz pokryta grubym, puszystym śniegiem, z pod którego gdzieniegdzie sterczały suche, zczerniałe badyle wodnych traw i trzciny. Mokrzadła te między wschodnią stroną miasta, a starem korytem Wisły, zwały się łąką świętego Sebastyana, od kościółka, który tam stał na płaskiem wzniesieniu, otoczony wiązami. Dalej ciągnęły się oparkanione składy drzewa, szopy na siano sklecone jakby od niechcenia, mała opuszczona cegielnia, zaułki, gdzie tuliły się do siebie nędzne domostwa. W dali zaś widniał cmentarzyk otoczony nawpół rozwalonym murem, i kapliczka św. Gertrudy. Dziwnie ponure było to miejsce; bo też w owej ka-

plicy wystawiano ciała straconych złoczyńców, i po egzekwiach grzebano je na owym cmentarzyku. Cała ta okolica podmiejska pospołu z łąką św. Sebastyana, nosiła nazwę Brzegi.

Słońce zapadało po za miasto; na rozjarzonem niebie odcinały się czarno szczyty kościołów, wieże, baszty i mury Krakowa, ponad którym górował z jednej strony strzelisty gród wawelski, z drugiej wieżyca maryacka.

Chłopcy szli w milczeniu; pod ich nogami chrupiał śnieg. Wydłużone cienie ich postaci i starych garbatych wierzb, siniały na śnieżnej równinie zaróżowionej łuną zachodu.

Wawrzuś przystanął.

— Co masz gadać, to gadaj — rzekł szorstko. — Ani ci bieda, ani ci głód; kożuch masz pański, buty nowe i gębę czerwoną. Kto ci kazuje kraść?

— Właśnie takeś powiedział, i tak jest: służę u pana, co mnie przymusza do złodziejstwa.

— To go rzuć. Jednej godziny ci u niego nie być.

— Juści; tak się zda łacno powiedzieć, a ruszyć się odeń nie mogę. Posłuchaj mnie Wawrzek cierpliwie, opowiem ci wszystko po porządku.

— Ady nie można być cierpliwszym, skorom tu przyszedł z tobą. Gadaj.

— Jakoś w zimie, tego roku, coś to uciekł z Poręby...

— Nie uciekałem cale, inom się zgubił w puszczy, a potem... no, niechta; więc?

— Więc onej zimy matusia pomarli.

— Jezus, Marya! Moja złocista matusia!

— Ależ nie twoja, moja.

Wawrzuś odetchnął ciężko.

— No i co?

— No i na Wielkanocne święta już macocha była w domu. Z początku, jakieś parę tygodni, nie zważała na mnie; buchnęła w kark o lada co, ale to wspominku nie warte. Później ano, jak się rozpanowała w chałupie, tak od rana do nocy tatusiowi głowę klektała, coby mnie dać do służby, abo do terminu. Dla świętej zgody, zaprowadzili mnie tatuś do Mirowa i dali do kowala.

— Takiego małego?

— Jakże? Dy przeszło dwa roki starszym od ciebie; jużem wtedy dziesięć był skończył. Co prawda, siły wielkiej nie miałem, kowal bił, czeladź szturchała, uciekłem do domu. Nie na wiele się zdało, macocha znowu swoje. A cobym już nie wracał, sama wyszukała mi służbę, daleko, aże w Łobzowie u wójta. Tamem krowy pasał bez rok. Dobrego pana miałem, głodu nie było, przyodziewa była, złego słowa mi nie powiedział. Ale mi się cnęło za czem lepszem. Jechali gospodarze z Poręby do Kra-

kowa na odpust, od nich się dowiedziałem, co i tatuś poszli na tamten świat, a macocha całą puściznę zagarnęła dla swego synka. Już mi nie wracać do dom; — myślę se — już tam nic po mnie. Podziękowałem od nowego roku wójtowi i poszedłem do Niegoszowic. Wzięli mnie do stajni; byłem tam blisko trzy roki. Od małego do większego, nauczyłem się sprawnie powozić. Pan miecznik był młody, żona też, często jeździli w sąsiedztwo, abo do Krakowa; lubili cobym ich woził, bo zawdy młode do młodego ciągnie, a siwy Łukasz jakoś im nie tak ugodził, jako ja. Sprawili mi białą sukmankę, czapkę z pawiemi piórkami i tak my sobie jeździli choć dwa razy w tygodniu. Jak pan był dobrej myśli, to mi często rzucił kilka denarów, abo i cały czeski, pani też nieraz obdarzyła, gościowi się konia podprowadziło, znowuż co wpadło do garści, a na nowy rok zasługa; wszystkom se składał do szmatki i pod siennikiem trzymał.

— Widzisz, chciwość zawdy na zły koniec przywodzi.

— A nie. Chciałem se uskładać, i choć za jakie długie lata kupić se gruntu gdzie na wsi i kmieciem wolnym być, jako i tatuś. Ano, pojechali my znowu raz do Krakowa, na jakiejsi starościanki wesele. Umyłem kolebkę jak się patrzy, koniem obrządził, i na miasto. Walę odrazu do Sukiennic, bo tam kramy bogate,

jest na co oczy wypatrować. Chodzę, chodzę, aliści podsuwa się do mnie jakiś człek dostatnio ubrany i zaczyna pogwarkę. „A skąd, a poco, a na długo do Krakowa?“ Grzeczny był, mowny, szliśmy razem od kramu do kramu. Wreszcie gada, co mu się strasznie pić chce, i pociągnął mnie ze sobą do miodowni. Rozpowiada, że kupcem jest, ale nie zwykłym kramarzem, ino jeździ do Gdańska, do Moskwy, nawet do Carogrodu po towary, i te wielkiemi pakami na furach od miasta do miasta wozi, i pomniejszym handlarzom z dobrym zarobkiem odstępuje. W ten sposób z jednego grosza ma czasem dziesięć i spodziewa się na starość wieść spokojny żywot w dostatkach. — Mój Boże, myślę se, i światu dalekiego się napatrzy, i majętności uciuła, a ja co? Parobek do koni, sierota, bez własnego dachu nad głową. I tak jakoś przy miodzie rozpowiedziałem mu wszystko, co miałem na sercu, nie skrywając, że chcę być kiedyś wiejskim gospodarzem. Ośmiał się ze mnie jak z dziecka i gada: „Ani za pięćdziesiąt lat nie złożysz tyle, ile trza na ziemi kawał; starym dziadem będziesz, a nie gospodarzem. Jabym wiedział lepszy i prędszy sposób“. „A jaki? Powiedzcież mi, zlitujcie się!“ „Przystań do mnie; na początek w domu się przydasz do usługi, a i tak cię lepiej zapłacę, niż ten twój pan miecznik. Później, jak poznam, żeś sprawny i rozgarniony, to

i w drogę cię wezmę i handlować nauczę. Czasem, jak dobrze pójdzie, to w jednym roku zarobisz tyle, co w służbie za dwadzieścia lat". I tak gadał, gadał, a mnie aż coś szarpało do onego prędkiego zarobku. Ugodziliśmy się przez pół, bo nie wiedziałem, czy mnie pan mój ze służby zwolni. Poszedł ze mną do dworca pana miecznikowego i w sieni czekał, jaką odpowiedź przyniosę.

— Bodaj go była ziemia pochłonęła owej godziny! — zaklął Wawrzuś.

— Pan miecznik był ludzki i całe nie srogi; wyrozumiawszy, że mnie kupiec chce brać do terminu, nie przeciwił się temu, i po owem weselu musiałem jeszcze tylko odwieźć państwo do domu. Za jedną drogą zabrałem swoje łachy i szmacinę z pieniędzmi. Mego nowego pana łacno nalazłem, bo kazał pytać w tej samej gospodzie, gdzieśmy raz byli, o Hincza Bartnika. Prawie co dzień pod wieczór zwykł był tam chadzać na kubek.

— Jakże, nie połapałeś się odrazu, że to rzezimieszek szkaradny? — przerwał mu opowiadanie Wawrzuś.

— Nigdy w świecie nie byłbym wyrozumiał z początku, co on za jeden. Twarz miał co prawda niemiłą, i prosto w oczy nie lubił patrzeć; alem się prędko z tem oswoił i nic mi nie wadziło, że ponuro poglądał. Z początku, jako mi zapowiedział, inom był do posług.

Izby zamiatałem, w piecum palił, żur abo kluski na śniadanie warzył, buty i przyodziewę czyścił. W południe szliśmy se oba do gospody na obiad. Parę razy pan wyjeżdżał z domu na kilka, lub kilkanaście dni, wtedy mi sute strawne zostawiał, wszystkie izby prócz kuchni na kłódki zamykał, a i tak upominał, żebym się nie włóczył po mieście, ino domu strzegł, bo o złodziei nie trudno. Drzwi od ulicy także na dwa spusty zamykał i żelaznym drągiem zasuwał, ino mi klucz od podwórzowej furtki zostawiał. Okna gęsto zakratowane, siedziałem jako w twierdzy. Musi mieć różne drogości, i złote pieniądze, kiej się tak boi, myślałem. Namówił mnie, cobym i swój oszczędzony grosik dał mu do przechowania, odświętną przyodziewę także mi zamknął do komory, żeby prochem nie przepadała, anim się opatrzył, już mi wszystko zabrał, inom to miał, co na sobie. Po jakimś czasie zaczęła się nauka. Dziwuję się dzisiaj, co mię zaślepiło, żem nie odgadł, jakie to było terminowanie; wtedym się ino śmiał i niczemu nie rozumiał.

— Cóż ci kazał robić? — spytał Wawrzuś.

— Kazał mi znieść ze strychu kukłę wielką, na podobieństwo człowieka urobioną i przyodzianą. Kaletek, torebek było na niej z dziesięć, a po całym kubraku ponawieszane dzwoneczki. Do każdej kieszeni wkładał denary, i kazał mi je wyjmować ostrożnie, coby któ-

rego dzwoneczka nie potrącić. „Jak się zręcznie sprawisz — powiada — grosiki twoje; zadzwoni dzwonek, pójdziesz spać o głodzie“. Długom się nie mógł nauczyć; inom dotknął onego cudaka, oho, juści wszystkie dzwonki dyndały na larum; pan łajał i wieczerzy nie dawał. Ale też uciechy było, uciechy, jak dobrze poszło! I coraz częściej szło dobrze, aż po jakich dwóch miesiącach, tom ci wypróżniał kaletki jednę za drugą, a bałwan cicho stał, ani jęknął. Klnę ci się na rodzicielów... ani mi przez myśl nie przeszło, co to wszystko ma znaczyć. Mniemałem, że to taka sztuka, na pokaz ludziom. Ani jednego dnia mi nie przepuścił, abym wprawy nie stracił. Któregoś wieczora każe mi się pan ubierać i iść za sobą. Ucieszyłem się; Bogiem a prawdą, cnęło mi się strasznie za jaką odmianą. Dosyć dalekośmy szli, aż stanęli przy jakimś wysokim murze. W murze była furtka; pan wyjął z kieszeni pęk kluczy, ale ze siedem probował, zanim się udało. Ciemno, myślę se, nie może znaleźć dobrego. Patrzcie ludzie co za bogacz, jaki to ogród ma okrutny. Weszliśmy po cichu, piękny dworzec wśród drzew, ale ciemno. „Stój tu“, mówi do mnie, „poglądaj i nasłuchuj, a gdyby kto szedł wedle domu, to gwizdnij ostro“.

— Będziesz może gadał, co i wtenczas nie rozumiałeś, że to złodziej, szubienicznik? — z gniewem krzyknął Wawrzuś.

— Jak Pana Boga miłuję, nie rozumiałem! Ale czekaj, niedługo już mojej głupoty. Postałem tak z godzinę, może krócej, ale mi się czas bardzo dłużył na onem czekaniu po ciemku. Wreszcie pan wyszedł z niedużem zawiniątkiem, i dał mi je nieść za sobą. Ciężkie było i twarde, ledwiem dźwigał. Wróciwszy do domu zasunął się w swojej izbie, a mnie kazał iść spać. Choćby mnie ciekawość brała wyjść na podwórze i oknem zaglądać, nicbym nie uwidział, bo dzień i noc grubą derą było zasłonione. Kilka razy powtórzyła się taka wyprawa, ma się rozumieć coraz to w inszej stronie; zawsześmy wracali szczęśliwie. Aż jednej nocy, będzie temu ze trzy tygodnie, gdy tak stałem na straży, a deszcz ze śniegiem pruszył gęsty, widzę, że się brama od ulicy otwiera, dwóch panów idzie rozmawiających głośno, za nimi pachołek. Jak ci nie gwizdnę co ino sił, umarłyby usłyszał; ale stoję w miejscu i czekam na pana. Ani pół pacierza nie zeszło, leci ku mnie jak ten wicher, tłomoczek na ręce rzuca... „biegaj do domu w te pędy!“ My obaj do furtki, za mur, zawróciłem się w swoją stronę, gnam czwałem, bo mi tak przecie kazał, aż tu wyraźnie słyszę: „Łapaj, łapaj... złodziej!“ Jakby mi kto kosą nogi podciął, runąłem na ziemię. Matko Boska... święty Janie, patronie... u złodzieja służę! Złodziejskie łupy dźwigam! Pozbierałem się cały trzęsący

i chciałem iść naprzeciw owych, co krzyczeli, oddać im skradzione rzeczy. Ale się widno gdzieindziej zawrócili, bo coraz ciszej głosy mnie dochodziły. Co robić? Zostawić tobołna ulicy, byle jaki dziad, abo pijak porwie jak swoje. Odnieść do ratusza? Dy miejskie bramy pozamykane. Jutro rano zaniosę i powiem wszystko — rzekłem se w duchu, i lżej mi się zrobiło. Przychodzę do domu, a pan przy drzwiach czeka na mnie. „Udało ci się?“ — gada — „gracki chłopak; sowitą nagrodę dostaniesz“. I śmieje się łotr całą gębą. „Nie trza mi waszej nagrody!“ — wrzeszczę ze złością — „ani mi palcem tykajcie tego tłomoka! Skoro świt, idzę z nim na ratusz“. „Jak wola, jak wola — odpowiada i jeszcze lepiej się śmieje; — „a tymczasem wejdź do izby, nie musisz moknąć na deszczu“. Co miałem robić, wszedłem. Dopiero on mi gada, żem głupi, jak dwuletnie dziecko. „Idź na ratusz, idź synku. Ładnieś zrobił, żeś mi się przyznał. Niech cały dom do góry nogami przewrócą, jednego czerwieńca nie powąchają, jednego pierścionka nie najdą. Wszystko w bezpiecznem schowaniu. Sam się w ziemię zapadnę, zje dyabła, kto mnie chyci. A ciebie, złodziejskiego pomocnika, wsadzą do lochu, zaczem się sprawa rozjaśni. Posiedzisz tam rok, abo dziesięć, różnie się zdarza; a panowie w trybunale mają setki spraw do sądzenia, łacno i zapomną takiej

drobnostki, że tam jakiś psi syn czeka zmiłowania. Hincza Bartnika nie dostaną, ale Jasiek zgnije pod ziemią". Śmiał się, ino mu te zębce łyskały w gębie, a ja stałem i patrzyłem nań, jak na samego dyabła. „Nawet cię zamykać nie będę" — gada — „wolno ci chodzić do miasta, kiedy zechcesz, i wracać, kiej ci się spodoba. Wydasz mnie, pójdę na hak*), wiem o tem, ale skoro na sądzie opowiem, żeś u mnie służył, żeś z dobrej woli stróżował, jakem na robotę chadzał, żeś tłomoki za mną dźwigał, a gwizdaniem o niebezpieczeństwie ostrzegał, to jakoż ci się zda, co z tobą zrobią? Może powieszą, a może się twej młodości ulitują i wsadzą do takiej ciemnicy, że do samej śmierci złotego słoneczka nie uwidzisz. A cobyś nie umknął, na łańcuszku cię do ściany przykują. Idź, synku, wydaj mnie; jeszcze ci sam drzwi otworzę". Już ci dalej nie powiem... co będę gadał. Teraz muszę śpieszno do domu, czekać na pana, bo lada chwila powróci.

— To nie może być, żeby się na twoją biedzę lekarstwo nie nalazło! — zawołał Wawrzuś.

Jasiek ruszył ramionami.

— Choćbym uciekał na kraj świata, i tam mnie dostanie. Podprowadź mnie, muszę już iść.

---

*) W średnich wiekach surowo karano za kradzież; nawet śmiercią.

— Co? Na cmentarz pójdziemy?

— Bez mała; — z gorżkim śmiechem rzekł Jasiek. — Dworek Bartnika ustronny i zaciszny, a podwórze do cmentarnego muru przypiera. Uciekaj, mógłby nadejść; lepiej, żeby tu nikogo nie zastał. Zresztą, będą już miasto zamykać. Bierz się ku Nowej bramie, bliżej ci, niż do Grodzkiej.

— Chciałbym przyjść do ciebie.

— Co dzień z południa siedzę w domu sam.

— Dobrze.

— Dobranoc.

Wawrzuś pośpieszył ku Nowej bramie, a po drodze rozmyślał, jakby to wyrwać nieszczęśliwego przyjaciela z rąk zbrodniarza.

Śpiewy, krzyki, śmiechy, głos piszczałek i bicie w bęben, wyrwały go z zadumy: Parobeczek z gwiazdą na przedzie, za nim trzej królowie w pozłacanych koronach i jaskrawych szmatkach, rogaty dyabeł prowadzący na powrozie „Turonia" o kłapiącym koźlim pysku, dwóch muzykantów z fujarkami, trzeci z małym bębenkiem; słowem, przebrani żacy uganiający od domu do domu po kolędzie, zabiegli mu drogę.

— Wawrzek od mistrza Wita! Jak się masz!

— Co mnie zaczepiasz? Dy ja cię nie znam!

— Nie znasz? — Król Baltazar odwiązał sznurek i zdjął na chwilę długą siwą brodę z konopnego przędziwa...

— Florek!

— A widzisz? Dawnoś nie był u pana Żegoty, toś i zapomniał o mnie. Chodź z nami!

— Bramy zamykają...

— Wielkie rzeczy, przenocujemy razem, ot, tutaj, w gospodzie.

— Nie mogę, mistrz by strasznie swarzyli.

— A to bywaj zdrów!

Trzej królowie z orszakiem wpadli piszcząc dziko do szynkowni, drzwi nie zamknęli za sobą, światło błysnęło, Wawrzuś przystanął bezwiednie i patrzał ze śmiechem na niezgrabne skoki turonia.

Ktoś przeszedł obok prędko i nagle się zatrzymał. Chłopiec obejrzał się: wysoki człowiek jakiś, w kożuchu i barankowej czapie, stał dwa kroki od niego i bacznie mu się przyglądał. Coś, niby wspomnienie snu przykrego, przeleciało przez głowę Wawrzusia... dreszcz go wstrząsnął... kto to? Czego tak patrzy na mnie?... Och te oczy... Jezus Marya pielgrzym!...

Z otwartych drzwi gospody wyszedł zataczając się obdarto odziany człek i uderzył sobą tamtego...

— Czarny Rafał!... Śmiercim się pierwej spodziewał... A ty co robisz w Krakowie?

Wawrzuś skorzystał ze sposobności, że pijak czepił się ramienia pielgrzyma i nie oglądając się już poza siebie, pędził ku Nowej bramie. Nie ubiegł dwudziestu kroków, zdało mu się, że go ktoś goni.

— O rety... zamknięta!
zaczął bić pięściami we wrota i wołał:

— O dobrzy ludzie... o moiściewy... otwórzcie!

Kroki zbliżały się, potem ucichły, ktoś czekał.

Okno na piąterku tuż ponad szkarpą otwarło się; wachmistrz ceklerzy wychylił głowę.

— A ty raku przeklęty... jak śmiesz burdy czynić po nocy? Zaraz mi się precz wynoś!

— O miłościwy pułkowniku... zlitujcie się nademną biednym... gdzież ja się na noc podzieję? Co wam szkodzi otworzyć?

— Juści, we trzech zleziemy na dół, dla usługi waszej wielmożności. Pan starosta wczoraj się spóźnił, musiał nocować w zajeździe, a to kocię każe se bronę otwierać! Uciekaj, pókim dobry.

— A oknem wolno? — zapiszczał chłopiec.

Wachmistrz parsknął śmiechem.

— Ojoj... coby nie? Nawet ci całe otworzę.

— Bóg wam zapłać!

Odsadził się dla rozpędu... coś czarnego stało pod murem na boku... Wawrzuś prze-

żegnał się i pomknął jednym tchem, jak szalony, po pochyłej szkarpie...

Złapał się futryny.

— Wciągnijcie mnie do izby, jeśli łaska!

— Jak Pana mego... nie trzeba po cudach chodzić!

Wachmistrz trącił nogą drzwi do drugiej izby.

— Onufer... Jacek... Pokazać wam wiewiórkę?

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Święty Kazimierz.

Do Wilna. — Piwna polewka u pani Salomei. — Kąpiel Wawrzusia w Narwi. — O czem Bystry gadał z Kudrasiem. — Strzała Stanka i nóż pielgrzyma. — Żółte ciżemki. — Omni die dic Mariae. — Zgon królewicza.

Listy z Wilna przynosiły coraz to smutniejsze wieści o chorobie królewicza Kazimierza. Ostatni posłaniec przywiózł tylko kilka wierszy, z trudem widocznie napisanych, a osobno list od przybocznego i ulubionego dworzanina p. Świrenkowicza, donoszący, że chory do cna z sił opadł i ledwie z przymusem szklaneczkę mleka trzy razy dziennie wypija. Ciężko zasmucony król posłał czemprędzej dwóch najpierwszych lekarzy z Krakowa, pokładając w nich lepsze nadzieje, niż w nadwornym medyku królewicza.

Wit Stwosz dowiedział się o tem wszystkiem od Kallimacha i kwapił się z wykończeniem ołtarzyka; Stanko, Jurek i Wawrzuś, pracowali nad rzeźbieniem figur i ornamentów,

mistrz doskakiwał do chłopców co godzina, krzyczał, że robota stoi, wzywał pomsty nieba i piekieł nad próżniakami, zaczem przyjrzawszy się bliżej, klepał ich po plecach z zadowoleniem. Dnie całe, aż do zmroku, pracowano z takiem natężeniem, że mowy nie było o swobodniejszej chwilce; pozostawały czeladnikom na wypoczynek tylko niedziele. Wawrzuś wyglądał każdej, jak kania deszczu, by się zobaczyć z Jaśkiem i obmyśleć wspólnie plan wyswobodzenia go ze szponów Hincza Bartnika. Tymczasem, ilekroć w niedzielę po południu biegał do przyjaciela, za każdym razem zastawał drzwi zamknięte i okiennice pozasuwane.

Trzydziestego stycznia, posążki Matki Boskiej, Archaniołów Michała, Gabryela, jako też pół tuzina skrzydlatych dzieciaków, stały w pracowni pomalowane, wyzłocone, gotowiuteńkie. Można się było spodziewać, że wysłańcy z ołtarzem dojadą na miejsce za jakie trzy lub cztery tygodnie. Zwłaszcza, że szafę miano robić już w Wilnie, by nie tracić czasu i nie przysparzać ciężaru.

Zaopatrzywszy Stanka w pieniądze potrzebne do długiej podróży, mistrz Wit wyprawił go z Jurkiem i Wawrzkiem w drogę. Woźnicę mieli doświadczonego bywalca, ruszyli z Krakowa pełni otuchy, radzi, że taki kawał świata zjadą, Wilno zobaczą, a co najważniej-

sze, pokłonią się miłościwemu królewiczowi, którego żaden z nich, jako żył nie widział.

W ostatnich dniach stycznia spadły wielkie śniegi; przezorny Błażej był na wszelaką pogodę przygotowany, odrazu więc po pierwszym popasie zdjęto koła i włożono wóz na płozy, zaczem jechali sporzej dobrą sanną. Nie mogli jednak męczyć zbytnio koni, nie mając innych do zmiany; woźnica tedy, a zarazem naczelny wódz wyprawy, przeznaczał popasy i noclegi, jechano krótkiemi dniówkami. Pierwszy nocleg przypadł w Proszowicach, nazajutrz w Nowem mieście Korczynie, potem przez Tursko, Sandomierz, Kraśnik do Lublina.

W Lublinie kierować się mieli wprost do dworku pana Mikołaja z Proszowic, brata pana Żegoty.

— A wiecie którędy? — spytał Stanko Błażeja.

— Nie wiedziałbym? — odparł stary — ady w święta woziłem tu pana Żegotę; miał zostać dwa tygodnie, ale piątego dnia my się zabrali z powrotem.

— Zachorzał, czy co się stało?

— Ee... nic ważnego... wszędy dobrze, a doma najlepiej. — Błażej machnął ręką ze śmiechem. — Ot, zaraz, w tej ulicy na lewo.

Strzelił z bata dwa razy, podjechał i zatrzymał konie. Stanko skoczył z wozu, ale nim zdążył zastukać do bramy podwórzowej,

wrota same się otwarły, drobniutki, zawiędły człeczek w szarym żupanie wybiegł z pośpiechem i ręce ku niemu wyciągnął:

— Witam, witam... wiem wszystko... na ścieżaj bramę, jako i serce moje ku przyjęciu miłych gości otwieram!

Bryka wjechała, gospodarz zamknął czemprędzej, przeciągnął drąg przez drewniane klamry i rzucił się drugi raz witać podróżnych.

— Bóg zapłać waszej miłości, za tak skwapliwą gościnność — rzekł Stanko z ukłonem. — Do królewicza Kazimierza ołtarzyk wieziemy.

— A jakże, a jakże, brat mi rozpowiadał dokumentnie o wszystkiem; daj Bóg, cobyście jeszcze na porę zajechali. Wejdźcie do izby, proszę.

Usiedli na ławie, pan Mikołaj rozpytywał o nowiny, czy król miłościwy nie zamierza syna odwiedzić, czy ołtarz maryacki ma się już ku wykończeniu, co porabia brat Żegota, nagle... urwał w pół zdania i skoczył na równe nogi, rumieniąc się jak żaczek.

We drzwiach ukazała się podobnie chuda i zasuszona jak mąż, ale o głowę odeń wyższa, pani Salomeja Proszowska. Pan Mikołaj pobiegł ku żoneczce.

— Nie było cię doma, dziewko najmilejsza, gdy Opatrzność Boska zesłała nam gości.

— Widziałam już — odparła pani zimno — bryka, cztery konie, parobek.

— Aha, com to chciał rzec — wpadł jej mąż pośpiesznie w mowę — pozwólcie, wasze miłoście, że was zapoznam: syn mistrza Wita z towarzyszami; a to, mój przyjaciel dozgonny, sercem ukochana Salusia. Od rana mróz cierpią, dziewko najmilejsza, przydałaby się piwna poleweczka na rozgrzanie.

Dozgonny przyjaciel uśmiechnął się słodziutko.

— Już się warzy; właśnie sama przyprawiłam — a w ucho mężowi syknęła: — na jeden krok z domu nie sposób się ruszyć, wiecznie jakichś darmozjadów naprowadzasz, ino ja za progiem.

— Z twarogiem świeżym, powiadasz, Salusiu? Z twarogiem? Dziewkoż ty moja! Widzicie, wasze miłoście, czego ino myślą zażądam, z oczu mi chęć odgaduje, na każdym kroku mię psowa; jedynaczka moja!

— Dla asana ani kropli... żebyś mi się nie ważył tknąć! Masz być chory... — zaszemrało ukochanie jedyne.

— Aż dwa gąsiory drogości moje? Wiesz przecie, że od wczoraj niedomagam, nawet nie pokosztuję. Temci lepiej, goście nie wzgardzą, niech będzie i dwa. Grzanek misę kopiatą, nie zapomnij ptaszyno!

Salusia wymknęła się z izby śpiesznie, nie chcąc karcić małżonka przy obcych, i wlała

kwartę wody do piwa, gwoli dopełnienia zapowiedzianych dwóch gąsiorów.

Po wieczerzy podróżni pożegnali gościnnych gospodarzy, bowiem przed świtem jeszcze mieli wyruszyć dalej.

Bez przygód zajechali do Kocka, następnego dnia do Biały, cały dzień wypoczęli w Drohiczynie, gdzie warowny zameczek przez Konrada Mazowieckiego wzniesiony, z wysokiej góry w błękitnawo-szarych wodach Bugu się przegląda. Z Drohiczyna pośpieszyli do Bielska na obiad, i zaraz dalej.

Dojeżdżają do Narwi, rzeka w lód się zakuła, śnieg na niej; patrzą w prawo, patrzą w lewo, mostu nigdzie ni znaku... Błażej podrapał się w głowę, zlazł z wozu i chodzi nad brzegiem.

— Cóż myślicie — spytał go Stanko — przebierzemy się chyba na drugą stronę? Ślady sani, kopyt, widno wszyscy tędy jeżdżą.

— Ta, ono niby tak, alebym wolał...

— Rzeka stoi, lód mocny, kiedy wozy przechodzą.

— Ale nasza bryka ciężka, a piąty już dzień mrozu niemasz. Ano, co robić... nic tu nie wystoimy, trza jechać.

Przeżegnał konie batem, poszły. Lód cichy, nie dudni pod kopytami... Błażej strasznie chmurny idzie przy koniach, i chłopakom zleźć kazał, żeby jak można ulżyć saniom.

— No widzicie, było się czego bać; — śmieje się Jurek — już więcej niż pół drogi!

Błażej nic nie odpowiedział, oczyma śledził każdy krok koni. Nagle... zachrzęściło coś głucho, woda bryznęła zpod kopyt, trzask się rozległ okropny, chlupot... pierwsza para koni zapadła się po brzuchy w wodę.

— O Jezu... nie mówiłem! Hej, chłopaki... co tchu... biegajcie na tamtę stronę... światełka niedaleko... wołajcie ludzi z drągami, niech śpieszą konie ratować. Ino duchem! Na prawo... na prawo... tam bezpieczno!

Konie zanurzone we wodzie, chrapały ze strachu i drżały od zimna; druga para za nimi szarpała się i przysiadała na zadach, a lód pękał coraz dalej... po kilku minutach zapadły się i one. Sanie przechyliły się w bok, jedna paka zesunęła się w wodę; szczęściem nie poszła pod lód, tylko sparta jednym kantem na zielonej roztrzaskanej tafli, sterczała do góry, grożąc z każdą chwilą osunięciem się w głąb.

Biednemu Błażejowi zdawało się, że trzy godziny czeka, choć naprawdę wieś była blisko, chłopcy gnali bez upamiętania, a ludzie we wsi dowiedziawszy się o przygodzie, w okamgnieniu się zebrali i biegli z pomocą.

— O mój Boże... świętości wiozą dla chorego królewica! — dziwował się wójt,

pędząc przed sobą ośmiu parobków z tęgimi drągami. — Zbierajcie nogi chłopcy, a żywo, wszakci naszemu umiłowanemu kniaziowi służymy!

Dobiegli.

— Najpierwsza rzecz, odciąć konie; inaczej nie damy rady — komenderował wójt. — Dobrze. Teraz po trzech z każdej strony, drąg pod brzuch i dźwignąć z wody!... Fiedor... tumanie jeden... gdzie stajesz? Nie masz oczu? Pójdziesz pod lód, i kto cię będzie szukał? Hawryło... Semen... ku brzegowi ciągnąć; koń mądry, sam się ano gramoli... do góry drągi! Przysadzić się! No! To już sława Bohu jeden! Wańka, pędem z nim do mojej stajni, wytrzeć wiechciami do sucha, całego derami owinąć i powrozami owiązać pod brzuchem, coby się zagrzał. Nic mu nie będzie. Macie drugiego? Ot, mołojcy! Pietia, prowadź i tego do wsi, a zrób tak, jakom Wańce przykazał.

Wyciągnąwszy szczęśliwie konie, wzięto się do wozu. Wawrzusiowi straszno się zrobiło, że paka od godziny w wodzie stoi, a posągi choć jaknajtroskliwiej grubem płótnem owinięte, wiórami i sianem poprzetykane, zamokły napewne; świeża farba odstanie, złoto się zetrze... nieszczęście. Miałże stać darmo i przypatrywać się, jak inni pracują? Inni, obcy ludzie, co ani wiedzą, jaki tam cudny

archanioł Michał z mieczem ognistym, albo Gabryel z lilii gałązką... Choć podźwignąć, choć na suchym lodzie zeprzeć... Schylił się, namacał kant paki pod lodem, ujął go silnie, szarpnął, i wpadł głową naprzód do wody. Gdyby nie Błażej, który go w tej samej chwili za połę od kożucha pochwycił, byłby niechybnie poszedł na dno; a tak, tylko czoło zakrwawił o śpiczasty odłam lodu, łyknął zimnej wody więcej, niżby chciał i przemokł do nitki. Poczciwy Błażej zatulił go we własną opończę i na rękach zaniósł do ciepłej izby w chałupie wójta.

Parobcy wynieśli obie paki z pomocą Stanka i Jurka na brzeg, sanie cofnięto na twarde miejsce, i ostrożnie doprowadzono na drugą stronę. Po tej ciężkiej robocie, zaprosił wójt podróżnych i całą młodzież, co się tak dzielnie spisała, do siebie na poczęstunek.

Nawet Wawrzusiowa przygoda zakończyła się całkiem pomyślnie, bo tylko guzem na czole. Wieczór spędzili podróżni na gawędzie z wójtem, który słuchał ciekawie opowiadań o Krakowie, o wspaniałościach dworu królewskiego i o wiezionym do Wilna ołtarzu, na ofiarę za zdrowie królewicza. Nocleg pokrzepił wszystkich, i nazajutrz rano, podziękowawszy gorąco za ratunek i gościnność, ruszono wprost już do Białegostoku na obiad.

Aż tu w drodze pokazało się, że jeden z koni przy załamaniu otarł sobie nogę do krwi, spuchła mu i kulał porządnie. A Wawrzuś rano jeszcze zdrów i wesół, ku południowi zaczął narzekać na głowę, chwyciły go dreszcze, wczorajsza kąpiel dziś dopiero dawała się we znaki.

Z kulawym koniem i chorym chłopcem, nie docierali już do samego miasta; radzi wjechali do pierwszej lepszej gospody, jaka im się tuż przy rogatkach nawinęła. Karczmarka usłała Wawrzusiowi wygodne spanie na przypiecku; ciągle narzekał na głowę, gorączka go rozbierała. To drzemał, to się budził, to jakby rozmawiał, śmiał się, to stękał i znowu usypiał, by za chwilę zerwać się z krzykiem.

Poleciwszy go opiece gospodyni, Błażej poszedł opatrzyć konia, a Stanko z Jurkiem wybiegli po obiedzie na miasto.

Chory chłopak uspokajał się zwolna, gorączka ustępowała, usnął twardo i smacznie.

Obudził się przytomny i trochę rzeźwiejszy; powiódł zdziwionym wzrokiem po izbie, jakoś nie mógł sobie przypomnieć, zkąd się tu wziął i dlaczego leży za piecem. Spostrzegł siedzącego przy stole człowieka w grubym kubraku, przepasanego skórzanym pasem; zajadał smacznie jajecznicę z kiełbasą. Karczmarka przyniosła mu dzbanek piwa, popił, otarł olbrzymie wąsy i odsapnął z zadowoleniem.

Gospodyni wyszła do piekarni, a gość wstał z ławy, przeciągnął się, ziewnął i wyjrzał do sieni. Zaklął w sto dyabłów, splunął i usiadł napowrót. Coś go musiało niecierpliwić, bo przytupywał nogą i bębnił palcami po stole. To wstawał, to siadał, to na ulicę wychodził, a spluwał przez zęby raz za razem.

Drzwi skrzypnęły, wszedł młody człowiek o gęstej kędzierzawej czuprynie; usiadł przy drugim stole nie patrząc w lewo, ani w prawo, i oparł głowę na rękach.

— Ij... cóż znowu za figlasy... — półgłosem rzekł starszy, widzisz przecie, że ani psa niema w izbie, możesz mówić śmiało.

— Zostanę tu — odparł młody — wejdzie kto, lepiej, że się nie znamy.

— I to racya. Gadaj, coś sprawił?

— Dużo i mało; a' *majster* niech z tego kleci, co zdoli.

— No, Bystry, nie marudź. Otwórz kłódkę.

— Otwieram, a i tak nic nie będziesz wiedział. Słuchaj. Jedzie ich dwóch ze Lwowa; Ormiany są. Jeden kobierce z Persyi wiezie, makaty złotem przerabiane, balsamy i wonności wschodnie. Jest tego bryka wyładowana, cztery konie ją ciągną, piąty przodem doprzężony, hajduczek na nim. Drugi kupiec zasię, ino dwie skrzynki ma na tymże wozie, ale w nich perły i wszelakie najdroższe kamienie; jedna ich garść starczy za tamto wszystko.

— Jakoż trza rozumieć te kręte słowa „dużo i mało“? Dwie skrzynie klejnotów, jeszcze ci nie dosyć?

— Mądry odgadnie snadnie, głupiemu na myśl nie wpadnie.

— Miejże se uciechę, żem głupi, a gadaj wyraźnie, bez przypowiastek.

— Oj, Kudraś, Kudraś, wstydno mi za cię! Gdybyś był kupcem, a jechał na kraj świata z bryką pełną drogości, nie przysposobiłbyś wszystkiego, co ino można, ku obronie swych towarów, hę?

— Teraz mi świta...

— Po dwóch stronach bryki, z kuszami łuczniki; tedy se porachuj: dwóch kupców, hajduk i woźnica, czterech pachołów, to razem ludzi osiem; i mieczyki zacne mają u boku, dobrzem się przypatrzył.

— Prawda twoja. Ciekawość, co *majster* na to?

— Gdyby nas zarówno było, aniby mrugnął; ale ich ośmiu, nas pięciu, trochę kuso.

— Czy tak, czy owak, z odpowieścią biegaj. A wspomnij i o tem, że jakiś wóz od Krakowa z dwiema pakami jedzie; trzech ludzi i malec, pół dziecko. Nie zabacz powiedzieć, że tych *ja* zwietrzyłem.

— Nie omieszkam, nie omieszkam — odparł Bystry, szyderczo się uśmiechając. — A co w tych pakach?

— Czort wie, nie ja.

— Do piekła za daleko, ja ci powiem: w pakach figury drewniane, święte kukły malowane, wiezie do Wilna, dla królewicza Kazimierza, czeladź z warsztatu mistrza Wita.

Kudraś splunął ze złością.

— Takem się radował, że choć ten jeden raz mi się udało.

— Nie frasujcie się kumoter; — pocieszał go Bystry; jeden ma w głowie, drugi ma w rękach. Jak przyjdzie grzmocić, twój jeden palec więcej wart, niż moje obie pięści. No, komu w drogę, temu czas, idę w las; a ty, jako *majster* przykazał, staw się jutro rano pod trzema dębami.

Młody wyszedł, starszy został jeszcze z godzinę, a Wawrzuś wiązał w myśli zrozumiałe i niezrozumiałe słowa tych dziwnych ludzi, którzy niby się sprzeczali, niby żartowali, a których mowa przejmowała go strachem, sam nie wiedział dlaczego.

Pod wieczór, zeszła się czeladź pana Wita w izbie gospodniej i Wawrzuś, któremu z całej choroby już tylko katar pozostał, opowiadał szczegółowo wszystko, co widział i słyszał.

— Abo to zbóje i rzezimieszki — zawyrokował stary Błażej, alboś chłopcze miał ciężką gorączkę i wszystko ci się ino śniło.

— Sam nie wiem. Do tej pory w głowie mi się zawraca; może mi się i śniło.

Tupotanie koni, dzwonki przy saniach, gwar głosów, zwrócił ich uwagę. Po chwili drzwi się otwarły i ktoś odezwał się od progа:

— Niech będzie pochwalony...

Odpowiedzieli „na wieki".

— Stanko... widzisz ty? Żydy... A Pana Jezusa chwalą?... Chyba chrzcone? A to ci nochale mają, aż ku brodzie, włosiska czarne, kręte...

— Cicho, smyku... gotowi cię usłyszeć. Chrześcijanie to są, katoliki porządne, i dobre ludzie. Z ormiańskiego narodu pochodzą.

— Aha, a Błażej gadali, że mi się śniło. To pewnikiem oni kupcowie ze Lwowa.

— Zaraz się to wykryje — rzekł Stanko.

Nastąpiło wzajemne poznanie, kazano sobie podać przy jednym stole wieczerzę, i w pogawędce, zkąd kto jedzie, i w jakiej sprawie, pokazało się, że tak było co do joty jak opowiadał Wawrzuś.

— Łaska Boska — rzekł starszy z kupców — że jesteśmy tak zawczasu powiadomieni; trza się mieć srodze na baczności.

Umówiono się, że nazajutrz rano, wyjadą wszyscy razem, bo im więcej rąk do obrony, tem bezpieczniej.

Ledwie szarzało, co w lutym oznacza mniej więcej szóstą godzinę, ruszyła karawana:



Mam cię!... — zachrypiało mu nad uchem (str. 243).

(H. ż. Ciż.)

kupcy ze zbrojnymi pachołkami przodem, bryka mistrza Wita tuż za nimi. Droga była niezła z początku, bo mrozik przytrzymał sannę, wypoczęte konie szły żywo i parskały wesoło, a furmani za każdym razem odpowiadali „na zdrowie!“

— Kuźnicki bór — rzekł jeden z pachołków, pod Bielskiem donajęty — tutaj trzeba dawać pozór; niejeden się tu już z *majstrem* czyli z *hetmanem* spotkał.

— Czemuż starosta nie zrobi obławy, kiedy wie, że w tym lesie zbójcy grasują? — spytał kupiec.

— Nie raz, i nie dziesięć my ich szukali — odpowiedział chłop — ino zimny popiół z ogniska i poogryzane zajęcze kostki po nich najdowali; a psie syny pod Białowieżą dokazowały. Dalejże za nimi, oho... ani znaku, poszli w pińskie błota i rób co chcesz.

— No... ale też tu wertepy mają... czort ich bierz — zaklął Błażej. Zleźcie chłopcy z wozu i podpierajcie drągami; lada chwila się wywali.

Bryka ormiańskich kupców jeszcze bardziej się chyliła; cała lewa strona wąwozu podmyta spływającymi deszczowymi strumykami, o jakie dwie stopy niższa była od prawej.

— A możeby nam w tę leśną dróżkę się obrócić? Tam niema wybojów... — spytał któryś.

— Jedziemy do Grodna, nie do Świsłoczy, — odparł parobek krótko.

— Oho, cóż to za koń przy drodze uwiązany? — zawołał Wawrzuś.

— Gdzie, gdzie?

— A ot, tam wyżej, na lewo.

Wszyscy mimowoli zwrócili głowy w tę stronę, a to był właśnie fortel sławnego *majstra*, bo jak na komendę, w tejże chwili, z przeciwnej strony lasu wybiegło pięciu ludzi zbrojnych w noże i siekiery, prosto na brykę z towarami.

Wawrzuś rozpoznał odrazu Bystrego i Kudrasia; tak był oszołomiony z przerażenia, że w pierwszej chwili nie rozumiał nawet rozkazu Błażeja.

— Trzymaj konie mocno, bo się strachają!

Przytomny woźnica rzucił mu łejce, poskoczył kupcom na pomoc, Stanko i Jurek za nim.

Nie było czasu, ni miejsca naciągać kusze; parobcy porwali za mieczyki, rzezimieszki wywrócili z łatwością sanie do rowu, tłomoki się rozsypały, dowódzca krzyknął ostro:

— Ino te dwie skrzynie żelazne chwytać i w las! — Sam zaś widząc nadbiegające posiłki, wskoczył na koń i stanął, tamując im przejście. — Ani kroku, bo siekierą w łeb!

Wawrzusiowi aż w oczach pociemniało... *Majster* zbójecki, to pielgrzym-świętokradzca,

to Czarny Rafał z pod Nowej Bramy! Nieprzytomny ze strachu, wypuścił z rąk wodze, konie spłoszone krzykiem, jęły wierzgać i dęba stawać. Równocześnie jeden z kupców porwawszy żelazną szkatułkę, uciekał z nią poza sanie rzeźbiarzy. W skok za nim pędził Bystry i z krzykiem już go dopadał, gdy Wawrzuś oburącz zdzielił go biczyskiem pomiędzy oczy i twarz mu całą zakrwawił.

Na wrzask Bystrego, *majster*, który borykał się ze Stankiem i Jurkiem, odwrócił głowę; w oczach mignęło mu coś dzikiego, poznał chłopca; lecz ten, nie tracąc chwili, rzucił się z wozu i co sił w nogach, puścił się drogą wstecz. Pielgrzym spiął konia ostrogami i gnał za nim. Chłopakowi śnieg migał pod nogami, tchu w piersiach nie czuł, niósł go szalony strach... Kopyta dudniały w ślad za nim po grudzie; nagle poczuł na karku rękę, która go porywa od ziemi, i sam nie wiedząc kiedy, znalazł się na siodle. Chciał wrzeszczeć, taż sama ręka usta mu zatkała jego własną czapką.

— Mam cię! — zachrypiało mu nad uchem. — Co inom nie wisiał z twojej łaski... rzekłem ci do widzenia... no, twoja śmierć teraz!

Stanko widział, co się dzieje... Dlaczego zbój wszystko rzucił, a porwał chłopaka?

— Rany Chrysta! — krzyk mu się wyrwał z piersi... chwycił kuszę z rąk pachołka, na-

ciągnął, strzała świsnęła, koń *majstra* ugodzony w kolano, dał szczupaka i zwalił się na ziemię.

Wawrzuś pierwszy się zerwał i byłby umknął szczęśliwie, gdy wtem straszny nieprzyjaciel leżąc jeszcze na ziemi, szarpnął go za nogę. Chłopiec runął jak długi. Wydzierającego się i kopiącego nogami, w jednej chwili obezwładniły potężne dłonie i tuż nad sobą ujrzał pochyloną ohydną, dziką twarz, z nożem w zębach... Jedno mgnienie oka, nóż błysnął w powietrzu, w zaciśniętej pięści zbrodniarza. Chłopak ostatnim wysiłkiem wyrwał jedną rękę i podstawił ją pod cios śmiertelny. Żelazo wbiło się w ramię. Zbój syknął bezecne przekleństwo, wyrwał nóż z rany i zamierzył się po raz drugi...

— Matko Boska z matusinego obrazka... — przemknęło błagalnie Wawrzusiowi przez głowę... zmrużył oczy...

Co?... Nie zabija?... Puścił?... Ręce wolne?...

Otwarł oczy zdumione.

Na karku *majstra* przysiadł Stanko, i z garści nóż mu wydzierał. Mocowali się rozpaczliwie. Zbój od Stanka silniejszy, lewą chwycił go za włosy, prawą usiłował zadać mu pchnięcie. Wawrzuś poskoczył jak żbik raniony i pielgrzymowi zęby wpił w rękę. Ukąszony puścił Stanka i uderzeniem kolana powalił

chłopca. Wawrzuś potoczył się i padł bez zmysłów. Ale Stanko zdołał tymczasem nóż wyłamać z garści mordercy.

Majster bezbronny, widząc, że Jurek z Błażejem nadbiegają na pomoc, pomknął z nieopisaną szybkością i znikł w gęstwinie. Stanko zawahał się: ścigać — czy ratować chłopca? Spojrzał... leży na śniegu blady... krwią zalany... martwy. Czy dycha jeszcze? Z trudem docucił się malca, nacierając go i zwilżając mu skronie.

Niebawem nadciągnęli z lasu woźnica z Jurkiem po nieudałym pościgu...

Przez ten czas kupcy i zbrojna ich czeladź, po zaciętej walce zdołali wziąć górę nad hultajstwem pozbawionem wodza; zwłaszcza, że Bystry, najzmyślniejszy z opryszków, niezdolny był do boju, nawpół oślepiony biczyskiem Wawrzusia. A że mocarny Kudraś dostał także mieczykiem przez ramię, przeto pierzchli na lasy i bory, unosząc jednego z kamratów z przetrąconą golenią.

Długo jeszcze trwało, zanim podróżni puścili się w dalszą drogę. Obalony wóz musiano stawiać i naprawiać; wiązać uprząż potarganą, ładować rozrzucone tłomoki, w których na szczęście nic nie brakowało. Słudzy kupieccy opatrywali sobie nawzajem cięższe i lżejsze rany, a Wawrzusia złożyli towarzysze

na wóz, umościwszy mu wygodne legowisko na sianie.

Po tej strasznej przygodzie gładko już przeszły dalsze dni drogi, przez Grodno, Olkieniki, do Wilna.

Rana Wawrzusia, acz bardzo bolesna, nie była niebezpieczną; zapuchło mu wprawdzie całe ramię, ale na szczęście nie wdała się gorączka. Chłopczyna zarzucany pytaniami, zrazu bezładnie, potem od początku do końca rozpowiadać musiał towarzyszom podróży całą swoją historyę z tajemniczym pielgrzymem. Mówił o świętokradztwie, o spotkaniu w Krakowie podczas „konika zwierzynieckiego“, o pościgu do Nowej Bramy. Całymi dniami był *majster* niewyczerpanym przedmiotem ich rozmów. Zachodzili w głowę, czy bardziej zemsta, czy chęć sprzątnięcia niebezpiecznego świadka, kierowała zbrodniarzem.

Dnia drugiego marca przed samym zachodem słońca, oba wozy wjeżdżały do Wilna. Starszy kupiec drzemał otuliwszy się w kożuch, młody przysiadł się na sanie do Stanka, i rozpowiadał chłopakom o dalekich krajach i miastach, które zwiedzał w swych podróżach handlowych.

— W Wilnie też pewno nie pierwszy raz jesteście? — spytał młody Stwosz.

— Już czwarty — odparł kupiec. Dobry targ, zwłaszcza na bławaty i bisiory; niewia-

sty, jako wszędzie, tak i tutaj, strój lubią, a na targowicy wileńskiej ino powszednie sukna i chłopskie samodziały przedają. Widzieliście, co wiozę, za tydzień wszystko pójdzie między ludzi.

— A to co za kopuły, tak jaskrawo pomalowane i wyzłacane? — zadziwił się Wawrzuś. Po trzy, po cztery w kupce, chyba nie kościoły? Takich nawet w Krakowie niema.

— A bo to widzisz, we wschodniej stronie miasta mieszkają Rusini, i tu mają swoje cerkwie. Wzdłuż Wilii zasię, ku zachodowi i północy, katolicka dzielnica. Tam i my zdążamy. Kupcy mają tam targowy dom, gdzie się z towarami zajeżdża.

— A na gród kędy?

— Dwie rzeki pod Wilnem się łączą: Wilna i Wilia. W samych tedy widłach, które tworzy ujście Wilny, wznosi się góra, nazwana Turza. Na niej zbudował jeszcze kniaź Gedymin twierdzę obronną, ale na mieszkanie ona niedogodna, więc u stóp góry mają drugi zamek, raczej pałac, tam królewicza najdziecie. Złazę już, bo się nasza droga rozchodzi, wy na gród, a my do targowego dworca.

— Jedźcie zdrowo, dobrego zysku!

— Zdrowia nawzajem!

Popytawszy jeszcze przechodniów, za kwadrans zatrzymali się nasi podróżni u bramy Niżnego zamku. Był to gmach olbrzymi, dwu-

piętrowy, uwieńczony zębatymi blankami, ponad które sterczały czworoboczne baszty.

Powitali odźwiernego Boskiem słowem; spojrzał na sanie badawczo.

— Z dalekiego kraju... prawda? Mowa odmienna, ubiór odmienny, zaprząg odmienny...

— Z Krakowa — odpowiedział Stanko — do samego królewicza sprawę mamy.

— Wolno, wolno, czemu nie; — rzekł odźwierny, kiwając głową smutnie — ino was nie dopuszczą. *Kniaź chocze uże umeraty.*

— Wiemy, że ciężko chory, to też pierwej z panem Świrenkowiczem radzibyśmy się widzieć.

— A ot, właśnie przez dziedziniec idzie; podejdźcie k'niemu.

Stary dworzanin ujrzawszy ich, rozkrzyżował ręce i łzy mu nabiegły do oczu.

— Dziękujęż ja Tobie, Panie Wszechmogący! Tak się kniaź biednieńki pyta i dopomina, aż serce żałość uciska, nie mogąc chorego pocieszyć. Ołtarz gotowy? Dawajcie! Kniaź jeszcze nie śpi.

— Prosimy waszą wielmożność choć o dwa dni zwłoki; — odparł Stanko. Szafę trza zbić i pomalować. Przydałaby się izba obszerna, i suche deski bukowe.

— Tego momentu wszystko dostaniecie, i sypialnię z wszelką wygodą wam obmyślę; ino jak wam kniaź Kazimierz miły... duchem,

duchem! Niechby raz jeden pomodlił się Panu Bogu przed upragnionym ołtarzem.

— Dzień i noc będziemy robić, za trzy dni zdążymy.

Nazajutrz rano, niezwykłe w pałacu odgłosy zbudziły królewicza. Jakkolwiek mieszkalne jego komnaty znajdowały się w głównej części zamku, a pan Świrenkowicz umieścił robotników w lewem skrzydle, jednak, do drażliwych uszu chorego dolatywało coś, niby stukanie, jakieś zgrzyty, jakieś kroki po korytarzu.

Zadzwonił. Wszedł paź. Królewicz spytał słabym głosem nie podnosząc głowy od poduszki:

— Co się tam dzieje?

— Nie wiem, o co raczycie pytać, miłościwy kniaziu — odpowiedziało pacholę.

— Jakieś szmery... uderzenia młotem... co to jest?

— Robotnicy deski piłują i heblują; miłościwy kniaziu.

— Na co?

— Szafę robią na ołtarz do waszej kaplicy.

Woskowoblade lica księcia zabarwiły się lekkim rumieńcem; otworzył oczy szeroko, z wyrazem dziecinnego rozradowania.

— Co? Przyjechali z Krakowa?

— Tak jest. Wczoraj wieczorem.

— Przecz Świrenkowicz nie zawiadomił mię o tem?

— Czeka w antykamerze waszego przebudzenia, miłościwy kniaziu.

— Niech wejdzie... albo nie... chcę wstać.

— Miłościwy...

— Wstanę; zdrowszy dziś jestem; wołaj Wincka, pomóżcie mi się odziać... lektyka!

Stanko z Jurkiem gnani serdeczną chęcią sprawienia ostatniej może uciechy umierającemu, uwijali się i pracowali za czterech. Wawrzuś niemocny jeszcze, rozpakowywał wyjęte ze skrzyni posążki; przecinał sznury, odwijał płótno, i stawiał na boku figury, otrzepawszy je miękką szmatką z kurzu. Przymusowa kąpiel w Narwi nie sprawiła na szczęście większej szkody: jednemu aniołkowi farba z nóżki oblazła, i miecz świętego Michała przyczerniał od wody, ale to były drobnostki, nawet Wawrzuś mógł temu zaradzić, a farba i złoto było naturalnie pod ręką.

Ktoś drzwi szarpnął z pośpiechem, wpadł paź wymachując rękoma.

— Cicho... zaprzestać roboty... odmieść trochę wiórów, cobym miał gdzie zydel ustawić... królewic!

Rzucili się uprzątnąć trzaski, paź wsunął krzesło z poręczami, ze wszech stron poduszkami wyłożone, po małej chwilce wszedł Świ-

renkowicz, otwarto podwoje, czterech ludzi wniosło ostrożnie lektykę do izby i ustawili ją na podłodze.

Jeden z dworzan objął królewicza wpół, drugi pod ramię — stanął.

Dużego był wzrostu, a wychudzony do ostatnich granic chorobą, wydawał się jeszcze wyższym. Ciemne włosy nosił dość długo, opadały mu do ramion; czoło szerokie, szlachetne, a pod owalnie zarysowanemi brwiami, jarzyły się gorączką cudne, czarne oczy. Cała dusza świętego królewicza mieszkała w tych mądrych, słodkich, miłosiernych oczach. Nos trochę zadługi i wysunięta dolna warga Habsburgów, czyniły nieco ujmy w jego urodzie.

Snycerze stali pokornie na boku, czekając, aż raczy przemówić, a Wawrzuś schowany za skrzydłami Anioła Gabryela, wpatrywał się w bladą jak opłatek twarz księcia.

— Posadźcie mnie, znużonym jest — rzekł Kazimierz cicho.

Powiódł oczyma po izbie.

— Gdzież są te święte wizerunki? Może jeszcze nie cale gotowe?

— Owszem, najmiłościwszy królewicu — odpowiedział Stanko, przystępując i chyląc mu się do kolan — wszystko zrobione, ino ustawić i umocować. Wawrzuś, przynieś świętą Panienkę! To jest główny obraz, proszę waszej książęcej miłości; własna robota mego rodzica.

Kazimierz oparł łokieć na poręczy krzesła, a policzek na dłoni, i patrzył długo w milczeniu. Błogi uśmiech rozjaśnił jego twarz zmęczoną, rzeczywiście wydawał się jakby zdrowszy. Czeladnicy podsunęli figury dwóch Archaniołów, a Wawrzuś stanął o krok od księcia, ze skrzydlatem maleństwem na rękach. Królewicz patrzał i chwalił, a wciąż powracał wzrokiem do statuy Matki Boskiej.

Wawrzuś zakaszlał się srodze i naturalnie dopiął celu.

— A... jeszcze coś więcej? Mniemałem, że ino te trzy posągi mają być w ołtarzu.

— W środkowej części, nad głową Matki Boskiej unosić się będzie sześć aniołków — objaśnił Stanko.

— Słusznie... słusznie... jakoż mogłoby być inaczej! Regina angelorum... tak właśnie będzie najlepiej. Przybliż się pacholiku, pokaż... Gębusia mileńka, oczka patrzą, gdyby nie skrzydełka, rzekłbyś niemowlątko żywe.

— Tego... ja rzezałem — wyszeptał Wawrzuś zająkliwie.

— Jakoż to być może? — królewicz spojrzał pytająco na Stanka.

— Prawdę gada, miłościwy książe. Rodzic mój, najlepszym swym uczniem go mieni.

— I u Boga w łasce być musisz, skoro cię tak szczodrze obdarował. Uciechę mi wielką

sprawiłeś. Proszę was — dodał, zwracając się do czeladników — umocujcie tę właśnie figurkę w samym środku, abym ją dobrze widział. A tu masz parę złotych pieniążków; kup sobie co, abyś i ty miał pamiątkę odemnie.

Chłopiec objął królewicza za nogi i nie wiedząc jak dziękować, rozpłakał się.

Wychudła ręka pogłaskała go pieszczotliwie.

— Cóż za ciężkie smutki? Co ci dolega?

— Nic... nic... takiście dobry!

— Ale gdzietam! zdaje ci się ino; — zaprzeczył królewicz rozweselony. — Nie jestem wcale dobry; nawet w tej chwili popełniam grzech ciekawości... przyznaj mi się, powiedz, co sobie kupisz za te pieniądze?

Chłopiec spuszczał oczy, to znów podnosił je, szukając czegoś na powale, przygryzał dolną wargę, a wciąż obracał dukaty w palcach.

— Radbym wiedział, czego ci się zachciewa; no, nie bój się... powiedz, co sobie kupisz?

— Żółte ciżemki! — zapominając o szacunku dla książęcej osoby, wrzasnął Wawrzuś.

— Jak powiedziałeś? Żółte ciżemki?

— Bo... bo Margośka takie miała... i na jarmarku widziałem... i... i... strasznie mi się podobają!

— Czy takie jak moje? — To mówiąc królewicz wysunął koniec trzewika zpod ciepłej chusty okrywającej mu nogi.

— Aha, aha, takusieńkie! Już pięć lat mi w głowie siedzą.

— Tedy trzeba zrobić, coby siedziały na nogach; mam i na to rychłe lekarstwo. Janusz, biegaj do mojej sypialni, w skrzyni na samym spodzie leżą żółte ciżmy, co mi ich szewc nie utrafił, za krótkie były. Nadadzą się, tem lepiej; a nie, to poczekasz z jaki roczek, zanim ci noga podrośnie. Wincek... niech dają lektykę; bywajcie zdrowi chłopcy!

Wyciągnął ku nim rękę, ucałowali ją ze czcią i żałością. Po raz pierwszy, a może i ostatni w życiu widzieli królewicza.

Przemówił do nich jeszcze; zmęczenie głos mu rwało.

— Uczyńcie... sercem was proszę... uczyńcie... by jutro mogła się odbyć msza święta przed nowym ołtarzem.

— Według woli waszej książęcej miłości, na ósmą rano — odpowiedział Stanko; a do Jurka szepnął: — Cały dzień i cała noc przed nami, będzie gotowe.

. . . .

Dzień czwarty marca zapowiadał się pogodny i słoneczny. Ksiądz jałmużnik skończył właśnie poświęcenie ołtarza, zakrystyan zapalił sześć grubych świec w srebrnych lichtarzach,

a po dwadzieścia małych w wiszących od stropu świecznikach... Kapliczka zamkowa o wązkich gotyckich oknach, dość zazwyczaj ponura i ciemna, wyglądała dziś rano uroczyście i wesoło. Płomyki świec odbijały się stokrotnie w ognistym mieczu Michała Archanioła, w rozszerzonych jakby do lotu skrzydłach Gabryela, lśniły w koronie Matki Boskiej i Dzieciątka...

Ukryci za organkami czeladnicy teraz dopiero zrozumieli, jak pięknem jest dzieło w myśli mistrza Wita poczęte, a pracą ich rąk powołane do życia.

Przyboczny lekarz księcia wszedł śpiesznym krokiem do zakrystyi.

— Wasza wielebność zechce pomówić z jego książęcą miłością; od północy nic w ustach nie miał; serce milknie, duszność go dławi, głosu prawie dobyć nie może... niechby choć małmazyi kubeczek na wzmocnienie.

— Właśnie od północy do tej pory siedziałem przy jego łożu; — odpowiedział ksiądz — zaklinam i błagam, by się choć odrobinę posilił; Ciało Pańskie i tak mu przy mszy podam, choremu wszystko wolno. Ani sobie mówić nie pozwolił. Upiera się, że jest o wiele rzeźwiejszy, niż wczoraj, uniósł się nawet wkońcu i milczeć mi kazał. Prawda, że w tej samej chwili płacząc swej porywczości żałował,

ale... wybaczcie wasza miłość, już mu dam spokój.

— Pośpieszcie ze mszą przynajmniej, a ja w zakrystyi przysposobię kordyały.

Wbiegł pan Swirenkowicz.

— Kniazia niosą!

— Już ubrany jestem — odparł ksiądz. — Z wejściem kniazia nabożeństwo rozpoczynam.

U drzwi zatrzymała się lektyka i niesiony niemal przez dwóch silnych dworzan, wszedł Kazimierz do kaplicy. Posadzono go naprzeciw ołtarza w takiem samem wygodnem krześle, jak wczoraj. Szepnął coś paziowi do ucha, ten zarumienił się, zawahał, lecz na rozkazujący ruch głowy królewicza, pobiegł do zakrystyi i wyniósł klęcznik, który postawił u stóp chorego.

Rozpoczęła się msza święta. Pan Świrenkowicz stał tuż przy umiłowanym kniaziu, baczny na każde skinienie. Cienie śmierci słały się już coraz wyraźniej na twarzy księcia; zapadłe oczy traciły blask chwilami, i jakby mgłą zachodziły. Na skroniach szarzały ziemiste plamy. Mimo śmiertelnego osłabienia modlił się gorąco i z rozkoszą utkwił gasnące oczy w obliczu Królowej Aniołów; bezsilne usta szeptały słowa hymnu, który codzień kilkakrotnie od lat wielu odmawiał:

Omni die dic Mariae,
Mea laudes anima.....

Podczas Ewangelii kazał się dźwignąć i stał z opadającą na piersi głową. Przed samem podniesieniem zesunął się na kolana...

Lekarz i Świrenkowicz uklękli przy nim i błagali go na miłość Boską, by usiadł. Spojrzał na nich surowo:

— Ja marny proch, grzesznik nędzny, mam się rozpierać wygodnie, gdy mój Pan z nieba zstępuje? Usuńcie się precz... dręczycie mnie.

Pochylił czoło w kornym pokłonie, oczy się zawarły... zemdlał. Bezwładnego posadzono na krześle i cucono...

Ksiądz odwrócił się twarzą ku zgromadzonym, trzymając puszkę z Przenajświętszym Sakramentem i schodził powoli ze stopni.

— Ecce agnus Dei...

Królewicz spojrzał przytomnie; radość niebiańska rozpromieniła twarz jego przedziwnym blaskiem...

— Nie jestem godzien, abyś...

— Niech strzeże duszy twojej do żywota wiecznego... — szeptał ksiądz, podając mu Komunię św.

W tej chwili zabrzmiały organy i dworzanie, jak to co dzień na życzenie księcia pod koniec mszy czynili, zaczęli chórem jego hymn ulubiony:

Już od rana
Rozśpiewana,
Chwal o duszo Maryę.

Cześć Jej świątkom
I pamiątkom,
Co dzień w niebo niech bije!

Cud bo żywy,
Na podziwy,
Jej wielmożność u Boga,

Panna czysta,
Matka Chrysta,
Przechwalebna, Przebłoga!

Kapłan odczytał ostatnią ewangelię. Idąc do zakrystyi spojrzał bacznie na królewicza, potem z przerażeniem na medyka.

Lekarz skłonił głową potakująco.

Ksiądz jałmużnik dał znak ręką dworzanom, by się uciszyli, ukląkł na stopniach ołtarza i modlił się z płaczem:

— Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki — amen.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Tajemnica dworku pod cmentarzem.

Co krakowski burmistrz kazał ogłosić pod ratuszem. — Okienko we drzwiach. — Człowiek o pięciu imionach. — Kto pod kim dołki kopie. — Naco się zdała ciężka beczka. — Przez mur cmentarny.

— Jasiek... Jasiek... stój! Gdzie lecisz?

— Wawrzuś! Jak mi Bóg miły, myślałem, żeś umarł!

— Mogłeś tak samo umrzeć i ty; com się nałaził wedle waszej chałupy i onego cmentarza, to strach.

— A com ja się ciebie naczekał w każdą niedzielę!

— Aha, czekałeś ta, gadaj zdrów; drzwi na kłódkę, okiennice zaparte.

— Juści. Przecieżem ci gadał na wyrozumienie, że skoro pan wyjeżdża, wszystko na moc zamyka; ino kuchenkę od podwórza wolną zostawia, i tam po całych dniach siedzę. Czemużeś we drzwi nie walił? Byłbym usłyszał

i z tamtej strony cię wpuścił przez furtkę w parkanie. Tyle niedziel, tyle niedziel...

— Ij... cobyśmy lamencili po próżnicy; dobrze się stało, żeśmy się dziś spotkali, to się już tak umówimy, że nie będzie bałamuctwa. Gdzie idziesz?

— Na Kleparz do zajazdu. Już czwarty dzień stary mnie tam pędza, kupca jakiegoś pilno wyczekuje. Ów go zawiadomił przez wędrownego Słowaka, czy cygana, że w tych dniach będzie w Krakowie i pod Czerwonym koniem zamieszka. Widno kumoter z jednego cechu, mają ze sobą sprawki. Tak mnie też posyła i posyła, nie może się doczekać. A ty gdzie?

— Ja po złoto do mistrza Macieja, brata panowego.

— To mistrz Wit mają tu brata?

— Jakże; starszy cechu złotników; z jego córką nasz Stanko żeni się niebawiem. Słyszysz ty? Cóż tam za krzyki?

— Aha... w bęben biją!

— Ludzie biegną ku ratuszowi... już wiem, wiem, pewno zgubę jaką wielką obwołują, albo jakie zarządzenie lub rozkaz pana burmistrzowy.

— Chodźmy i my posłuchać!

Pod wieżą ratuszową była niewielka przystawka, o trzech kamiennych arkadach i schodkach, przed którymi leżały dwa rzeźbione

lewki. Teraz gmach ratusza, przystawkę i schodki, otaczał zbity tłum ludzi; na schodach sługa miejski bił co siły w taraban, chwilami zupełnie przestając. Ciągle napływały nowe gromady, przechodnie biegli z ulic ku rynkowi i stawali przed ratuszem. Wawrzuś i Jasiek przepychali się przez ścisk i znaleźli się niebawem przy jednym z kamiennych lewków. Pod arkadami przystawki stanął mąż poważny, z siwiejącą brodą.

— Znaczny pan jakiś; podwójci, czy co? — szepnął Jasiek w ucho Wawrzusiowi.

— Cicho, cicho — mruknął Wawrzuś — będzie cosik czytał.

Urzędnik miejski zwiniętym w rulon papierem dał znak by uciszyć wrzawę, poczem rozwinąwszy pismo, czytał:

„My burmistrz, konsulowie i rajcy świetniego królewskiego miasta Krakowa, na polecenie urzędu starościńskiego ogłaszamy wszem, wobec i każdemu z osobna, uniwersał niniejszy:

Zbrodzień bezecny, niewiadomego miana, zwany *Czarny Rafał*, vulgo *Majster*, alias *Wojewoda*, alias *Piskorz*, grasujący *armata manu* po różnych ziemiach tego najjaśniejszego królestwa, oraz po krajach litewskich; czyniący łupiestwa, grabieże, mężobójstwa, po gospodach, drogach i lasach, podan jest zaocznie wyrokiem sądowym na karę pręgierza i śmierci szubienicznej, gdziekolwiek, w Koronie, czy

w Litwie pojman będzie. Który *recente* w Trockiem województwie, w lesiech między Białymstokiem a Kuźnicą, na kupce Ormiany ze Lwowa jadące do Wilna, z hultajstwem swojem z zasadzki wyskoczył, pachołki onych poranił, towar ich odbić usiłował, tak że mu się ledwie obronić zdolili. Zaczem starościńską siłą zbrojną ścigan, przepadł bez wieści.

Ktobykolwiek jego ukrycie urzędom królewskim, czy miejskim wiadomem uczynił, w nagrodę czerwonych złotych dwadzieścia, ktoby go zasię żywym, czy umarłym, onymże urzędom wydał, czerwonych złotych pięćdziesiąt otrzyma. Który, choćby spólnikiem łotra tamtego być się okazał, byle jeno krwie ludzkiej na rękach jego nie było, wszelakiej kaźni wolen będzie, niemniej i nagroda wyliczoną mu zostanie".

— Ano, przyjdzie łotrowi na koniec; ino kto go złapie? Wawrzek... a tyś co tak oczy wytrzeszczył? No, trzymaj, bo ci na bruk wypadną. Żal ci zbója, czy co takiego? Ruszże się, gadaj... a może cię kto urzekł? Stoi jak ten kamień...

Wawrzuś zamrugał oczyma, jakby ze snu zbudzony, obejrzał się bojaźliwie i szepnął Jaśkowi do ucha:

— Ja go znam...

— Kogo? Tego opryszka?

— Cicho... nie krzycz... może on tu gdzie stoi niedaleko...

— Nie plótłbyś głupstw!

— Żebym ci wszystko opowiedział, tobyś zapomniał śmiechu. Pójdźmy, odprowadzę cię ku Kleparzowi, pogadamy.

Idąc Floryańską ulicą, opowiedział Wawrzuś przyjacielowi całą swoją historyę, od pierwszego spotkania z pielgrzymem w puszczy, aż do napadu w Kuźnickim lesie.

— Dzisiaj krótko, piąte przez dziesiąte napomykam, bo mi pilno wracać — kończył zatrzymując się przed bramą. — Jak się zejdziemy którego dnia spokojnie, dowiesz się więcej. Ino to najważniejsze, że ów *Majster*, a *Czarny Rafał*, a *Wojewoda*, to wszystko jeden i ten sam człowiek, mój wróg okrutny, com go w myśli zwał *Pielgrzymem*. Ach, sprawiedliwy Panie Jezu, dozwól, aby go już raz złapano, coby więcej ludzi nie krzywdził. No, a ty z twoim gospodarzem nie probowałeś skończyć? Przecie się już ciebie nie boi, niech cię puści, i tak go nie wydasz.

— Ani sposób gadać do niego; zły jakiś, jak sto dyabłów. Zresztą, nie było nawet kiedy; jak pojechał po nowym roku na Węgry, to go blisko dotychczas nie było. Jacyś ludzie łazili raz po raz popod nasze okna, widno się bał, że się jego uczynki wydały, więc dał nura

na kilka tygodni. Teraz niby wrócił, ale nosa za drzwi nie wystawia, umartego udaje.

— A tyś co robił, jak go nie było?

— Pomyśl ino, grosza mi na życie nie zostawił. „Zarób se“, powiada, „będziesz miał co jeść“.

— Ano, bo i prawda; próżnować grzech wielki.

— Ino niech wasza wielebność, ojcze kaznodziejo wyrozumie, jaką to robotę Hincz Bartnik swojemu słudze doradza...

— I tyś go słuchał? Znowu kradłeś?

— Niech jutra nie doczekam, jeżelim aby jedną nitkę komu wziął! Od tego dnia w kościele... Jak Boga najświętszego miłuję! Wawrzuś, ty mi wierzysz?

— Wierzę.

— Chodziłem od domu do domu, od zajazdu do zajazdu, rąbałem drwa, nosiłem wodę, dźwigałem wory z mąką piekarzom. Co pod ręce popadło, niczegom nie minął, ino tego... co wiesz... tego nigdy. Pan przyjechał i plecy mi zerznął w porządku, że jednego grosza dla siebie z mojej pracy nie dostał.

— Biegnijże w swoją drogę, a ja w swoją. Zmitrężyliśmy niemało czasu, dostaniemy oba po uszach... bądź zdrów.

— Czekaj, czekaj, kiedyż przyjdziesz?

— Wszystko jedno; mogę i jutro po robocie.

— A mego pana się nie bój, nie taki on straszny; cóż mu to wadzi, że czasem jakowyś kamrat zajrzy do mnie; zresztą, kręcił się będę po sieni, ino zbyrkniesz klamką, otworzę ci, pójdziemy se do kuchenki, ani cię ujrzeć nie musi. Jedno źle się składa, że odkąd z Węgier powrócił, furtkę z podwórza także zamyka i klucz w kieszeni nosi. Będę go musiał prosić jutro, może mi da.

— No, to do widzenia! Już lecę.

Widno jeszcze było, gdy Wawrzuś dochodził do dworku Bartnika. Tatarak na mokrzadłach zaczynał się już zielenić; pierwsze kwiatki wiosenne, jaskrawo-żółte kaczeńce rozsypały się gęsto po łące św. Sebastyana, wierzby okryte puszystemi baziami i aksamitnymi kotkami, drżały poruszane wietrzykiem. Nawet cmentarzyk św. Gertrudy ze swą zaniedbaną kapliczką, nie budził takiej grozy w sercu przechodnia, bo na bezlistnych jeszcze gałęziach drzew i na ramionach pochyłych krzyżów, rozsiadały się chmary wróbli i świergotały zawzięcie, przeskakując z gałązki na gałązkę. Nizki mur cmentarny wyszczerbany w wielu miejscach, przyodział się jak mógł nikłemi trawkami; na gontowym daszku bramy zieleniły się kępki mchu.

— Przecie co wiosna, to wiosna — myślał Wawrzuś oparty łokciami na wyrwie w murze — jak też tu straszno było wtedy w zimie,

gdym chodził z Jaśkiem po łące. Straszno było, a teraz ino smutno... Och, Boże, Boże, co tu krzyżów, jeden wedle drugiego... Dlaczego tyle złych ludzi na świecie? O Matko Boska... Święci Aniołowie, dopomóżcie mi wyratować Jaśka!

Przeżegnał się, jak po pacierzu i spojrzał na niebo.

— Zciemnia się, pójdę; on tam już pewno w sieni nasłuchuje. Zanicbym tu nie mieszkał; domosko w ziemię wpadłe, cmentarz pod bokiem... i to jeszcze *taki* cmentarz! Pustka przestraszna... ilem tu razy przychodził, nigdy żywego ducha.

Poruszył ostrożnie klamkę — nic. Wziął młotek wiszący na sznurku i zakołatał z cicha. Ktoś uchylił okienko w górze drzwi, światło latarni błysło chłopcu w oczy.

— Jasiek... czy to ty?

Klucz zgrzytnął, drzwi otwarły się z nagła. Wawrzuś wszedł. Łojowa świeczka w latarce postawionej na podłodze, ledwie tyle dawała światła, że można było widzieć postać wysokiego mężczyzny.

— Jaśka niema? — spytał Wawrzuś znowu.

W odpowiedzi ów ktoś obrócił klucz w zamku dwa razy i schował go do kieszeni. Zrobiło się chłopcu trochę nieswojo.

— Do Jaśka chciałbym... — powtórzył nieśmiało.

Gospodarz schylił się i podniósł latarnię na wysokość swej twarzy.

— Je... Je... Je... Jezus Maryaaa! Pielgrzym! — wrzasnął Wawrzuś nieludzkim głosem.

— Krzycz, krzycz synku; nie żałuj sobie, krzycz co sił; — z ohydnym śmiechem rzekł Bartnik; — gdybym ja był na twojem miejscu, tobym wył jak pies. Aaa! — odetchnął pełną piersią. Teraz mi jest dobrze na świecie... a cale błogo mi będzie, gdy tobie gardło poderznę. Ino ci się jeszcze muszę napatrzyć do syta, szczenię przeklęte! — Zawiesił latarnię na ścianie i wziął się pod boki. — Przysiągłem sobie tego wieczora, co mnie za twoją sprawą do miejskiego lochu zamknięto, że kropli wina nie przełknę, póki cię w moje ręce nie dostanę. Pięć lat czekam... ale za to dziś tak się spiję, aż pod ławą leżał będę, cha cha cha!

Wawrzuś milczał. Straszne wstrząśnienie przemijało, a z powracającą przytomnością budziła się naturalnie myśl obrony, ucieczki, wyrwania się z mocy dzikiego zwierza. „Za mną sień, drzwi od podwórza... mur cmentarny niski... jednym susem przeskoczę...“ Nie było czasu na długie myślenie; anuż porwie noża i zabije... uciekać... uciekać w tej chwili!

Czarny Rafał przechylił głowę na bok i wpijał w chłopca wzrok, coraz nabiegający wściekłością.

— Góra z górą się nie zejdzie, a człowiek z człowiekiem się zejdzie. Z pod kościołaś mi uciekł, na krakowskim rynku inoś mi się mignął; w Kuźnicy wierciłeś się pod moim nożem, jak robak pod butem, i wyratował cię psi syn jakowyś, bodaj z piekła nie wylazł! Dziś sprawię sobie łaźnię z krwi gorącej... cały się twoją posoką umyję... od dziś, ja Czerwony Rafał, nie Czarny! Chachacha!

Wawrzuś nie spuszczał oka z potwora i nieznacznie usuwał się wgłąb sieni. Rafał nie zauważył tego, ryczał dalej dzikim śmiechem... nagle wyciągnął ręce i rzucił się na chłopca. Lecz nie dosięgnął go, Wawrzuś bowiem równocześnie dał olbrzymiego susa wstecz i już miał wypaść na podwórze, gdy wtem zdało mu się, że ziemia się pod nim rozstępuje, wleciał w jakąś czeluść... i zemdlał.

Kiedy się ocknął, poczuł ból w kolanie, i ręka zadrapana do krwi piekła go trochę. Pomacał dokoła siebie: futra, tkaniny grube... powietrze zalatywało stęchlizną.

— Wpadłem do jakiegoś lochu; — pomyślał — dlaczegoż ten okrutnik nie zabił mnie jeszcze? Ciemno, cicho... a może on tu jest w kącie i czeka mego zbudzenia?... Przycisnął usta rękoma, by oddechu nie było sły-

chać. — Zamało mu uciechy pchnąć nożem zemdlałego; chce się najeść mego strachu, mego krzyku, będzie mnie żywcem na kawałki krajał... wszystką krew ze mnie wypuści... dy mówił, że... o Jezu... ani się obronić, ani uciec... A może z tego zakamarku jest jakie drugie wyjście?

Wstał powoli, bojąc się wyprostować, żeby głową o jaki mur nie uderzyć; stawiał malutkie kroki, a ręce wyciągnął przed sobą. Natrafił na jakiś schodek... drugi, trzeci, było ich z piętnaście... Jakaś zapora...

— Aha, drzwi w podłodze! Pewno były otwarte, i dlatego wpadłem; szczęściem, że na korzuchy, tom się nie potłukł... Zamknął mnie... ma zabawkę, jak kot z myszą; raduje się, że ja tu zębami dzwonię i śmierć przedemną straszna stoi.

Usiadł na przedostatnim schodku i zgięty wpół, nasłuchiwał.

— Cichusieńko... wyszedł z domu? Już wiem!... Zabrał Jaśka i wyjechał, a mnie tu w ciemnicy zostawił. Powróci za dwa tygodnie.

. . . .

— Boże, dziękiż Ci!... jakieś kroki! ktoś bliziutko drzwi otwiera... gdzie idzie? Aha... brząka kluczami, otwiera drugie, wychodzi? Nie!

— A ty darmozjadzie, trutniu jeden, gdzie się włóczysz do tej pory? — dał się słyszeć gniewny głos Czarnego Rafała.

— Posyłacie mnie tyle pędy na Kleparz, a potem się dziwujecie, że ptakiem nie wracam — odpowiedział głos Jaśka. Rano pod Czerwonego konia, wieczór pod Czerwonego konia, ile już dni łażę! Psuby się sprzykrzyło. Kupiec przyjechał, ale go niema w gospodzie.

— Ale go niema, ale go niema — szyderczo powtórzył Rafał. — Od kiedy już u mnie siedzi! Biegaj do zimnej komórki, przynieś miodu gąsiorek, tego, co w kącie na lewo. O kubkach nie zapomnij! Słyszysz?

— Abom to głuchy? Zaraz idę.

— Próżniaczysko... musiałem sam napalić w alkierzu, bo ręce grabieją.

— W kwietniu? Zimnica się wam wraca, ja temu nie winien.

— No, śpiesz się, cobyśmy nie czekali długo.

Ucichło.

— Jezu najmilejszy... gdybym go mógł przywołać... Idzie! — Drżącą z niepewności i strachu ręką, zapukał kilka razy w drzwi od piwnicy. — Jasiek... słyszysz mnie? To ja... Wawrzek...

— O rety...

Jasiek przyklęknął, schylił się i przyłożył usta do szpary.

— Na miły Bóg... cóż ty tam robisz?

— Chciał mnie zabić, uciekałem, drzwi były otwarte, wpadłem w dziurę.

— O łajdak! Zamknął cię na kłódkę!

— Nie potrafisz otworzyć?

— Jakżeż? Klucze zawdy trzyma w kieszeni.

— Zlituj się... ratuj!

— Czekajno... dobra nasza! Abom to nadarmo na dzwoniącej kukle terminował? Niosę im napitek, źrą się tam oba z kupcem w alkierzu, aż tu słychać. Sprzątnę mu klucze, ani się opatrzy. Siedź spokojnie, zaraz wracam.

— Ach, ino się śpiesz, bo mi się serce potarga od strachu... Królowo nieba i ziemi, nie daj mi ginąć tak marnie! Siedzi i siedzi... może mu się nie udało... zbój go za rękę przyłapił... przyjdzie z nożem... o... kroki słychać... nareszcie!

Jasiek otworzył kłódkę.

— Poprzyj sobą krzynę, bo drzwi ciężkie... wyśliźnij się... o matko, gdzież ja cię schowam?... O rety... już idą! Wtul się do kąta za beczkę, przykucnij... uciekam do kuchni... może cię jako później wypuszczę.

Ledwie, że Wawrzuś połę od kożuszka ku ścianie podsunął, głosy rozmawiających zbliżyły się ku drzwiom od pierwszej izby, naprzód wyszedł kupiec, za nim Hincz Bartnik — Czar-

ny Rafał. Sprzeczali się głośno i wymachiwali rękami.

— Myślicie, że ja kuję czerwone złote? — krzyczał brodaty żyd ze złością — sto dukatów za trzy sznury pereł! Śmieszno posłuchać.

— U Balcera w bogatym kramie zapłacilibyście dwa razy tyle, abo i więcej — dowodził gospodarz zachrypłym głosem.

— Sprawiedliwe słowo... idźcie se do Balcera, niech od was kupi. Piękny towar, bez przygany, ino go się przedaje w nocy, nie w dzień, i w zamkniętym alkierzu, nie w Sukiennicach.

— Ostatnie słowo?

— Dwadzieścia czerwieńców.

— Bodajeś siedem lat konał na jednym boku i skonać nie mógł, Judaszu!

— Za takie dobre życzenie, należy się jeszcze lepsze: Niech pan Bartnik ma letkie skonanie i to nie za siedem lat, ale na ten przykład za siedem dni. Dobranoc.

— Dawaj dukaty zdrajco, bierz perły.

— Nu, poco było tego hałasu? Ja wiedział, co wasza miłość bardzo zgodliwy człowiek, ino sobie czasem lubi pożartować z Abramkiem. Żebym tak zdrów był, ile ja już lat z panem Bartnikiem handluję!

— Skórę ze mnie drzesz, niewiaro jedna! Teraz się wynoś, mam ważną sprawę do załatwienia.



Stąpał powoli, świecąc sobie kagankiem... (str. 274).

Wyciągnął z bocznej kieszeni wielki, ciężki klucz, otworzył i silnem uderzeniem w plecy wyrzucił żyda za drzwi.

— Jasiek!

— Czego chcecie? — rzekł chłopak niechętnie, wychodząc z kuchni powoli i udając zaspanego.

— Przynieś mi nóż z izby sypialnej; na skrzyni leży.

— Nie pójdę... boję się... w waszej izbie straszy.

— Głupiś; zresztą, wszystko jedno, mam ich kilka i w lochu. Weź z kuchni kaganek, poświecisz mi nadół... albo nie, daj mi latarnię, sam pójdę. — I mruknął przez zęby: — mazgaj gotówby... słuchajno — mówił dalej głośno — idź zaraz na strych, przy ostatnim kominie za krokwią wisi worek nieduży, przyniesiesz mi go. No, czego stoisz?

— Takim zmęczony... jutro rano przyniosę.

— Idź mi w te pędy, bo rzemień zedrę na tobie, smyku jeden!

Nie było rady, musiał iść na strych. Szczęściem schody znajdowały się blizko drzwi od piwnicy, po drugiej stronie ściany. Poszedł. Czarny Rafał ukląkł i syknął z podziwu:

— Tysiąc dyabłów! Byłbym przysięgał, że klucze mam w kieszeni, a one przy kłódce... no, no, starzeje się człowiek, czy co!

Odłożył kłódkę na bok, z trudem dźwignął drzwi do góry i oparł je o ścianę. Stąpał powoli, świecąc sobie kagankiem.

Jasiek zawrócił czemprędzej; czupryna Wawrzusia i pałające oczy, wyrosły ponad beczkę. Starszy chłopiec dał znak ręką i zsunął się po poręczy na ziemię. Z głębi piwnicy słychać było drwiący głos Bartnika:

— Ptaszeczku, a gdzieżeś? Najdę cię, najdę, nie bój się, zakamarków tu niema; jak cię pogłaskam po gardziołku, to zaśpiewasz niczem słowik...

Szarpnęli drzwi od ściany, zapadły z trzaskiem i łomotem...

— Hej... A tam co się dzieje? — krzyknął Rafał z lochu. Jasiek, zleźno ze strychu, Jasiek!

— Rety... trzęsą mi się ręce... kluczyk się zaciął, czy co? — szepnął Jasiek, duże krople potu wystąpiły mu na czoło. Poświeć prędko... o Jezus... nie mogę... już jest!

— Czegoż te drzwi zleciały? Dźwignij trochę, ja pomogę z dołu; no, cóżeś tak zesłabł, durniu jeden?

— Matko... a jak wyważy plecami? Chłop silny, a zawiasa jedna zardzewiała.

— Przystawić czem ciężkiem — odparł Wawrzuś.

— Ha... łotry... hultaje... złodzieje! Toście sobie zadrwili ze mnie? — ryczał pod

ziemią zbój. Nie radujcie się jeszcze przed czasem... choćbyście zdolili uciec, zanim drzwi wyważę, nie skryjecie się przedemną. Mam w Krakowie dwudziestu na usługi; na jutrzejszą noc dostawią mi was obu.

— Jasiek... przepadliśmy! Wywali drzwi, jak Bóg na niebie!

Istotnie, pchane mocarnymi plecami Rafała, dębowe deski, zaczęły się jakby wzdymać, zardzewiała zawiasa chrzęściła...

— Beczka! — zawołał Jasiek.

— Ale czy ciężka?

— Nie ruszałem jej nigdy, stoi w tem miejscu odkąd tu jestem.

— Ani mi się ważcie tykać beczki! — wyło z pod ziemi.

— Dawaj zaraz!

— Nie mogę ruszyć.

Przysadzili się obaj i z trudem dotoczyli ciężar na środek drzwi. Czas już był wielki: gwoździe od zawias ruszały się.

— No... ale mi też ulżyło! — westchnął Jasiek. Jednego nie rozumiem, czego on chciał od ciebie? Pierwszy raz chłopca widzi i zaraz zabijać. Chyba cię chciał postraszyć dla śmiechu?

— Ależ Jasiek, słuchaj, kiedyżem ci miał tłomaczyć? Twój Hincz Bartnik, to mój pielgrzym, to... Czarny Rafał!

— Jezusie Nazareński! Co za szczęście, żeś wpadł do lochu!

— A juści; już leciał na mnie, jak wtedy przed laty pod kościołem.

— Chłopcy, puście... jacy wy głupi, to śmiechu warte, doprawdy! Odwalcie beczkę, drzwi otwórzcie, dy wam nic nie zrobię! — prosił więzień, śmiejąc się. Ten mały, niech se idzie spokojnie do domu; tobie by się należały baty, ale ci ten raz daruję. Stchórzyliście z głupoty, niema za co karcić tak srodze.

— Aha, gadajcie, ile wola; na nic się to nie przyda; nam życie miłe.

— Jak Boga kocham, puszczę was zdrowo!

— Ty Boga kochasz? — wrzasnął Wawrzuś, schylając się do szpary — ty Boga kochasz? A święte kielichy kto pokradł Panu Jezusowi?

— Alem oddał co do jednego.

— Chi chi chi... a to ci dobrodziej! Rzucił do rowu świętości, a gada, że oddał.

— Uciszcie się, posłuchajcie. Na moje życie przysięgam, że wam włos z głowy nie spadnie, ino mnie puśćcie! Zapomnę o wszystkiem. Daruję i tobie Jaśku, i tobie, co nawet miana twego nie znam. Skończone rachunki, ani was palcem tknę!

— A słyszeliście ogłoszenie pana burmistrzowe?

— Milion tysięcy dyabłów!

— No widzicie. Mnie ta na złotych pieniądzach nie zależy; do tej pory podarunek od królewica nietknięty w kalecie. Ino trząść się ze strachu przed wami już dłużej nie chcę, Jaśka mi pilno wyratować, i cobyście ludzisków nie rabowali i nie uśmiercali.

— Głupiś, boś młody; — łagodnie perswadował Rafał. Ino wyjdę z lochu, to wam dam po worku dukatów, że je ledwo udźwigniecie.

— Dziękujemy; nie trza nam.

— Po dwie garści drogich kamieni... dyamentów iskrzących, smaragdów zielonych jak trawa, szafirów, jak niebo w nocy, rubinów czerwonych jak krew.

— Takich jak moja, coście się w niej myć chcieli? Dziękujemy za wszystko; już darmo nie gadajcie, odchodzimy. Patrzajno, Jasiek... tu gdzie beczka stała, dziura okrągła.

— Widzicie ludzie! To on pewnikiem miał tędy drugie wyjście, abo schowek?

— Zobaczmy. Poświeć ino; nie można tak schodzić lekkomyślnie; anuż to studnia z wodą, kto go wie, na co takiej dziury potrzebował.

Zajrzeli w głąb; drabina stroma.

— Nie łaźcie tam! — krzyczał Rafał — przy samych schodach niedźwiadka trzymam na łańcuchu. Mnie ino zna... was podusi i pożre!

— O rety... — wrzasnął Jasiek i cofnął się.

— Wawrzuś parsknął śmiechem.

— Właśnie teraz pójdziemy śmiele. Nie rozumiesz, że plecie byle co, aby nas odstraszyć. Zejdźmy powoli, ja naprzód, nie boję się niedźwiedzia.

Spuścili się po drabince na dół, i szli wąziutkim niskim korytarzykiem.

— Słyszysz, jak pięściami o drzwi tłucze?

— Ojoj... drzwi na kłódkę zamknięte!

— Masz tobie! A teraz co?

— Ukręcić.

— Nieda się; za mocna.

— Ano, to wracajmy jak niepyszni.

— A nie. Kiedy się tak bał, widno jest sposób dotrzeć... aha! Jakeś piwnicę zamykał, widziałem kilka kluczy na rzemyczku.

— A prawda! To te będą.

— Skocz i przynieś.

— Z łatwością dobrali klucz i drzwi otwarli; znowu korytarz, bardzo długi, na końcu drzwi żelazem okute, z dwoma zamkami.

— Są większe klucze?

— Są.

— No, to otwieraj. Śpiżarnia, czy co?

Na ziemi, dokoła ścian, stały szklanne gąsiory i ciężkie baniate kamionki; pewno ze starem winem albo miodem. Wyżej dwie długie półki; na jednej mniejsze i większe woreczki ciasno trzema rzędami ustawione. Zaj-

rzeli do któregoś, same złote pieniądze. Na drugiej półce kilka drewnianych szkatułek. Jasiek postawił latarnię i podniósł wieko jednej skrzyneczki.

— O dla Boga świętego... to te kamienie drogie, co je nam obiecował! Phi... teraz bez pozwolenia nabierzemy se, ile dusza zapragnie.

Wawrzuś splunął z obrzydzeniem.

— Tom ja się cieszył jak głupi, żeś ty ino z musu źle robił, a w sercu poczciwość chowasz, a tobie łupy złodziejskie pachną? Bierz... kradnij... najedz się onych skarbów... znać cię nie chcę!

Przypadł twarzą do ziemi i zaniósł się płaczem.

— O Jezu, Wawrzuś! Cichaj... to nie prawda... to ino pokusa dyabelska... nie płaczże tak strasznie... bodaj te drogości smołą się rozpłynęły! Już nigdy, przenigdy, ździebełka cudzego nie tknę! Niech mnie Pan Jezus tutaj, zaraz, śmiercią skarze, jeślibym miał słowa nie dotrzymać. O Wawrzuś, Wawrzuś, ino tego nie gadaj, że mnie znać nie chcesz! Ja cię tak okrutnie miłuję.

— A ja ciebie jeszcze bardziej, dlategom płakał. Idźmy stąd; trza dać znać na strażnicę.

Idąc z powrotem, spostrzegli w korytarzu mały kuferek, którego poprzednio w pośpiechu nie zauważyli.

— A to co? Zobaczmy.

— Dziękuję Ci, Panie Boże... moja odświętna przyodziewa. Sukmanka od pana miecznika, a tu kożuch, buty, koszula, o... i pasik z trzosem, wszystko! Pozwolisz mi to zabrać?

— Dy twoje własne, uczciwie zapracowane, bierz.

— Oj, Wawrzuś... bieda...

— Jaka? Tak nam się wszystko po myśli składa, jakby Aniołowie Stróże za rękę nas wiedli.

— Ta ono prawda. Ale drzwi od ulicy na dwa spusty i na sztabę zamknione, klucz u... onego, od furtki tak samo, parkan wysoki, jeszcze i gwoździmi najeżony, którędyż się wydostaniemy z tego więzienia?

— Niechże cię głowa nie boli o takie drobiazgi! Parkan wysoki, za to mur cmentarny niski i poszczerbany; przejdziemy jak po schodkach.

— O Matko... przez cmentarz? W nocy?

— Ij... durnyś ty. Za żywota źle robili, wtedy byli straszni. Pod krzyżami cichuśko leżą, nic nam nie zrobią. Nawet koniecznie nam przejść tamtędy, bo swoich rzeczy nie możesz tu ostawić.

— Abo co?

— Abo to, że jak po zbója przyjdą, wszystkie jego sprzęty i majętności do sądu oddadzą; jakoż byś im dowiódł, które rzeczy są twoje? A tak, przerzucisz przez mur, schowasz w ja-

kim kątku, a jutro, albo pojutrze zabierzesz tobołek i mnie oddasz do przechowania, póki sobie służby nie najdziesz.

— Kto przyjmie złodziejskiego parobka! — szepnął Jasiek.

— Idź do pana miecznika, opowiedz mu wszystko, ani słówka nie zataj, przyjmie cię napowrót, zobaczysz.

Jasiek zabrał swoje zawiniątko, przeleźli z łatwością na cmentarz i szli w milczeniu ku przeciwnemu murowi.

— Coś się rucha...

— Wiatr gałęźmi rzuca.

— Coś szepce...

— Suche liście pod nogami.

— Jezus, Marya, ktoś idzie ku nam!

— Wstydź się, tchórzu! Gdzie? kto idzie?

— O... tam od kapliczki...

— Stańże spokojnie i patrz śmiało. Daj mi rękę, jak nas upiór chyci, to obu razem, Cóż? Jeszcze ci się zwiduje?

— O... tam... takie długie, czarne...

— Cień od tego wysokiego krzyża; prawieś jak dziecko trzyletnie, co się strachów boi! No pójdź, niema czasu do stracenia. Pewno wszystkie bramy miejskie pozamykane.

— Już nam ani święty Boże nie pomoże; nie wpuszczą nas — westchnął Jasiek.

— Ee... gdzietam, z muzyką, bębnami i chorągwiami na ratusz nas zawiodą — żarto-

wał Wawrzuś. Toli wczoraj dopiero czytał ów pan list o Czarnym Rafale, a dziś naszą ciężką pracą przyłapiliśmy zbója.

— No, to drała do Nowej bramy!

Pobiegli.

— Stukajmy oba naraz, prędzej nas usłyszą.

Załomotali kołatką. Strażnicy przyzwyczajeni do tego rodzaju figlów pijackich, nie odpowiadali wcale; a chłopcy dobijali się natarczywie. Wreszcie pan Onufer otworzył pamiętne dla Wawrzusia okienko i krzyknął ze złością:

— Precz mi stąd urwipołcie przejęte! Wracajcie pod wiechę, kiedyście jeszcze nie dopili, a nam dajcie spokój!

— Pod nijaką wiechą nie byliśmy, ani nie pójdziemy; gadaj do niego Wawrzuś, może se przypomni.

— Kiedy to nie wachmistrz. Otwórzcie, wasza miłość. Pożądaną wieść niesiemy, Czarny Rafał w naszych ręku!

Ceklerz rozśmiał się głośno.

— Mogłeś co mędrszego wymyślić, tobym cię może wpuścił. Czarny Rafał... proszę ja kogo! Jak już łgać, to dobrze, prawda? Starostowie se zęby na nim połomili, a dwóch wyrostków go trzyma! Idźcie se do Rafała, może was przenocuje.

— Zaklinamy waszą miłość, wpuśćcie nas do miasta! Sprawa tak wielkiej wagi...

— Będziemy się póty tłukli, aż nas...

— Wawrzuś... straż miejska pod murami... prosto ku nam...

— Co tam za gwałty o północy? Bramę chcecie rozwalić? Stój! Ani kroku! — zawołał rotmistrz ceklerzy.

— Nie w głowie nam uciekać; łaska Boska, żeście wasze miłoście nadeszli, może się przecie doprosimy jakiej pomocy.

— Bierzcie chłopaków na strażnicę. Jak dostaną po dwadzieścia pięć odlewanych, to im się odechce burdy robić. No, marsz!

— Ależ ulitujcie się, wasza miłość...

— Idziesz czy nie, łobuzie jeden z drugim!

— Złapaliśmy Czarnego Rafała! Bóg świadkiem, że prawdę mówię! — zawołał Wawrzuś, podnosząc rękę jak do przysięgi.

— Jeszcze imienia Boskiego wzywa, zuchwalec jeden!

— Pójdźcież się przekonać, macie nas w ręku. Wyliczycie nam po pięćdziesiąt, nie po dwadzieścia pięć, jeśli nie jest tak, jako mówimy.

— Uczciwie chłopcu z oczu patrzy; cóżeś ty za jeden? — spytał dowódzca.

— Mistrza Wita uczeń. Chciejcież uwierzyć i pójść z nami.

— Daleko?

— Na Brzegach; pod cmentarzem świętej Gertrudy.

— Prowadź.

Przez drogę chłopcy opowiedzieli co tylko wiedzieli o Czarnym Rafale, bez ładu i składu; to jedno mógł rotmistrz zrozumieć, że człowiek zamknięty przez nich w piwnicy, musi być, jeśli nie tym samym, przez sądy poszukiwanym, to w każdym razie zbójem godnym szubienicy.

Gdy zaszli na miejsce, żołnierze wyważyli furtkę od podwórza, bo nie było inaczej dostępu i cały oddział wszedł do sieni. Jasiek wskazał beczkę na drzwiach, zaczem obaj z Wawrzusiem cofnęli się do kuchni, by tam, pod dozorem strażnika czekać aż się rotmistrz przekona, że całe ich doniesienie było prawdziwe.

Słyszeli wrzaski, szamotanie się, przekleństwa, ciężkie kroki żołnierzy, niosących skrępowanego zbrodniarza; potem brzęk kajdan i rozkazy wydawane przez dowódzcę straży.

— Ja sam z Piotrem, Kubą i Mateuszem, odprowadzę ptaszka do klatki, a jutro rano wręczę klucze od skarbów panu burmistrzowi. Choć jednak drzwi od korytarzy pozamykane, mógłby kto świadomy onej barci, chcieć się wedle niej zakrzątnąć, pod nieobecność bartnika; tedy Marcin, Tomasz, Krzysztof i Paweł

zostaną tu na noc. A ty Szymek, odstawisz chłopców do cekauzu.

Wawrzuś aż podskoczył, słysząc to rozporządzenie.

— A cóżeśmy to okradli, czy zabili kogo, że nas więzić chcecie? — krzyknął, zrywając się z ławy. Pójdę do rotmistrza, zaco nam taką krzywdę wyrządza.

— Nie bądźże głupi i siedź spokojnie — tłomaczył mu strażnik. Gdzieś przecie nocować musicie, a tu was nie ostawią, i pewno samibyście nie chcieli. Rano się poszle do mistrza Wita, a skoro zaświadczy, żeś jego czeladnik, a ten drugi twój przyjaciel, tej godziny będziecie wolni. Nijaka wam się krzywda nie dzieje.

— Wyjrzyjmy do sieni — szepnął Jasiek — chciałbym pojźreć na onego.

Wawrzuś się wzdrygnął.

— Za nic w świecie!

— Dy skrepowany...

— Jużem się mu napatrzył aż zanadto; mam dość na całe życie.

. . . .

Proces Czarnego Rafała trwał długo; coraz to nowe zbrodnie wychodziły na jaw, udało się złapać kilku z jego bandy, sąd przesłuchiwał świadków; okazało się, że popełnił rabunków, kradzieży, mnóstwo; grabił ko-

ścioły, mordował podróżnych bez litości, słowem, dziesięćkrotnie na karę śmierci zasłużył.

We dwa miesiące po strasznej przygodzie i szczęśliwem ocaleniu Wawrzusia, przybył nowy biały krzyż na cmentarzu św. Gertrudy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Poręba.

Podstarości z Niegoszowic i jego miłość pan Wawrzyniec. — Drewniany konik brat drewnianej jaszczurki. — Do Poręby! — Skowronek w gnieździe. — Jasiek nie je klusek, Marysia skubie róg zapaski.

Czeladnicy mistrza Wita poskładali narzędzia, odpasali fartuchy, kilku wykwintnisiów skoczyło do sypialni za pracownią, zmienić podniszczoną odzież i przyczesać zapylone włosy, inni wybiegli na miasto, nie umywszy nawet rąk po robocie, a wszystkim pilno było uciec z warsztatu. Ci, co się postroili, zawrócili z ulicy Poselskiej w Grodzką i podążyli śpiesznie do gospody pod „srebrną gruszą", gdzie właśnie odbywał się poczęstunek wyzwolinowy Pietrka z Myślenic, pozłotnika, na którą to zabawę solenizant zaprosił kilku dobrych znajomych z innych pokrewnych cechów.

W pustej i wyjątkowo cichej czeladniej izbie siedział przy stole Wawrzuś i rysował

kredą na tabliczce jakąś postać wysmukłą w powłóczystej szacie. Pocierał czoło lewą ręką, to znów zmazywał rysunek mokrą szmatą, nie szła mu robota.

— Ściemnia się, dam spokój; trza będzie jutro próbować, może lepiej pójdzie. Kto tam? Czego?

W uchylonych drzwiach od sieni, ukazała się jakaś jasna głowa.

— Chciałbym się wi... jesteś w domu!

Wysoki, ogorzały chłopak po wiejsku ubrany, wskoczył do izby nie prosząc o pozwolenie, i chwycił siedzącego z tyłu za ramiona.

— Cóż tam za głupie krotofile?... Puszczaj! — odwrócił się i skoczył na równe nogi z krzykiem: — O rety... Jasiek!

— A ja!

— Zkądeś się wziął?

— Przyjechałem z końmi na jarmark. Chłopców i Kaspra zostawiłem w stajni, a sam co tchu do ciebie... Aj, Wawrzuś, Wawrzuś... tyle lat, jakem poszedł z Krakowa! Gadajno, to już będzie... chyba...

— Ano, ni mniej, ni więcej, ino pięć roków i trzy miesiące.

— Jak ten czas leci, aż się w głowie zawraca! Ale zkądże tak dokumentnie pamiętasz? Nawet miesiące?



Złapaliśmy Czarnego Rafała! Bóg świadkiem, że prawdę mówię... (str. 283).

(H. ż. Ciż.)

— Bo widzisz ówten rok srodze był dla mnie ważny. Cała przeprawa z Czarnym Rafałem... jeszcze mi dziś włosy stają na głowie...

— Oj i mnie!

— No, a przedtem nasza droga do Wilna z ołtarzem dla królewica. Widziałem go tak z blizka, jak ciebie teraz; kolana jego całowałem, do śmierci tego dnia, tego miesiąca i tego roku nie zapomnę. No... ale co z tobą się dzieje? Czemużeś nigdy nie zajrzał?

— Nie mogłem; jakoś we dwa, czy we trzy tygodnie... wiesz Wawrzuś, do dzisiejszego dnia ci dziękuję, żeś mię namówił wrócić się do pana miecznika.

— Dobrze, dobrze; cóż było we dwa tygodnie?

— Pojechali państwo pod Piotrków, do ojców pani, ma się wiedzieć, ja z nimi. Tamem się bardzo prosił, coby mi wolno było przy gospodarzu posługować.

— Przy jakim gospodarzu?

— Tak się nazywa najstarszy z parobków, co dozór ma nad żniwem, orką, siejbą; nieco karbowy, nieco podstarości, ot, politycznie się go zowie gospodarz. Pan miecznik zawdy jednako łaskaw na mnie, zezwolił chętnie, bom się mu też i przyznał w pokornej poufności, że całe myślenie mam ino ku temu, by se gdzie

na wsi gruntu kupić i kmieciem być, jako dziad i pradziad.

— A daleko ci jeszcze do tego?

— Nie wiela już braknie; ściskam każdy grosz, jak ino mogę, na przyodziewę jak najmniej wydaję, ot, byle oberwano nie chodzić. To się i zasług za kilka lat sporo uskładało. A dodawszy one dwadzieścia dukatów, co mi w ratuszu za schwytanie Czarnego Rafała wypłacono, to już bez mała wystarczy. Ino Bogiem a prawdą, nie mnie się one czerwieńce należały, ino tobie; przeciem ja ani we śnie o tem nie pomyślał, że Hincz Bartnik a Czarny Rafał to jedność.

— Baj baju; tobie grosz potrzebniejszy, kiedy se na gospodarstwo zbierasz, ja już na wieś nigdy nie wrócę... — urwał, machnął ręką i odetchnął głęboko.

— Jušci, do roli, toś ty, prawdę rzekłszy, niewydarzony; stań no przy mnie; po ramię mi ino sięgasz, a ręce małe i niespracowane, niczem u panny miecznikówny. Ale w tych rękach rzemiosło masz piękne, za jeden tydzień więcej zarobisz, niż ja za rok. Tedy nie mamy se co przyganiać, obu nam dobrze na tym świecie.

— No tak... Aleś nie skończył o tym Piotrkowie?

— Ano, krótko nie długo dokończę, że mię w onym Grodzisku państwo ostawili, abym się

wszystkiego co mi trzeba w porządku wyuczył, jako że u pana Podstolego, rodzica pani miecznikowej, gospodarka na dziesięć mil w koło była sławna, a u nas w Niegoszowicach więcej mokrych łąk i bajorów, niż ornej ziemi; państwu zasię zabawa bardziej w głowie i jazdy do Krakowa, a nie co inszego. Tedy całe te lata wybyłem w Grodzisku, dopiero na wiosnę dali mi państwo rozkaz wrócić do dawnej służby, i jakom się u nich nauczył, u pana miecznika probować. Pismo dostałem od pan podstolego okrutnie chwalące, no i... zgadnij Wawrzek co dalej?

— Ożeniłeś się, abo co?

— Ee... zarazbym się ta żenił... ciekawość z kim i za co? Nie zgadłeś, więc ci powiem: od św. Jana jam ci jest podstarościm, albo jeśli wolisz, gospodarzem w Niegoszowicach!

— Ojoj... to ci się muszę w pas kłaniać i „wasza miłość“ gadać?

— Pewno, pewno, zbytnio se nie pozwalaj ze mną.

Objęli się za szyję jak bracia i pocałowali się ze śmiechem.

— No, a ty? Gadaj o sobie.

— Cóż powiem? Ino rok śmierci królewicza zapisany mam w sercu; potem dzień za dniem, tygodnie, lata mijały, ani nawet nie było sposobności korzystać z podarunku od kniazia.

— Z jakiego podarunku?

— Nie spominałem ci?

— Jak żywo!

— Ano, to czekajże, zacznę od początku. Trzeciego marca to było, wszystko mi stoi przed oczyma, jakby się wczoraj działo. Trzeciego marca tedy, czyli nazajutrz po przyjeździe do Wilna, roztwieramy paki, wyjmujemy święte figury, Stanko z Jurkiem na wyrypy ołtarzową szafę zbijają, aż tu drzwi służba na rozcież otwiera, i wnoszą królewicza Kazimierza. Srodze się radował Panienką Najświętszą i przecudnymi Aniołami, aż pokraśniał na obliczu i ręce raz wraz w górę wznosił z podziwienia. Wszystko mu Stanko musiał tłomaczyć, jak będzie ustawione, a ja mu się podsuwam przed oczy z maluśkim aniołkiem, com go sam rzeźbił. Tak się też onem dzieciątkiem ucieszył, aż strach. Wraził rękę do kieszeni, podarował mi dwa czerwieńce na pamiątkę i pyta: „Cóż se kupisz za te pieniądze?“ Anim się zająknął, ino krzyczę: „Żółte ciżemki!“ A on, choć niemal umierający, jeszcze się moją głupotą ozweselił, śmiał się nawet. Kazał paziowi przynieść ze sypialni swoje własne, co mu były niewygodne, i mnie je podarował. Do tej pory nie miałem ich na nogach.

— Na wesele je chowasz, czy co?

— Nie; na nabożeństwo u Panny Maryi,

w dzień poświęcenia naszego ołtarza. Ale gdy o to pytasz, było i wesele, a jakże.

— Czyje?

— Stanka Stwosza z Jadwisią, Macieja Stwosza jedynaczką.

— Zaprosili cię?

— Niechnoby nie zaprosili! Drużbą mu byłem, pannę do ołtarza prowadziłem.

— Dworujesz sobie ze mnie? Taki chrobaczek?

— Żeś sam wielki, niczem Wyrwidąb, to ci każdy zamały. Przecie urosłem sporo, przez tych kilka roków, a wesele było w kwietniu.

— Dobrzeć to, ale taki Stanko, mistrza Wita syn...

— Ojoj... straszne mi cuda! Czeladnik, jako i ja.

— Co ty gadasz? Toś już wyzwolony?

— Chyba się niema czemu dziwować; dy dziesięć lat we warsztacie jestem. Chłopaki wołają na mnie „wy", abo „pan Wawrzyniec". W dodatku rzekę ci jeszcze, że mnie mistrz cale jawnie chwali, przed ludźmi się mną chlubi, i prawą ręką swoją zowie.

— Cie wy, cie wy*)... a toś ty urósł nie na żarty! Teraz na mnie kolej w pas się kłaniać waszej wielmożności. Wędrówkę do obcych krajów odprawiłeś?

*) „Widzicie wy?" skrócenie używane w krakowskiem.

— Jeszcze nie; mistrz mię nie chce puścić, bo to już za kilkanaście dni ołtarz ustawiamy w kościele, więc przy wykończeniu nawet naszemu panu... prawa ręka się przyda. Mówiąc to, zaśmiał się wesoło.

— A ja se myślał...

— Że co?

— Że jak konie zbędę na jarmarku, i pieniądze panu miecznikowi odwiozę, to se razem,

— O jakie też to ciężkie takie powolne gadanie; ady kończ, kiedyś zaczął!

— Myślałem, że se razem choć na dwa trzy dni do Poręby pójdziemy.

— O Jezu Nazareński! — krzyknął Wawrzuś i zasłonił twarz rękoma.

— No co? Poszedłbyś, prawda? Czego się nie odzywasz?... Ludzie... dy on płacze jak baba! Nie wstyd ci? wąs się chłopu sypie... i beczy!

— Już nie... jużem się całe uspokoił... ach, mójeś ty kochany... jaki ja głupi, głupi, głupi... Ani razu cię nie spytałem, czy znasz, kędy się idzie do naszej wsi. Od dziecka, jakby mi kto gwóźdź w głowę zabił, nie śmiałem nawet pomyśleć o Porębie. Ledwiem wskoczył w tę puszczę zatraconą, jużem zgubił drogę do domu. A potem, ojciec Szymon i ksiądz kanonik perswadowali mi tyle razy, że jest kilkanaście Poręb w polskim kraju, zkąd wiedzieć, która moja. Ach, Jasiek, Jasiek...

gdyby mi dziś kto zabronił, z łańcucha bym się urwał, z pod ziemi bym się wykopał, a leciałbym z tobą, jak ten wicher! Tego nikt nie wyrozumie, ile ja się bez te dziesięć lat napłakał za matusią. No, gadaj, kiedy pojedziemy?

— Cichaj, cichaj, nie bądź taki nagły; nie umarłeś do tej pory, to jeszcze kilka dni poczekasz. Z koniami muszę skończyć, pieniądze do domu odwieźć, pozwolenie od pana dostać, i dopiero przyszedłbym po ciebie. A mistrz co na to?

— Mistrz dobry; będę go strasznie prosił, to się dwa dni obejdą bezemnie. Stanko mu równie dobrze pomoże. Zresztą, ołtarz już tak, jakby skończony, złocą go tylko i malują... Jasiek, Jasiek, już mię ani ciżemki od królewicza tak nie radują, jak ta nadzieja, ta nadzieja! O Matko Boska z matusinego obrazka... dziękuję Ci!

. . . .

— Patrzajże, to ja właśnie tą samą drogą szedłem do Krakowa; — dziwił się Wawrzuś — Łobzow, Balice, Rudawa, Pisary, ino przed Pisarami, to już se nie spomnę. Daleko jeszcze?

— Nie bardzo. Ino lasem w bok od Tenczyna, potem Brodła, znowu krzynę lasem, i już my doma.

— Raju, raju... co oni powiedzą, jak nas zobaczą!

— Ciekawość, czy poznają? Dziecko się

więcej przeinacza z latami, niż starszy człek. Ileżeś to miał wtedy?

— Coś ponad osiem lat.

— No, a teraz osiemnaście; to kawał czasu. Ludzie gadają, co matka dziecko po trzydziestu latach zdoli poznać. Zobaczymy.

— No prędzej, prędzej; inobyś przysiadał co sto kroków.

— A, bo mnie w Porębie nikt nie czeka — odparł Jasiek cicho. Tedy chodźmy dalej, kiedy ci tak pilno.

O ileż milsza była ta wędrówka dwóch przyjaciół, od błąkania się samotnego dziecka, udręczonego strachem i głodem!

Szli, śpiewając wesołe krakowiaki, pogoda jak na zamówienie, a gdy im lipcowe słońce nadto dopiekało, kładli się w lesie na mchu i odpoczywali. Chleba, sera, wędzonki mieli obaj zapas potężny, źródełka po drodze częste, słowem, gdyby nie tęsknota Wawrzusia, migiem zleciałyby im te mile z Krakowa do Poręby.

W Brodłach uczynili sobie ostatni popas; Jasiek obiecywał, że za dnia jeszcze staną na miejscu. Przed wschodem słońca wyszli, a choć młodzi i silni, zaczynali uczuwać zmęczenie; aż tu jak na szczęście, turkot wozu rozległ się za nimi. Przystanęli.

— W którą stronę jedziecie, gospodarzu? — spytał Jasiek.

— Kazbym jechał? Toli do Porębskiego lasa.

— Możebyście nas podwieźli krzynę? Od Krakowa piechotą idziemy, tak nogi bolą...

— A siadajcie; wozu mi nie ubędzie, i konie nie poczują.

Wskoczyli uszczęśliwieni, że im się taka gratka trafiła. Wóz się toczył cicho, koła grzęzły w piasku.

— A wy dokąd? — spytał chłop.

— Także do Poręby.

— Odwiedzić kogo, abo do księdza może?

— Do krewnych; — krótko odpowiedział Jasiek; ale Wawrzuś nie mógł się powstrzymać i spytał drżącym głosem:

— Nie znacie przypadkiem Wojciecha, tego, co jego chałupa czwarta z kraja?

— Wojciecha Skowronka? Juści, że go znam; krowę u mnie kupił dopiero w tamten czwartek. Zkądże mnie o niego pytacie? Po pańsku odziany... a możeście syn dziedzica z Poręby?

— Nie; z Krakowa jestem; odparł Wawrzuś. Serce mu waliło ciężko, aż się bał, że tamci ten łomot posłyszą.

— A co się dzieje z Mikołajową Śliwiną? — zapytał Jasiek.

— Ano, bieduje baba przez chłopa. Rady sobie dać nie może; rolę pospuszczała sąsiadom, bo jakoż będzie sama wedle ziemi robić?

— Nie wydała się?

Chłop splunął.

— Ij... ktoby ta brał takową sekutnicę? Męża zatrapiła, pasierba z domu wygryzła, z piekła rodem baba i tyle. Dziewczyna z pierwszego małżeństwa też bez jej niedozór zaziębiła się i pomarła. Znają ludzie Śliwinę, każdy jej z drogi schodzi.

— A synka ponoś miała?

— Miała i ma do tej pory. Pan Jezus sprawiedliwy za biednego Jaśka na własnem dziecku ją pokarał... cherlawe to to, ani jeszcze nie gada po ludzku, ino mamroce jakosi nieskładnie, ciężko wyrozumieć, czego chce. Musicie tutaj wysiąść, bo ja do tracza jadę, drzewa se wybrać na stodołę.

— Bóg zapłać za przysługę!

— Zamało, zamało — odpowiada gospodarz, skręcając w lewo ku lasowi.

— Daleko jeszcze? — niecierpliwił się Wawrzuś.

— Ino ta górka zasłania — odpowiedział Jasiek.

— No to biegnijmy. Wypoczęliśmy na wozie, a ty się wleczesz, jak ten ślimak.

— Biegaj sam, kiedyś taki chybki; ja już nie mogę prędzej.

Szli pod górę w milczeniu.

— Jasiek... ta wieś... tam... czy to...

— Juści że Poręba. Idźże se do domu,

a ja popytam się o wójta i z nim pierwej pogadam. Kiedy macosze niedola, to możebym ja od niej ojcowiznę wykupił.

Wawrzuś nie słyszał już ani słowa... biegł ku wsi nieprzytomny z radości. Ach, co tam matusia teraz robi? Ani się domyśla, że jej synek stracony, już, już... za chwilę... za pół chwili do nóg jej upadnie.

Przystanął. W oczach mu się mieniło, w uszach dudniało, oparł się o drzewo, bo się czegoś nogi pod nim uginały.

— O raju... tak blisko, a ja stoję i ruszyć się nie mogę.

Przetarł oczy, otrząsnął się i powoli, nieśmiało szedł w ulicę. Minął chatę Bartosów, sad, stodołę...

— A jak zmylę?... Ta druga, Macieja Kowala, teraz Marka Walecnego, teraz... teraz... teraz nasza!

Jakby mu kto kamienie do nóg przywiązał, wlókł się ociężale, potykał się jak pijany...

Na przyzbie przed domem siedział ośmioletni jasnowłosy chłopczyna i kozikiem gruby kij oskrobywał.

— W imię Ojca i Syna... dy to ja! Jak raz moje lata, moje włosy, oczy, całe liczko moje... dobrzem się sobie naprzypatrował w zwierciedle u księdza kanonika... E... coś mi się zwiduje... mamidło... dzieckabym

się bał? Niech będzie pochwalony; czy dobrze trafiłem do Wojciecha Skowronka?

Chłopczyk spojrzał nań nieufnie, głowy nie podnosząc i mruknął:

— Na wieki; juści tutaj.

— A czy gospodarz w domu?

— Nie, w polu.

— A gospodyni?

— Do dworu posli.

— A czyjżeś ty?

Malec odpowiadał niechętnie, badawczo tylko przypatrując się nieznajomemu; ostatnie pytanie wydało mu się zapewne bardzo niemądre, bo zapomniał o wszelkiej przezorności wobec obcego człowieka i parsknął śmiechem.

— A cyjzeby? Tatusiów i Matusin.

— A pocóżeś tu przyszedł?

— Kazem miał być? Chi chi chi... ja se ta we swoim domu siedzę; ale wy, panicku, cegoj tu chcecie?

— Matko Najświętsza, rozumiem... — łzy mu się zakręciły w oczach; przysiadł się na przyzbę do dzieciaka, ten mu jakoś nie bronił i dalej swój patyk obrabiał.

— Toś ty synek Wojciechów?

— No.

— A siostry masz?

— Jakze; Marysię i Kondusię.

— A braci?

— Był jeden, ale dawno pomarł.

— Cóż skrobiesz tym kozikiem?

— Kunia; cobym miał na cem za krowami na paświsko jechać.

— Pokażno; nie bój się, nie wezmę ci, ino coś zobaczę. Widzisz, z tego końca jest gruby i zakrzywiony, a ja mam w kieszeni taki sprawny ostry nożyk, co wszystko zdoli. Wyrzezam końską główkę, dopiero będziesz miał źróbka jak się patrzy; dobrze?

— Róbcie. A piekny będzie?

— Jak żywy.

Nigdy, w ciągu dziesięciu lat pracy u mistrza Wita, nie rzeźbił Wawrzuś z takim zapałem, jak dziś, końską głowę dla braciszka. Malec ukląkł na przyzbie, przytulił się do nieznajomego i patrzał mu przez ramię z gorączkowem przejęciem.

— O, jakie to uska... i grzywka... a chrapy ci rozwalił, pilno mu wyskakować! Retyści, jaki to smyśny nozyk! Od carownika go macie?

— Podoba ci się konik? Czekaj, czekaj, jeszcze mi nie wydzieraj... muszę skończyć porządnie.

W niecałą godzinę wierzchowiec był gotów. Uwiązano mu postronek do szyi i malec objechał podwórko. Zatrzymał się przed podróżnym, popatrzył nań rozjaśnionymi uciechą oczkami, objął nagle za szyję i zaczął całować.

Wawrzusia znowu niemoc ogarnęła...

Ale w uszach śpiewały mu jakieś anielskie głosy: „Jesteś w domu, w domu... ojca masz, i matusię, i braciszka, i siostry; skończyła się tęsknota, na całym bożym świecie niema szczęśliwszego od ciebie“.

Wziął chłopca na kolana, głaskał go po głowie i buzi, chciało mu się płakać, śmiać, i znowu płakać.

— Widzisz, takiś niedobry, jeszcześ mi nie powiedział jak cię wołają.

— Jakze? Jędrek.

— Nie wiesz, rychło tatuś wrócą?

— Zarozięcki; siano bez cały dzień psewracali, słońce się chowa, to i psydą wiecerzać. O... widzicie, jak raz na psełaj miedzą idą!

Wawrzuś się zerwał, postąpił krok i stanął... gospodarz dochodził już do wrót.

— Niech będzie pochwalony... zdławionym, nieswoim głosem wyszeptał chłopak, zdejmując czapkę.

— Na wieki. Podróżny? A zkąd?

— Z Krakowa. Strudzonym srodze, od świtu idę, nie przenocowalibyście mnie?

— Gość w dom, Bóg w dom; wejdźcie do izby paniczu.

— Nie żaden ja panicz, gospodarzu, ino prosty czeladnik; dopraszam się waszej łaski, cobyście mi nie dwoili, ino po imieniu gadajcie, Wawrzek.

Kmieć drgnął i bystro popatrzył na chłopaka.

— Siadajże na ławie, spocznij, wnetki przyjdą i matka, dostaniemy wieczerzę. A gdzie droga?

— Daleko; wracam do ojców, com ich dziesięć lat nie widział.

— Dziesięć lat... — powtórzył Wojciech i westchnął.

— Tatusiu, patrzcie ino, jakiego mi ślicnego kunia ten panic wyrzezał!

Gospodarz przesunął ręką po czole i znowu patrzał na nieznajomego lękliwym, pytającym wzrokiem... Podróżny spuścił oczy i czapkę w rękach obracał. W tej chwili dały się słyszeć z pola wesołe głosy, żywa rozmowa przeplatana śmiechem doleciała ich uszu, i goniąc jedna drugą, wpadły do izby dwie młodziutkie dziewuszki. Na widok nieznajomego stropiły się i poskoczyły za piec.

W progu stanęła gospodyni.

— Sprzedałam całe płótno dziedziczce; kazała se tkać drugą sztu... — urwała, teraz dopiero spostrzegłszy obcego. Obrzuciła go wzrokiem, zmrużyła oczy, jakby ją nagle słońce olśniło i oparła się ramieniem o odrzwia.

Wawrzuś wstał z ławy, kobieta weszła do izby.

Tak jak przed chwilą gospodarz, spytała i ona:

— Podróżny?

Nikt nie odpowiedział... niepokój drżał w powietrzu... Wojciechowa podeszła bliżej; chciała pewno zagadać do chłopca, ale nim usta otworzyła, Wawrzuś runął na ziemię, obejmując ją za kolana.

— Matusiu najmilejsza... matusiu!

— Dziecko moje zaginione! Mój Wawrzuś! Moje umiłowanie! Adyżem nikady nie dawała wiary, cobyś ty miał nie żyć!

Chwyciła go rękoma za głowę, i jak to ślepi czynią, macała go po czole, po oczach, po ustach, czy ten sam, czy żywy, czy jej się nie śni...

Skoczył i Wojciech ku nim, a Wawrzuś nie wstając z klęczek, witał ojca i po nogach go całował.

— Oj, synku, synku, a czemużeś się ty przedemną zataił? — pytał ojciec nawpół z wyrzutem.

— Tak mnie coś za gardło ściskało, nijak nie wiedziałem od czego zacząć. Imię swoje wam powiedziałem, i że do domu wracam po dziesięciu latach, mniemałem, że sami zmiarkujecie. Ale jakem zoczył matusię, potargały się wszystkie zapory, byłbym odrazu krzyczał ktom jest, ino mi coś szepnęło w ucho, że z nagłości przelęknienia zasłabnąć gotowa, tedym się ino patrzał; czułem, że odgaduje, i... już nie mogłem zdzierżyć dłużej.

Marysia i Konda wyglądały z za pieca na tego brata po miejsku odzianego, z gładką, nieopaloną twarzą i białemi rękami; nie śmiały się zbliżyć, sam pobiegł do nich i wycałował za całe dziesięć lat. A Jędrek chodził dumny, bo to on pierwszy z braciszkiem gadał, i jemu Wawrzuś, a nie tatusiowi, ani matusi konika wyrzeźbił.

Dopieroż przy wieczerzy nie było końca pytaniom; Wawrzuś opowiedział całą swoją historyę z najdrobniejszymi szczegółami, a rodzice znów mówili, jak im straszno było myśleć, że on tam w puszczy o głodzie się błąka, że go dzikie zwierzęta rozszarpały, jak ojciec nazajutrz po jego zniknięciu, wybrał się konno skoro świt, i szukał go po lesie nadaremnie... wszystko sobie rozpowiadali. Wojciechowa popłakiwała nad niedolą swego biednego dziecka, to znowu wybuchali wszyscy śmiechem, gdy była mowa o figlach Beksy i brzuchomówstwie Grzegorza. Wawrzuś zatail w swem opowiadaniu, jak nieraz okrutnie się z nim stary kuglarz obchodził, a tylko chwalił serdeczną opiekę i dobroć Grzegorzowej. I o księdzu kanoniku mówił im dużo, i o ojcu Szymonie ze łzami wspominał, a wszystkiego tak ciekawie słuchali, nawet mały Jędrek oczy wypatrywał na ślicznego pąnicza, co jest naprawdę jego braciszkiem.

Aż tu w otwartych drzwiach stanął nagle Jasiek.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus; a mnie też ta biednego nie napędzicie od siebie?

— Na wieki. — Wojciechowie spojrzeli na syna pytająco.

— Nie poznajecie go, tatusiu? Dy to Jasiek Mikołajów. Gdyby nie on, nie byłoby mnie tu dzisiaj; drogi nie znałem, ani nazwiska swego nie wiedziałem; on mię tu przyprowadził.

— A toś nam Jasiu miły, jak najrodzeńszy! — zawołała Wojciechowa; — cały wiek kochania ledwie zdoli zapłacić za ten podarunek, jakiśmy dziś od ciebie dostali. Siadajże przy mnie, synku; Maryś... podaj wieczerzę gościowi; jeszcze kluski ciepłe, jedz z Panem Jezusem.

Marysia postawiła przed Jaśkiem misę pełną po brzegi, chleba ukroiła serdecznie, jakby dla czterech, nie dla jednego, i byłby jadł ze smakiem, gdyby mu czegoś oczy nie skakały raz poraz ku dziewczętom. Czy na małą Kondusię poglądał, czy na szesnastoletnią Marysię, niewiadomo; dość, że klusek bardzo powoli ubywało, a Maryśka czerwona jak piwonia, poskubała cały rożek od zapaski na strzępy.

Czasem przychodzi taka ciekawość na ludzi, że się jedno drugiemu nie może napa-

trzyć. Marysia miała oczy jak smoła czarne, a Jasiek jasno siwe, jak woda wiślana. Siwe dziwowały się czarnym, co takie bystre, a czarne siwym, że z nich uciecha tryska. Szczęście, że matka wpatrywała się cały wieczór w syna, jak w cudowny obraz, bo niechybnie dostałaby się Maryśce bura za... potarganą zapaskę.

Rozmowa przeszła i na sprawy Jaśka.

— No, jakże, widziałeś się z wójtem? — spytał Wojciech, powiadomiony przedtem przez Wawrzusia o zamysłach przyjaciela.

— Dziękować Bogu, zastałem go doma; wszystkośmy obgadali, obradzili dokumentnie; poczciwy człek, że się to lubili oba z tatusiem, zawziął się okrutnie, coby mi dopomódz. Odrazu gada: „Idźmy do macochy". I poszliśmy.

— Poznała cię? — spytał Wawrzuś.

— Ale gdzie! Dopiero jak jej wójt powiedział kto, i co, to się aż zalękła. Myślała, żem się przyszedł ojcowizny dopominać; odrazu uderzyła w płacz, jako z głodu ginie, kożucha na zimę nie ma, dziecko chore, krowa się sterała; strzech gnije, stajenka się wali... jak rozpuściła język, to dudniało, niczem we młynie. Dopiero wójt do niej, że ja nie myślę nic wydzierać, choć po sprawiedliwości połowa mi się należy, ino przyszedłem wykupić od niej wszystek grunt, chałupę i sad, za gotowe pieniądze; skoro się ugodzimy zapłacę odrazu.

— Ino się upewnij, coby se poszła z Po-

ręby, bo jakby została, nie pozbyłbyś się baby do śmierci.

— A jakże; pamiętam ja dobrze, co ona za jedna. Tośmy też sprowadzili Walantego organistę, i kościelnego Pietra, tedy przy nich obu i przy wójcie zaprzysięgła się, że precz pójdzie do Aleksandrowic, zkąd jest rodem, i tam sobie siedziała będzie przy bracie, a czerwieńce po połowie bratu, po połowie na dziecko przepisze. Tak my i skończyli w prędkości, bo wszystkim nam wiadomo było, ile tatuś mieli gruntu, a wójt obrachował, co to razem z chałupą warte. Wypłaciłem przy świadkach, i spokój.

— Cóż, kiedy rola w dzierżawie — rzekł Wojciech.

— Poczekawszy, to się podbiera; a mnie znowu nie tak pilno, mam dobrą służbę; chyba że...

I znowu mu coś szarpnęło oczy ku Marysi.

— A dużo zapłaciłeś za ojcowiznę?

— Oj, dużo! Trzydzieści cztery czerwone. Jeszcze chciała wydrzeć więcej, ino wójt i tamci wzięli mnie w opiekę, i przeperswadowali macosze, że gdybym się chciał prawować, toby nigdy tyle na jej dziecko nie przypadło.

— Tość ty teraz pan całą gębą; — rzekł Wojciech — ino, czy bedziesz umiał gospodarować?

— Oho, tatusiu, — za Jaśka odpowiedział

Wawrzuś, rad, że go może pochwalić; — żebyście wiedzieli, jak on się na wszystkiem rozumie! U pana miecznika w Niegoszowicach całym majątkiem zarządza. Uczył się przez pięć lat w Grodzisku, a jakże!

— Łaska Boska; kiedy tak, może i my starsi dowiemy się czego nowego od ciebie, hę?

— E... jabym ta przez zapłaty za parobka do was przystał, ino mnie weźcie — odparł Jasiek niby żartem, ale Wojciecha pokornie za nogi objął i w kolano pocałował. Spojrzał ukradkiem ku ławie przy piecu, a stary nie w ciemię bity, odchrząknął srogo i palcem mu pokiwał. Ale że się zaraz potem zaśmiał wcale wesoło, to i Jaśkowi nie straszna była owa groźba.

— Kiedyśmy se już powiedzieli wszystko, co było, to trza się wziąć do tego, co będzie — odezwał się Wawrzuś. Ino się z wami przez jutrzejszy dzionek nacieszę, pilno mi wracać do roboty, bo i te godziny, ledwiem gwałtem wydarł mistrzowi.

— To się wie; — rzekł Wojciech — słowo, święta rzecz; ino raz nie dotrzymaj, to ci nikt wiary nie da.

— Posłuchajcie więc. Ponieważ główny wizerunek w ołtarzu przedstawia śmierć, wniebowzięcie i ukoronowanie Matki Boskiej, przeto mistrz na swoją cześć przysiągł, że poświęcenie ołtarza i pierwsze nabożeństwo odbędzie

się 15 sierpnia, czyli w święto Wniebowzięcia. Już się ino złoci, poleruje, szafa gotowa; za jaki tydzień zaczniemy w kościele figury ustawiać i boczne obrazy na śrubach mocować.

— Żeby choć raz w życiu pomodlić się przed takim ołtarzem! — westchnęła Wojciechowa.

— Do tegoż i moja mowa wiedzie, matusiu. Musicie przyjść oboje z ojcem do Krakowa i na własne oczy widzieć wszystko.

— Czy się to biedny chłop dociśnie między pany? — rzekł Wojciech.

— Juści pewno, że tłumy tam senatorów będą wedle króla miłościwego; sławetna rada miasta, jego wielmożność pan burmistrz i kupców najprzedniejszych i mieszczanów znakomitych nieprzeliczony zastęp, jako że i głównie ono mieszczaństwo własnym sumptem ołtarz fundowało. Będzie i biskupów kilku i księży co niemiara... Ale nie troskajcie się tatusiu. źleby było, gdybym ja swoich rodzicieli nie mógł wpuścić do kościoła! Ady pięć aniołów te moje ręce wyrzeźbiły, i proroków trzech, i św. Wojciecha. A filarków, kroksztynów i baldachimów, anibym się doliczył. Ino se przyjdźcie we wilią święta pod wieczór, a rano pilnujcie tego wejścia, co od strony św. Barbary. Już ja będę wybiegał co chwila i upatrywał was.

— Nie wpuszczą nas...

— Wpuszczą, jak żywo! Jużem se to wymówił u mistrza, a ten postara się o pozwolenie u infułata. Ksiądz infułat wie dobrze, w jakiej ja łasce u mistrza Wita, i że mojej pracy niemało tkwi w onym ołtarzu. Chociażbym u książąt i królów nadwornym snycerzem był, większej chluby do śmierci nie dostąpię jako ta jest, że pospołu z Witem Stwoszem pracowałem i najcelniejszym jego uczniem jestem.

— Bogu niech będą dzięki! Wyrosłeś mi na wielką pociechę, synku — rzekł Wojciech serdecznie.

Wawrzuś pocałował ojca w rękę, ale nie mógł się wstrzymać od maleńkiej zemsty za bolesne cięgi z przed lat dziesięciu i rzekł śmiejąc się:

— A pamiętacie, tatusiu, jakeście rzemień strzępili na mnie? Jak was ten mój kozik mierził, a markociliście się, że nic uczciwego nie wyrośnie z „niedojdy"?

— Nie po naszej woli się stało — wtrąciła swoje słowo matka — ino tak, jako chciał Pan Jezus, i jako jest najlepiej dla ciebie i dla nas.

— No, jeszcze całe jutro przed nami — zawołał ojciec — nocyśmy zarwali niemało, kiedyż się wyśpimy? Chłopcy, na siano do stodoły, jutro skoro świt budzę obu, jęczmień będziemy wozić!

Zakończenie.

Odsłonięcie wielkiego ołtarza w kościele Maryackim miało nastąpić w dniu 15 sierpnia 1489 r., jako w święto Wniebowzięcia N. P. M.

Od dwóch tygodni już pracowała czeladź mistrza Wita pod jego okiem i rozkazami, w presbyteryum oddzielonem szarą oponą od reszty kościoła. Raz poraz stawały wozy ładowne przed bocznem wejściem od strony św. Barbary. Zdejmowano z nich rzeźby większe i mniejsze, troskliwie sianem i pakułami owiązane i wnoszono ostrożnie do kościoła.

Najpierwszem i może najtrudniejszem zadaniem było ustawienie olbrzymiego tryptyka i związanie go potężnymi żelaznymi ankrami z murem kościoła. Gdy bowiem sama szafa*),

*) Wszystkie cyfry tyczące ciężaru ołtarza, zawias, pojedyńczych figur itd., tudzież opis związania tryptyka z murem kościelnym, wzięty jest ze sprawozdań komitetu restauracyi ołtarza, w słusznem przekonaniu, że tak samo rzecz się dziać musiała i przed 400 laty.

w której znajdować się miała główna środkowa grupa, ważyła przeszło 18 centnarów, gdy każdą z kolosalnych postaci apostołów dźwigało z trudem po sześciu ludzi, a figur tych miało być dwanaście, rzeczą najwyższej doniosłości było utwierdzenie wiecznotrwałe tych niezmiernych ciężarów. Starszy cechu kowali, Jan Borg, zawiadował tą robotą; obliczył wszystko skrupulatnie i stosował siłę ankrów do wagi ołtarza, dodając jeszcze dla spokoju mistrza Wita haki i klamry ponad obrachunek. Stwosz niedowierzał, bał się, tracił głowę; wszystkiego musiał dotknąć własną ręką, słyszeć każde uderzenie młota, każdy zgrzyt świdra i chrzęst wkręcanych śrub. Skrzydła tryptyka, czyli drzwi tej wielkiej szafy, okute żelaznemi sztabami, zawieszono na monstrualnych zawiasach, o 257 funtach wagi. Dopiero gdy tę najważniejszą czynność ukończono, można było przystąpić do złożenia w całość większych i mniejszych części ołtarza.

Wawrzuś, jak się to z dumą Jaśkowi zwierzał, istotnie mógł się nazwać prawą ręką mistrza Wita. On to doglądał we warsztacie opakowania rzeźb, on szedł za każdym wozem, przestrzegając by jechano powoli, a wybierano jaknajrówniej brukowane ulice; potem pomagał słowem i ręką przy wnoszeniu figur na rusztowanie, umieszczał obrazy w takim porządku, jak miały być do skrzydeł wstawiane;

drobniejsze ornamenta kładł osobno, by się nie połamały, a wszystko szło mu sprawnie, bez najmniejszej szkody. Z nim razem pracowali gorliwie Stanko i Jurek, a reszta czeladzi pod ich dozorem.

Nareszcie zaświtał ranek wielkiego dnia... pogodny, słoneczny, złocisty ranek!

Wczoraj do późna uwijali się robotnicy, słychać było gniewny głos mistrza, któremu na ostatek nikt nie mógł dogodzić, i który sam biegał po rusztowaniu ze światłem, sprawdzając, czy wszystko w należytym porządku. Przez całą noc uprzątali cieśle drągi i deski rusztowania, wymieciono wióry, trociny i śmiecie; ołtarz gotowy i zestawiony w umówionym terminie, czekał już tylko poświęcenia.

Potężne dźwięki dzwonów kościelnych głosiły miastu wieść radosną. Sam król najmiłościwszy miał przybyć z rodziną na uroczystość odsłonięcia wielkiego ołtarza; a królewicz Fryderyk Jagiellończyk, biskup krakowski, zaproszony przez księdza Jorka Szwarca archipresbytera, proboszcza maryackiego, przyrzekł odprawić pierwsze nabożeństwo.

Przed szóstą rano, przybieżał Stwosz do kościoła, choć właściwie nic tam już nie miał do roboty, ale niepokój i rozdraźnienie pędziły go z miejsca na miejsce; spodziewał się, że

jeszcze najprędzej doczeka upragnionej godziny u stóp ołtarza, sam na sam ze swem dziełem.

Usiadł w jednej z dolnych stall i patrzał. Wzrok jego przesuwał się zwolna po rzeźbie predelli tuż ponad mensą, gdzie rozgałęzione drzewo Jessego przedstawiało na swych konarach genealogię Najśw. Maryi Panny. Podniósł oczy ku głównej, środkowej grupie... Poważne postacie Apostołów obecnych wedle legendy przy zaśnięciu Matki-Dziewicy, proste, naturalne w ruchu, a pełne godności, świadczyły o potężnym geniuszu twórcy. Cała tajemnica odkupienia, od jasełek począwszy, aż do ukrzyżowania Chrystusa, cały szereg radości i boleści Maryi Panny, wszystko znajdowało się wyraźnie przedstawione na bocznych skrzydłach tryptyka. Przepyszne ostrołukowe zdobienia wiązały cudnemi gałęźmi te obrazy. Święci biskupi Wojciech i Stanisław, wierni słudzy Maryi, po obu stronach tryptyka; skrzydlate cherubiny słały się pod stopy Matki Bożej, unoszącej się wraz z Synem ku niebu. A tam wysoko... u samego szczytu... majestat Przenajświętszej Trójcy, i Marya w chwale wiekuistej, królowa nieba i ziemi.

Oczy mistrza Wita jaśniały weselem i dumą. Po długiej chwili, przysłonił twarz ręką, i szukał w niej obrazu, jaki pierwsza iskra natchnienia zbudziła w jego duszy... Czy rzeczywistość odtwarzała wiernie ten ideał?

Odetchnął ciężko; jednym rzutem oka objął całość ołtarza, i znowu twarz zasłonił. To wspaniałe, olbrzymie dzieło, kwiat jego talentu, korona jego życia, to tylko blade odbicie cudnej prawdy zamkniętej w jego piersi, nikomu nie znanej, żadnem dłutem nie tkniętej na wieki.

W godzinę później wsunęli się po cichu Stanko i Wawrzuś; obaj strojni świątecznie, i usiedli z brzegu stall, nie śmiejąc rozmawiać, by nie przerywać zamyślenia mistrza.

Wawrzuś spuścił oczy i spoglądał z błogim uśmiechem na podarunek świętego królewicza, — żółte safianowe ciżemki. Wysuwał raz lewą nogę z pod ławki, to znów prawą...

— Ach, jak ta skóra połyskuje! Niczem atłas... nosy długie, śpiczasto zakończone, prawdziwie pańskie obuwie. Choćbym sobie dał szyć trzewice najpierwszemu szewcowi w Krakowie, jeszczeby tak piękne nie były. I nie dziwota... wiadomo, dla kniazia inszy towar, insze staranie, niźli dla jakiegoś tam sobie czeladnika.

Drzwi skrzypnęły lekko, Wawrzuś odwrócił głowę; Tomek, najmłodszy terminator zaglądał przez szparę w oponie, dawał mu jakieś znaki, wytrzeszczał oczy i robił tajemnicze miny. Nie było rady, musiał wstać i podejść ku chłopcu.

— Przecz cię tu licho niesie niewołanego? — ofuknął go niechętnie.

— Pan Wawrzyniec swarzą, a niesprawiedliwie — odparł malec nie tracąc fantazyi; — chybaście zabaczyli, com miał wczoraj przykazane? Dy wasi rodziciele szukali pana Wawrzyńca w mistrza Witowej kamienicy, tom ich też przywiódł pod sam kościół, iżeście mi wyraźnie i dokumentnie gadali.

Wawrzuś nie dosłuchał końca, jednym susem już był za drzwiami.

Wojciech w nowej sukmanie, Wojciechowa w białej namitce na głowie, w szerokim zgrzebnym rańtuchu, używanym naówczas przez wieśniaczki jako zwierzchnia chustka, i w krasnej samodziałowej spodnicy, a zapasce, czekali pokornie w kruchcie.

— O matusieńko złota... o mój tatusiu! Takem się lękał, że nie traficie do mnie, abo się gdzie zagubicie w onem ludzkiem mrowisku, a tu przychodzicie właśnie w sam czas.

— Synku, a może cię kara spotka?

— Gdzie zaś kara! Z pozwoleniem samego proboszcza, u którego się ksiądz Heydek za mną wstawiał, śmiało was do kościoła wprowadzę. I dodał, żartując: — Juści, w kanonicznych ławach nie będziecie się rozpierali, ale i sam pan miłościwy lepiej od was widział nie będzie. Pójdźcież, to was wetknę w dobry kącik.

Aliści z za węgła od strony rynku, wysunął się Jasiek, ciągnąc Marysię i Kondę za ręce.

— A my?

— Oho ho, jeszcze czego! — ruszając ramionami rozśmiał się Wawrzuś. — Idźcie se do Dominikanów, abo do Bożego Ciała, tam bez pozwolenia wejść można; a po południu, skoro się ciżba zmniejszy, to i wy się napatrzycie maryackiemu ołtarzowi.

Kondusia wykrzywiła buzię.

— E... ja chcę zaraz, teraz.

— Nikt się tu nie pyta o twoje chcenie; — zgromił ją ojciec. — Jasiek, zabieraj dziewuchy i wynoście się, a duchem; ino mi ich strzeż jak oka w głowie, coby gdzie nie poginęły.

— Nie turbujcie się, tatusiu; dy ja prawie krakowskie dziecko — odparł Jasiek — tylem tu lat przesłu... — urwał w pół słowa, gorący rumieniec wstydu zalał mu twarz... na szczęście nikt nie zauważył jego zmięszania, prócz Wawrzusia, a ten poskoczył przyjacielowi na ratunek i zawołał wesoło:

— *Tatusiu?* A odkądżeś się to przypytał do moich ojców za syna, zbereźniku jeden!

— Ciekawyś, to ci powiem: od tej niedzieli, co ksiądz proboszcz zapowiedzi z kazalnicy czytał Jana Śliwy z Maryanną Skowronkówną!

— Raju! Niedarmo mi od rana w lewem uchu dzwoniło... dobra nowina. Ale teraz,

to już naprawdę uciekajcie precz, bo niema czasu na gawędę.

Marysia pociągnęła Jaśka za rękaw, przechyliła głowę na lewe ramię i szepnęła:

— Mójeś ty...

Na taką prośbę człowiek gotów spinać się po gładkim murze na szczyt wieży, a tu przecie chodzi ino o szparkę we drzwiach, maluśką szpareczkę... ot, aby się dwa czerwone gorseciki prześliznęły. Jasiek objął Wawrzusia wpół i zatrzymał przemocą:

— Słuchajno, rzekę ci mądre słowo: masz ty sumienie rodzone siostry od boskiego proga odganiać? Jeśli cię pycha rozpiera, cobyś swoją moc okazował, dobrze, zaprzyj drzwi przedemną; ale tym chrobaczkom krzywdy nie czyń. Usłuchaj po dobroci, bo...

— Bo co mi zrobisz? — krzyknął Wawrzuś grubym głosem, niby srodze rozsierdzony, ale nie mógł się wstrzymać i parsknął śmiechem. — Dobrze, dobrze, już was wszystkich pięcioro jakoś przecuduję, ino cichuśko, powoli, a skryjcie się za ojca i matusię.

Wprowadził całą rodzinę do kościoła; wskazał im kącik tuż obok drzwi na podwyższeniu przy stallach.

— Tymczasem usiądźcie se na schodku, a jak się nabożeństwo rozpocznie, to wstaniecie i wszystko ujrzycie jak przez okno: całe święte obrzędy, królewica Fryderyka, co choć

niewiela starszy odemnie, już biskupem jest krakowskim; i samego pana miłościwego, i królowę, no, jednem słowem napatrzycie się za wszystkie czasy, i na resztę cichego żywota w Porębie.

— A pocóż synku ta wielka płachta aż do ziemi zwisa? — spytała Wojciechowa.

— Poto, matusiu, aby ludzie przed czasem nie podpatrowali, a nam przy robocie nie przeszkadzali. Cały kościół mają otwarty, przejście dla księży od drzwi do zakrystyi wolno zostawione; ino ten kawałek, co się presbyteryum nazywa, zasłonięty. Sam nasz mistrz, i my starsi z czeladzi, od rana do nocy tyleśmy tu dni pracowali nad złożeniem ołtarza, ustawieniem świętych apostołów i umocowaniem drobniejszych obrazów i aniołów; niech będzie Bożej Matce pokorna dzięka, iże dozwoliła mistrzowi Stwoszowi dożyć tak wielkiej chluby za dwanaście lat znojnej pracy ku Jej czci podjętej.

— O Jezu wszechmogący... dwanaście lat!

— A jakże, tatusiu, a jakże! I sprawdzą się te słowa mistrza, którem usłyszał, gdym pierwszy raz przestępował próg jego warsztatu: „Ołtarz stać będzie sto, dwieście, trzysta lat... nasze kości dawno w proch się rozsypią, a sława mistrza Wita nie zaginie przez wieki“.

— Ach, żeby to już co prędzej oną zasłonę zerwali! — westchnęła Wojciechowa.

— Rany Boga mojego... nie zdzierżę! Ratuj kto żyw! Stanko... Wawrzuś... do mnie! — dał się słyszeć z poza opony głos jakiś gniewny i żałośliwy.

— Chryste Panie... mistrz! Co mu się stać mogło?

Wawrzuś prześlizgnął się migiem popod płachtę i poskoczył do Stwosza. Ten stał w pośrodku presbyteryum naprzeciw ołtarza, i gorączkowym ruchem przesuwał palce obu rąk po gęstej siwiejącej czuprynie, wichrząc ją, i wyrywając sobie włosy.

— Wołaliście mnie, mistrzu? Tum jest, co rozkażecie?

— Co rozkażę? Albo ja wiem?... Za pół godziny rozpocznie się nabożeństwo, zjedzie biskup, dwór, pan miłościwy, a mnie chyba uciekać z kościoła!

— Ależ ojcze... — ośmielił się odezwać Stanko.

— Uciekać powiadam! O mur głowę rozwalić... w ziemię się zapaść... wstydem spłonąć!

— Tedy rzeknijcie raz, o co wam chodzi?

— Nie widzisz? Ślepyś?... Ach, przecz się mam dziwować, skoro i mnie samego szatan oślepił.

To mówiąc wyciągnął rękę w stronę ołtarza.

— Nie widzę nic.

— Nie widzisz? Święty Stanisław stoi z próżnemi rękoma, niczem żak szkolny, a pastorał leży jak długi na ziemi pod ścianą.

— Jakaż na to rada? Rusztowanie usunięte,

— Powiedziałem, w ziemię się zapaść.

— Ej, rzekłbym ja słowo, ino się nie pogniewajcie...

— Gadaj — rzekł Stwosz krótko, spokojniejszym trochę głosem.

— Wierzajcie mi, ojcze, to taka drobnostka, żaden człowiek nie zuważy, czy jest pastorał, czy go niemasz.

— Dość mi na tem, że ja sam wiedział będę, a całe święto dzisiejsze mam popsowane. Drabiny nie przystawię.

— A czemu nie! — wykrzyknął nagle Wawrzuś. Jest w zakrystyi drabina, sami ją zeprzyjcie ostrożnie o listwę szafy,

— No, a potem co? Szczepana tam poślę, coby nożyskami ornamenta misterne poutrącał; czy może Stanko wylezie? Chłop jak tur...

— A mnie to nie macie? Ja mały, lekuśki, jak ten kot się wyspinam, coby najmniejszego listeczka nie uszkodzić, pozłoty nie zetrzeć; a gdy będę już na gzymsie, chycę się płaszcza świętego Stanisława, i stanę se jedną nogą tuż

przy nim. Stanko mi poda pastorał, wsunę go księdzu biskupowi w rękę... i po krzyku.

— Tak wysoko na jednej nodze? Spadniesz i szyję złomiesz.

— Ino się o mnie nie turbujcie. Na linie mię wiły tańcować przyuczały, umiem po drabinie na ręcach chodzić, a nie dopiero na nogach. Ino sami trzymajcie mocno, coby się drążki na gładkiej posadzce nie skiełzły, boby się gdzieniektóry obraz mógł uszkodzić.

A Stanko niewiele myśląc skoczył do zakrystyi, przywlókł olbrzymią drabinę i czekał rozkazów.

— Kamień mi zdjąłeś z serca, chłopcze — rzekł Stwosz, rozchmurzając oblicze. — Ino czyś pewny swego? Nie spadniesz? Wolałbym sam zginąć, niż być przyczyną

— O Jezu miłosierny... nie traćmy czasu! Mówiliście cotylko, że za pół godziny...

— Ano, to w imię Boże!

— Aha, dobrze, żem se spomniał! Jest tam za stallami zwój powrózka mocnego, wezmę go ze sobą.

— A poco?

— Puszczę ci jeden koniec, uwiążesz pastorał, a ja go wyciągnę na górę.

Przeżegnali się wszyscy trzej, mistrz ustawił drabinę w głębokiej szparze między dwiema taflami posadzki, oparł ją z biciem serca o górną listwę drzwi ołtarza, a Wawrzuś isto-

tnie jak kot, niemal jak kocię, mknął po szczeblach, prawie ich nie tykając. Z ostatniego postawił leciuchno lewą nogę na szerokiem obramieniu drzwi, prawą ręką chwycił się galeryjki ponad środkową częścią tryptyka, coś migło, jakby kto w powietrzu łuk zarysował, i już małe, żywe stworzenie stało na postumencie u stóp drewnianego posągu.

— No, Stanko, dawaj pastorał!

— Królowo Anielska, ratuj nas! — wołał Stwosz ochrypłym głosem. — Trzymaj się, nieszczęśniku, filarka!

— Poco filarka? — zaśmiał się zuchwalec z góry — na jednej nodze miałem się zeprzeć, a tu widzę aż na dwie miejsca starczy. Dajecie ten pastorał, abo nie?

— Już uwiązałem. Ino powoluśku ciągnij, cobyś nie uwadził o jaką gałązkę.

— Bogiem a prawdą, bieda...

— Co? Zemgliło cię? — zawołał Stwosz — ino mi nie poglądaj w dół... usiądź, przymknij oczy... spocznij...

— Ady się nie troskajcie o mnie, mistrzu! Zalim to nie Skowronek? A onemu czem wyżej, tem weselej. O co inszego mi chodzi. Nie mogę wetknąć pastorału, bo ręka Świętego za wysoko. Pozwolicie wyspinać się po filarku? Nie uszkodzę, jak Boga kocham!

— Nie wolno... nie wolno... zabijesz się!

— Ale... cobym się miał zabijać! Ino

ciżmy zezuję, bo mi te długie nosy gawędzą.

Postawił trzewiki na brzegu postumentu, pastorał oparł o posąg, objął rękoma i kolanami filar wspierający baldachim nad św. Stanisławem, i posunął się o stopę wyżej... znowu o stopę, jeszcze troszkę...

Stwosz przymknął oczy; żyły nabrzmiałe na skroniach drgały gorączkowem tętnem.

— No, pojrzyjcie teraz, mistrzu! Już i po całym frasunku! Świętemu posłużyłem, was pocieszyłem, a sam w te pędy... o rety!

— Co... co... Stanko... czy Wawrzuś spadł?

— Ależ nie, ojcze; stoi ano jeszcze na górze i beczy. Co ci się stało?

— O rety, rety... Święci Anieli!

— Rękeś złomał? Abo nogę?

— Ee... żebyć to ino ręka... żeby noga...

— Więc co?

— Jedna ciżma spadła za ołtarz... o Jezu!

— W tej chwili mi zlazuj! Słyszysz?... Ja tu czyścowe męki o łotra cierpię, a on mi będzie krotofile pokazował!

Wawrzuś stał już na ziemi bosy, z jedną żółtą ciżemką w ręku i zanosił się od płaczu.

— Cichajże mazgaju! Widział kto coś podobnego? Cichaj, nie becz! Sprawię ci cztery pary za tę jednę. Sprawię ci czerwone, zielone, modre i żółte.

— Bóg wam zapłać... nie chcę nijakich...

te były od... o Jezu, Jezu... od królewica Kazimierza!

— Ano darmo; stało się. Sam przecie rozumiesz, że ołtarza nie odhaczę od muru i nie zwołam stu ludzi, coby go odsuwali, a twego trzewika szukali.

— Prawda; już on tam do sądnego dnia leżał będzie — szepnął smutno Wawrzuś. — Słuszna mię kara spotkała; jak śmiałem przywdziewać obuwie świętego kniazia! Pamiątką mi winno było pozostać do śmierci.

— No widzisz — pocieszał go Stanko — dla pamiątki, to właśnie lepiej, że ino jeden, nie para, bo cię już nie będzie kusiło.

— Prawda... —

— Otarł oczy, i ciżemkę sierotę wsunął w zanadrze.

— Pobiegnę do domu i sam ci insze przyniosę.

— Dobrze, stoją tam nowe pod łóżkiem. A tę zabierz ze sobą i schowaj do skrzyni na samo dno. Ino nie zgub! Na Boga świętego!

— Nie bójże się, wszystko tak zrobię jako chcesz.

Wybiegł śpiesznie, bo lada chwila mógł nadjechać król i ksiądz biskup, nawet już słychać było ruch w zakrystyi i głośne rozkazy księdza proboszcza, wydawane klerykom. Więc też leciał Stanko, nie biegł do domu; widno aniołowie, których złocił z takim zapałem, po-

życzyli mu niewidzialnie swych skrzydeł, bo nim Wawrzusiowi oczy z płaczu oschły, przyjaciel już był z powrotem.

Tedy *pan Wawrzyniec* obuty w przyniesione ciżmy, przebijał się przez tłumy zalegające cmentarz maryacki. Halabardnicy utrzymywali wolny przejazd od zamku i ulicy Grodzkiej aż do kościoła. Chłopiec dorobiwszy się łokciami miejsca w pierwszych szeregach widzów, stanął na palcach i wyścibił ciekawie głowę przez ramię rosłego ceklerza, by się napatrzyć królestwu nadjeżdżającym w otoczeniu dworu.

Od *Szarej kamienicy* zbliżał się już istotnie orszak, witany okrzykami ludu. Poprzedzony zastępem pieszych i konnych dworzan, przybranych odświętnie w jaskrawe szaty i czapki z piórami, jechał na koniu król Kazimierz, strojny w długą ciemną szatę z tkaniny przerabianej w złote gałązki; a że było lato, więc obramienie sobolowe okalało tylko kraj szaty i wysoko rozciętych rękawów. Na głowie miał okrągłą aksamitną czapkę, dokoła której biegła taśma z drucików złotych i drogich kamieni.

Zdziwił się Wawrzuś, że od czasu, gdy go widział będąc na Wawelu z Długoszem, król postarzał się niewiele. Ta sama frasobliwa, znękana twarz, te same bystre, smutne oczy; przybyło nieco zmarszczek i grzbiet się jeszcze przygarbił.

Przy ojcu, po lewicy, toczył koniem królewicz Zygmunt; (Aleksander przebywał wtedy na Litwie). Poznał go Wawrzuś odrazu po rysach prostych, jakby z kamienia wykutych, i po tej wardze dolnej, dumnie naprzód wysuniętej, która cechowała stateczną twarz młodziutkiego księcia.

Za małżonkiem i synem jechała w kolasie na pasach królowa Elżbieta z dwiema pannami dworskiemi. Po obu stronach pojazdu postępowali paziowie. Wawrzuś nie miał czasu napatrzyć się miłościwej pani, bo z przeciwnej strony, od ulicy Floryańskiej, rozległy się dźwięki surm i fletni, zmięszane z głośnym zgiełkiem tłumów. W pierwszej chwili nie zrozumiał co to znaczy, lecz wnet przypomniał sobie, że to chyba królewicz Olbracht nadjeżdża na czele wojska, po walnem zwycięstwie nad Tatarami, u rzeki Szawrany, niedaleko wsi Kopestrzyna. Od dwóch dni głośno już było po mieście, że ciągnie pośpiesznie do Krakowa, by zdążyć na święto Wniebowzięcia i na uroczyste poświęcenie wielkiego ołtarza u Panny Maryi. Mówiono, że zabrał 10 000 jeńców Tatarskich, których po drodze rozsyła do robót przy budowie twierdz i zamków, a resztę pohańców z całą starszyzną, przyprowadza w tryumfie miłościwemu rodzicowi.

Jakoż nadjeżdżał.

Najurodziwszy z synów królewskich, zdol-

ny, świetny, mężny, miał w obliczu coś lwiego; zwłaszcza, że gęste płowe włosy wymykały mu się z pod szyszaka. Zbroja na nim paradna, szmelcowana na niebiesko, usiana złotemi ozdoby, rumak pod nim idący w podskokach, wszystko to składało się na obraz jakiegoś rycerza z bajki. Jak pochodnie bledną przy słońcu, tak wobec wspaniałej postaci królewicza marnie wyglądali otaczający go rycerze.

Ale ciekawość ludu zwracała się przedewszystkiem ku pojmanym Tatarom. Pędziła ich jazda polska ciągnąca środkiem ulicy. Żołnierze prowadzili po kilku, przywiązanych na smyczy do siodeł.

Szło tedy nizkie, barczyste, poczerniałe od stepowych wichrów tatarskie plemię; z rękoma skrępowanemi w tył, z pochylonemi głowami. Kożuchy na nich baranie, kudłami na wierzch obrócone, na wygolonych głowach skórzane szłyki, nogi bose lub w łapciach rzemiennych; zmęczenie, brud i dzikość malowały się w całej postawie. Lecz lud krakowski najchciwiej zaglądał im w twarze, o wystających kościach policzkowych i spłaszczonych nosach. Chciał wyczytać z tych czarnych, kosych oczu, co się dzieje w duszach tatarskich. Lecz ani twarze, ani oczy, nic nie mówiły. Ślepa wiara w przeznaczenie zamroziła w nich wszystkie uczucia i myśli, i przebijała się w znieruchomionych rysach i współprzymkniętych powie-

kach. Tylko niekiedy z pod spuszczonych rzęs, bezwiednie wybiegały chciwe błyski ku bogactwom tego miasta i tego ludu: zwierzęcy instynkt drapieżców, to jedno, co nie skamieniało w ich duszach.

W tej chwili królewicz Olbracht zeskoczył z konia, wodze rzucił jednemu z otaczających rycerzy, a hełm pacholęciu i biegł ku rodzicom. Ucałowawszy rękę ojcowską, która go potem przeżegnała krzyżem świętym, ulubieniec matki przypadł do kolasy; na stopniu z wyciągniętemi ramionami stała królowa Elźbieta. Chwyciła w objęcia głowę synowską i przytuliła ją do piersi. Zaczem bracia uścisnęli się za ręce, i rodzina królewska witana okrzykami ludu, podążyła ku drzwiom kościelnym.

W kruchcie czekał na monarszych swoich rodziców dwudziestoletni biskup krakowski, a niebawem kardynał — królewicz Fryderyk.

Dziwnie odbijała powaga złotolitych szat liturgicznych i drogocennej infuły od drobnej, niemal dziecięcej twarzy młodzieniaszka. Fryderyk jednak umiał w takich chwilach poskramiać swą żywość, i nadrabiając uroczystą miną, niósł się powoli i majestatycznie.

Srebrnem kropidłem w kształcie buławy, z sitkiem na wodę święconą, kropił rodziców i braci, poczem w orszaku duchowieństwa i panów, wprowadził ich pod baldachimem do

świątyni, krocząc po lewicy ojca. Po prawej miał Kazimierz małżonkę.

Królowa Elżbieta nie była wcale urodziwą niewiastą. Już wtedy, przed laty blisko czterdziestu, gdy jako młodziutka narzeczona wjeżdżała do Krakowa, nie wróżono królowi szczęścia w małżeństwie z tak bardzo nieładną księżniczką; a jednak... nie spełniły się przepowiednie, Kazimierz pokochał żonę całem sercem. Kronikarz pisze: „Miłował ją ponad miarę“.

Dziś, jako niewiasta pięćdziesięcioletnia, szła strojna pod baldachimem, nie z powagą, a majestatem monarchini, ale z wyrazem zadowolenia i szczęścia w twarzy: wszak miała obok siebie męża najlepszego i trzech synów umiłowanych.

Nizka, otyła, o twarzy okrągłej i policzkach wydatnych, wyrazem oczu płaciła za wszystkie niedostatki oblicza i postaci. W tych oczach dużych, ciemnosiwych, odzwierciedlała się dusza czysta i rozum niepospolity. Czasem jakiś złoty ognik strzelał z głębi szarych źrenic... może iskierka dumy... córa cesarzów, matka królów...

Na głowie miała czepiec biały atłasowy, złotem gęsto zahaftowany, tak ciasno do czoła przylegający, że ani pasemka włosów nie było widać; wierzch czepca zdobiła maleńka korona

z dyamentów i szafirów. Naszyjnik bardzo misternie pleciony z pereł, układanych w gwiazdy, a łączonych ze sobą podwójnym rzędem szafirów. Widno *te* były ulubione klejnoty królowej, bo i od środkowej gwiazdy naszyjnika spadał na piersi ogromny szafir w kwadrat szlifowany, grubą złotą ramką objęty. Stanik ze złotej lamy wyciętej w okrąg, naszywany był górą drogimi kamieniami na dwa palce szeroko; listwa gronostajowa łączyła go poniżej bioder z brokatową błękitną spodnicą; dołem sukni bieliły się także gronostaje.

Skoro tylko miłościwi państwo przestąpili próg kościoła, zabrzmiały organy, i z chóru popłynęła pieśń starodawna do Najśw. Panny: „O Gospodzie uwielbiona“... Olbrzymi kościół przepełniony był dostojnikami państwa, konsulami miejskimi z burmistrzem na czele, i potężnym zastępem kupiectwa, a mieszczan krakowskich, co w dniu dzisiejszym święcili chlubę swej ofiarności dla Matki Boskiej. Oni to, bez udziału innych stanów, hojnemi składkami dali sposobność mistrzowi do stworzenia arcydzieła. Postroili się też na to swoje święto w conajbogatsze żupany, szuby, kiereje; złote łańcuchy błyszczały na piersiach mężczyzn, kosztowne manele na rękach, wspaniałe kolce w uszach kobiet...

Szmer czci serdecznej powitał najmiłościwszych państwa, głowy pochyliły się nizko,

baldachim posuwał się zwolna ku presbyteryum.

— Gdzie Wawrzek? — szepnął Stwosz do Stanka.

— Właśnie co wbiegł bocznemi drzwiami; stoi po prawej przy swoich ojcach.

— Powiedz-że mu, aby miał nóż w pogotowiu; ty stań po lewej, nie spuszczajcie oka ze mnie.

Wyjrzał przez szparę.

— No, w imię Boże... przecinać sznury!

Z chrzęstem i łomotem opadła olbrzymia płachta płócienna na ziemię; służba kościelna zasunęła ją w kąt.

Z tysiąca piersi ludzkich ściśnionych nagle świętą grozą, wydarł się stłumiony okrzyk... potem westchnienie jękliwe poszło ku ołtarzowi, potem cisza; nawet organy oniemiały.

Chyba to nie kościół, a przedsionek nieba... grzeszne, niegodne tak wielkiego szczęścia oczy ludzkie, oglądają Matkę Zbawiciela w blasku chwały wiekuistej! Zgromadzony tłum utkwił pałające uwielbieniem oczy w ołtarzu i trwał bez ruchu w świętem zapamiętaniu.

Król Kazimierz przesunął rękę po oczach, odetchnął głęboko, i postąpił parę kroków; Wit Stwosz podszedł również i schylił się, dotykając ziemi beretem.

— Niech was Bóg w zdrowiu chowa do setnych lat, mistrzu! — rzekł król serdecznie

wzruszony — nijaka pochwała, nijaka podzięka nie wypowie tego, co człek uczuwa, stojąc przed waszem dziełem. Słowa krzepną na ustach, cobyś rzekł, wszystko zamało.

— W łaskawości wielkiej oceniacie moją pracę ponad zasługę, miłościwy panie; — odpowiedział Stwosz — atoli z niezmierną uciechą słucham waszej mowy, lękałem się bowiem, czy nie jest pychą a próżnem zarozumieniem to, com myślał, poglądając sam na te wizerunki. Dzięki waszym słowom, mogę się radować spokojnie.

— Za dzieło tak wielkiego kunsztu podziękuje wam potomność; — ciągnął dalej król — ja zasię ino za to wdzięczen jestem, żeście przysporzyli blasku memu panowaniu. Kto spomni imię mistrza Wita, chyba i o Kazimierzu nie zabaczy. Bóg wam zapłać.

Zdjął z siebie złoty łańcuch włoskiej roboty, i włożył go na szyję Stwosza; ten zaś chwycił oburącz rękę królewską i całował ją ze łzami w oczach.

— Miłościwy, najdobrotliwszy królu... czemże się za tyle łaski odwdzięczę!

— Niedługo już mego przebywania na ziemi — rzekł król cichym i drżącym głosem — niechby wasze dłuto obraz mojej osoby na grobowym kamieniu wyrzezało. Uczynicie mi to?

Wit Stwosz ze zwykłą sobie żywością zaprzeczył głową i rękami.

— Nie, nie, tego momentu nie chcę dożyć... toli bezmała w jednych leciech jesteśmy; niechże mnie Bóg pierwszego zawoła! Wyście światu potrzebniejsi odemnie.

Kazimierz położył mu rękę na ramieniu.

— Nie odmawiajcie mi. Niech mam tę pociechę przy śmierci, że w majestacie królewskim spoczywał będę.

Stwosz popatrzył na króla smutnie i wymówił jedno słowo.

— Przyrzekam.

— A teraz — rzekł Kazimierz swobodnym tonem, zechciejcie mi być przewodnikiem w oglądaniu ołtarza.

Zbliżyli się obaj o tyle, by nie tracić całości, a widzieć dokładnie szczegóły, i Stwosz wskazywał ręką pojedyncze figury, tłomaczył i opowiadał.

Wawrzuś wtulił twarz we fałdy matczynego rańtucha i nie myślał o niczem, nie patrzył na nikogo, jedno tylko wiedział, że po tylu, tylu, takich strasznie długich latach tęsknoty, jest przy matusi, ma ją dziś i jutro i zawsze mieć może, kiedy tylko zechce... Poręba tak blisko!

Podniósł głowę, spojrzał.

— Matusiu... co wam?

Wojciechowa patrzyła w ołtarz; z oczu jej ciche, kropelka za kropelką, spływały łzy.

— Matusieńko, co wam?

— Nie wiem, synku...

Król Kazimierz zasiadł na podwyższeniu naprzeciw ołtarza, obok miał żonę i synów, a ksiądz biskup dopełniał poświęcenia.

Przez wysokie, wydłużone okna zaszklone stubarwnemi szybami, sączyło się złociste słońce, nabierając głębokich, przyćmionych kolorów, jakby promienie jego przenikały przez płatki kwiatów lub skrzydła motyle. Tęczowe smugi padały na strzeliste kwiatony tryptyka, ślizgały się po fałdzistych szatach i brodatych twarzach Apostołów, skrzyły w klejnotach zdobiących monarszą parę, igrały na łańcuchach mieszczan i złotogłowiach mieszczek. Cały kościół tonął w tych bajecznych blaskach, mienił się i płonął, i grzmiał dźwiękami organ, które uderzały o sklepienie. Była w tem wszystkiem odświętna, tryumfalna radość tych błogosławionych Jagiellońskich czasów, gdy zwycięstwa nad wrogiem, wewnętrzne bogactwo i bujność duchowego życia, dochodziły w Polsce do szczytu potęgi i chwały.

Złamany zakon krzyżacki, świeże trzechkrotne zwycięstwo Olbrachta nad Tatarami, plemię Jagiellońskie na czeskim tronie, kraj kwitnący, miasta zasobne, drogi handlowe otwarte na wschód i zachód; w podziemiach kościelnych na Skałce niedawna jeszcze trumna pierwszego dziejopisa Polski Długosza, tu, przed wiekopomnem swem dziełem Wit

Stwosz, artysta największy w całej ówczesnej Europie; a gdzieś może w tłumie, nieznany nikomu, szesnastoletni długowłosy młodzieniaszek, żak przesławnej akademii krakowskiej — Mikołaj Kopernik.

A z tej ziemi płodnej w tyle wielkich dusz i wielkich dzieł, wykwitają w tem pokoleniu kwiaty niebieskie... jedne zerwane już dłonią śmierci, inne rozsiewające jeszcze świętość dokoła siebie:

Jan Kanty, Szymon z Lipnicy, królewicz Kazimierz, Izajasz Boner, Stanisław Kazimierczyk, Michał Gedroyć, Ładysław z Gielniowa, Jan z Dukli.

Biskup Fryderyk na stopniach ołtarza podniósł oburącz promienistą monstrancyę, która jak słońce przez chmury przeświecała przez gęste kłęby kadzidła. Pobłogosławił nią cały lud rozmodlony na klęczkach, poczem postawił ją na ołtarzu i zaintonował hymn św. Ambrożego.

Potężny chór tysiącznych głosów z wonnym tumanem kadzideł, wzbijał się w górę i płynął w tęczową gloryę, w łunę blasków i kolorów, pod sklepienie błękitne usiane gwiazdami... zdawało się, że pójdzie aż w niebo, do stóp tronu Bożego, niosąc słowa podzięki i chwały.

TE DEUM LAUDAMUS!



TREŚĆ:



